

D... ERICH VON DÄNIKEN

W krzyżowym ogniu pytań



Erich von D,,niken

W KRZYŻOWYM OGNIU PYTAŃ

Czy bogowie byli na Ziemi?

Jak powstała ta książka?

Wiosną 1977 roku spotkaliśmy się przy kolacji: Erich von Daniken, wydawcy Erwin Barth von Wehrenalp i Rolf Heyne oraz ja. Daniken powiedział, że uczestnicy dyskusji, jakie prowadził we wszystkich krajach - w Ameryce Północnej i Południowej, w Kanadzie, Australii, Afryce Południowej, Grecji, Indiach, Hiszpanii, Jugosławii, Polsce, Danii, Austrii, Szwajcarii i w Niemczech - zadawali mu prawie zawsze

te same pytania. Raz dotyczyły one newralgicznych punktów jego teorii, raz były wynikiem błędnego odczytania tekstu, jeszcze innym razem świadczyły o niezrozumieniu problemu - zawsze jednak dyskusje te, nierzadko gwałtowne a nawet pełne agresji, były dla niego inspiracją do nowych przemyśleń.

Już nie pamiętam, kto rzucił myśl, że warto by zestawić ten międzynarodowy katalog pytań i odpowiedzi, żeby czytelnikom, którzy nie mieli okazji wziąć udziału w takich dyskusjach, odpowiedzieć na to, czego chcieliby się dowiedzieć, gdyby udało im się wziąć autora w krzyżowy ogień pytań.

Erich von Daniken, który właśnie skończył książkę Dowody (Beweise), nie zamierzał zabierać się do pisania następnej przed 1979 rokiem.

I wtedy ktoś rzucił myśl, żeby w salach, gdzie Daniken będzie miał w najbliższych miesiącach odczyty, ustawić mikrofony i nagrać pytania i odpowiedzi.

Książka ta jest dokumentacją dyskusji, jakie odbywały się na całym świecie. Teksty lekko podredagowano. Dla ułatwienia lektury pytania i odpowiedzi powiązано w luźne cykle tematyczne - pozostawiono jednak elementy będące świadectwem spontaniczności rozmów. Jest to więc raczej słowo mówione - nie pisane.

Wilhelm Roggersdorf

1. Ile miał pan już w sumie odczytów, a ile na uniwersytetach?

Nie liczyłem, ale chyba kilkaset, z czego na pewno ponad sto na uniwersytetach.

2. Czy mógłby pan wymienić przynajmniej kilka?

Musiałbym przywołać na pomoc moją chodzącą pamięć, mojego sekretarza Williego Dunnenbergera... Willi, masz pod ręką ten wykaz?

Dunnenberger:

Nie, po co? Powiem to z głowy: Uniwersytet Srinagar w Indiach, Muzeum Archeologiczne i uniwersytet w Kalkucie, Uniwersytet Harvarda w Bostonie, University of California Medical Center w San Francisco, North Adams State College w Massachusetts, Uniwersytet Pittsburski, Eastern Illinois University w Charleston, Illinois Institute of Technology w Chicago, University of Missouri w Columbii, Middle Tennessee State University w Murfreesboro, University of Georgia w Athens, Georgia University of West Florida w Pensacola, Florida University of Texas w El Paso, Texas New Mexico State University w Las Cruces, New Mexico Northern Michigan University w Marquette, Michigan Dalhousie University w Halifax, Canada Texas Christian

University w Fort Worth, Texas University of New Mexico w Albuquerque, New Mexico Sir George Williams University, Montreal University of Tennessee w Knoxville, Tennessee University of Nebraska w Omaha, Nebraska Mankato State College, Minnesota Georgia State University w Atlancie, Georgia Technical Tennessee Technical University w Cookeville, Tennessee Eastern Kentucky University w Richmond, Kentucky University of West Virginia w Morgantown, The University of Utah w Salt Lake City, Utah University of New Hampshire w Durham, University of Buffalo, New York University of Nevada w Las Vegas, Georgia Institute of Technology w Atlancie, Georgia Illinois State University w Normal w stanie Illinois, Illinois University of North Carolina...

3. Dziękuję, wystarczy, bardzo dziękuję. Zazdroszczę panu takiej chodzącej pamięci. Panie von Daniken, interesuje mnie jeszcze, jak dochodzi do takich odczytów? Kto pana zaprasza?

W USA środowisko studenckie. W szkołach wyższych istnieją tam gremia wybierane corocznie przez studentów; gremia te większością głosów ustalają, kogo zaprosić do wygłoszenia odczytu. Poza tym po każdym odczycie odbywa się dyskusja. Ale tam dyskusje takie są zorganizowane od samego początku. Jeszcze przed moim przybyciem studenci zaznajamiają się dokładnie z moimi książkami i ustalają zestaw pytań. Pytania te odczytuje mi potem spiker. Ma to swoje wady i zalety. Wada: nie każdy może spontanicznie zadać pytanie. Ale, proszę

państwa, zalet jest znacznie więcej niż wad! Pytania są precyzyjniejsze, celniejsze, często bardziej dokładne niż stawiane przez zwykłą publiczność, nie powtarzają się - co dzieje się zawsze w trakcie "normalnej" dyskusji. A poza tym, mówiąc między nami, nie pojawi się żaden ważniak, który przy okazji takiej dyskusji chciałby wygłosić swój wykład, ważniak, który upichcił sobie jakąś ideę, najczęściej nie mającą się nijak do tematu odczytu. A mnie bardzo trudno przerwać komuś takiemu, bo ludzie mogliby sobie pomyśleć, że poruszany przez niego temat jest mi nie na rękę! Trzeba mieć naprawdę mocne nerwy i dużo rutyny, żeby delikatnie odebrać głos takiemu gadule, który może ukatrupić każdą dyskusję.

Poza tym w przypadku tak wielkiego audytorium nie można zgłaszać się do słowa podnosząc rękę. Nie zawsze uda mi się to zauważyć! Dlaczego? Na mój odczyt na Northern Michigan University w Marquette przyszło dziesięć tysięcy słuchaczy, na odczyt na stadionie koszykówki uniwersytetu w El Paso w Teksasie nawet jedenaście tysięcy. Równie wielkie audytoria nie są na dużych uniwersytetach niczym szczególnym! Mogą sobie państwo wyobrazić, że w takich warunkach niemożliwa jest dyskusja bez spikera zadającego pytania przez mikrofon!

4. W ramach wymiany studiowałem na uniwersytecie w, Buffulo, gdzie miał pan odczyt przed dwoma laty. Chyba się nie pomylę, jeśli powiem, że dyskusja odbywała się tam bardziej fair niż tu?

Nie pomyli się pan! Kiedy w USA nie umiałem odpowiedzieć na jakieś pytanie, bo po prostu nie znałem danego problemu albo pytanie zahaczało o dziedzinę, która była mi obca... tak, kiedy w takim przypadku mówiłem: Nie wiem, proszę państwa! - to dostawałem prawdziwe brawa. Oświadczenie "nie wiem" jest tam odbierane jako fair. To w Europie się zdarza, że bywam wyśmiany albo zakrzyczany, a nazajutrz na dobitkę czytam w prasie - wybaczcie państwo! - że unikałem odpowiedzi na pytania.

5. Czy mogę zadać mgskie, niedyskretne pytanie?

A pewnie! Trudno wyprowadzić mnie z równowagi, a przykrości to moja specjalność!

6. Podczas wszystkich swoich wypraw i cykli odczytów towarzyszą panu wyłącznie mężczyźni, co widać na zdjęciach i filmach. Czy nie lubi pan kobiet? (Śmiech)

Szanowna pani, panią wziąłbym z przyjemnością! (Śmiech) Ale jest pewien problem: ja mam żonę! Ona wie o mojej skłonności do słabej płci, nie mogę więc w żadnym razie wybierać się w podróż z piękną młodą kobietą. Elisabeth wydrapałaby mi oczy. Poza tym podróże - przede wszystkim wyprawy - są często tak męczące i mają tak nieprzewidywalny przebieg, że mój szacunek dla kobiet nie pozwala mi narażać je na sytuacje, które nierzadko, choćby z punktu widzenia higieny, zbliżają się nawet do granic wytrzymałości mężczyzn. Poza tym - co miała pani

przed chwilą okazję zauważyć - jestem dosłownie skazany na moją chodzącą pamięć, Williego, który prowadzi moją korespondencję i zna nazwiska większości ludzi, z którymi przychodzi nam się spotkać, wie po prostu o wszystkim i z pamięci może przywoływać informacje, o których ja nie mam pojęcia. Ja zapamiętuję tylko to, co mnie interesuje, za to gruntownie.

7. Czy pracuje pan w dużym zespole?

Nie. W moim biurze i archiwum pracują tylko dwie osoby - Willi i pewna, zaręczam pani, bardzo pigkna kobieta, ale jej wolno, bo jest zamężna. Pomoc na czas wypraw, także fachową, angażujemy na miejscu. Pomijając fakt, że tak jest taniej, bo odpadają koszty podróży, ma to również tę zaletę, że miejscowi znają swój kraj i mogą nas ostrzec przed ewentualnymi niebezpieczeństwami.

8. Czy wzięłby pan kogoś z nas w taką podróż?

Czemu nie? Trzeba tylko spełnić kilka warunków. Jadący musi opłacić koszty podróży, musi mieć dobre zdrowie, potwierdzone badaniem lekarskim, no i musi to być miły gość. Musi być wysportowany. W męczącej podróży na nic są ludzie uparci i pesymiści. Kierując się prosto do celu nie można tracić czasu na zbędne dyskusje. A przy okazji zdzierać sobie nerwów...

Ale: Może interesuje państwa, że szwajcarskie biuro podróży "Kuoni" i Lufthansa planują na jesień 1979 roku podróż przez Amerykę

Środkową i Południową po miejscach opisanych w moich książkach.

Ja też wezmę w niej udział, żeby podróżnicy faktycznie dotarli do opisywanych przeze mnie odkryć i zobaczyli te przedmioty, o których opowiadam. Jeżeli są państwo zainteresowani, mogą podążyć moimi śladami z wypiekami na twarzy. Panie również!

9. W jaki właściwie sposób zdobywa pan właściwe informacje? Czy zatrudnia pan współpracowników?

Nie, mam za to niemal nieogarnioną liczbę współpracowników niejako honorowych. Powód jest bardzo prosty: moje książki wydano na całym świecie w nakładzie ponad 40 mln egzemplarzy. To znaczy, że "rozmawiam" z ogromną liczbą ludzi, których nie znam osobiście.

Lektura inspirowa ich do rozmyślań nad "moim" tematem. Tacy czytelnicy piszą do mnie - a odpowiadam na wszystkie listy, nawet jeśli już od dawna wiem to, o czym mnie właśnie informują. Ale w tej powodzi korespondencji pojawiają się też informacje nader interesujące, często z jakiegoś zakątka świata otrzymuję na przykład fotografie rysunków naskalnych. Przychodzą paczki zawierające spisane treści starych mitów opowiadanych po dziś dzień przez starców jakichś plemion, albo rzeczy, o których nigdy nie słyszałem. Oczywiście pojawiają się też listy krytyczne, ale ja zawsze jestem wdzięczny za słowa rzeczowej krytyki.

Wszystkie listy oraz odpowiedzi na nie są gromadzone w archiwum.

Kiedy pojawia się coś interesującego, zaczynam zadawać pytania. Na

przykład: Skąd pan to ma? Zjakiego to pochodzi źródła? Czy może pan przysłać lepsze zdjęcia, pokrywam koszty?! Czy na potwierdzenie tych informacji istnieją archeologiczne dowody na miejscu? Jeżeli w tym czy innym przypadku dojdę do przekonania, że wskazówka jest istotna, oznaczam dane miejsce chorągiewką na trasie kolejnej podróży.

Nie muszę chyba mówić, że listy od czytelników nie są jedynym czy głównym źródłem informacji. Czytam bardzo dużo literatury na temat archeologii i mitologii. Jestem na bieżąco - zarówno jeśli chodzi o rozwój techniki kosmicznej, jak i biologii molekularnej.

A w końcu najważniejsze: Chyba jako jedyny pisarz zajmujący się tą tematyką mam odczyty we wszystkich krajach świata, a po każdym takim odczycie, jak dziś wieczór, toczy się dyskusja. Bardzo często jest ona okazją do poznania ludzi dysponujących nadzwyczaj wartościowymi informacjami. Na przykład przed dwoma laty miałem odczyt na uniwersytecie w Kalkucie. Następnie na rozmowę zaprosili mnie sanskrytolodzy. Nigdy przedtem i nigdy potem nie zdobyłem tylu precyzyjnych informacji o aparatach latających, opisanych w staroindyjskich tekstach. Rozmowy takie są nierzadko zaczątkiem korespondencji i, co najpiękniejsze, przyjaźni.

10. Czy czyta pan również książki swoich konkurentów?

Często, ale nie wszystkie. Znam osobiście większość autorów z mojej działki. Jesteśmy członkami "Ancient Astronaut Society" z Chicago. To towarzystwo użyteczności publicznej gromadzi wszelkie interesujące

dane na ten temat i przekazuje je swoim członkom, tak jak to się dzieje w towarzystwach naukowych.

11. Czy z wielu informacji wybiera pan tylko te, które pasują do pańskich teorii ?

Jeżeli pańskie pytanie ma być zarzutem, to ja zarzut ten akceptuję!

W zalewie informacji nie mogę działać inaczej niż uznana nauka

postępująca równie wybiórczo. Proszę wziąć do ręki książkę fachową

- obojętne z jakiej dziedziny. Na pewno będzie pan miał w ręku wybór,

jakiego autor musiał dokonać! Autor chce udowodnić swój pogląd.

Proszę pójść do muzeum! W gablotach zobaczy pan wybór, jakiego

dokonało kierownictwo placówki. Nie mogąc wystawić wszystkiego, co

znajduje się w magazynach i archiwach, dokonuje niezbędnego wyboru.

Poza tym to, czego ja nie opublikuję, bo nie poprze to mojej teorii,

znajdzie się w artykułach i książkach moich przeciwników. Mają prawo

przedstawić to, czego nie napisałem... jako moje i zająć wobec tego

materiału stanowisko!

12. Przed paru laty autor książki " Wspomnienia z rzeczywistości " wy-

sunął wobec pana zarzut, że najistotniejsze fragmenty swojej pierwszej

książki zapożyczył pan od Roberta Charroux. Co może pan powiedzieć na

to posądzenie o plagiat?

Zarzuty te są mi oczywiście znane, nie będą one jednak słuszne tylko

dlatego, że niektórzy ludzie ciągle je odgrzewają! Chciałbym tylko

zapytać, czy przeczytał pan którąś z książek Roberta Charroux?

Nie, nie przeczytałem.

Widzi pan, z panem jest tak samo jak z tymi, co znają tylko książeczkę Wspomnienia z rzeczywistości i czytują złośliwe artykuły w prasie.

Proszę zadać sobie trochę trudu i przeczytać w spokoju którąś z jego książek!

13. Pan unika mojego pytania! Jakie stanowisko zajął pan wobec zarzutów o plagiat? Tego chciałem się dowiedzieć.

W latach 1960-1965 pisywałem w różnych czasopismach i gazetach artykuły poruszające temat ujęty później w mojej książce. Na przykład niemieckojęzyczna gazeta "Der Nordwesten" wydawana w Kanadzie wydrukowała 8 grudnia 1964 roku całą stronę pod nagłówkiem: "Czy nasi przodkowie mieli odwiedziny z Kosmosu?" Wtedy w Niemczech nie było jeszcze Charroux! Tego nie wiedzą moi mili przyjaciele, zarzucający mi plagiat... albo świadomie nie chcą przyjąć tego do wiadomości. I to ma być obiektywizm!

14. Panie von Daniken, ja czytałem książki Charroux! Trudno nie zauważyć podobierstw jego książek do pańskich ! Czy pan temu zaprzecza ?

W żadnym razie! To jest nieuniknione, jeżeli dwóch albo więcej autorów uprawia ten sam ogródek! Proszę wziąć książki dwóch archeologów, którzy się nawet wcale nie znają, ale opisują te same znaleziska. Setki autorów w setkach książek pisało o Dolinie Królów

w Egipcie. Ich interpretacje różniły się od siebie, ale z konieczności miały ze sobą bardzo wiele wspólnego - Dolinę Królów! Na pewno żaden z tych autorów nie "odpisywał" od innych! Kiedy dwóch albo więcej lekarzy pisze o terapii choroby wrzodowej żołądka, w nieprzyjemny sposób łączy ich jedno - wrzody żołądka! Żeby pana uspokoić do końca: Robert Charroux odrzucił zarzut o plagiat wobec mnie. Jeśli ktoś może to ocenić, to jest to właśnie Charroux. Jeszcze jakieś pytanie w tej kwestii?

*

15. Ile zarobił pan dotąd na swoich książkach ? Czy jest pan, co można często przeczytać, milionerem ?

To byłoby wspaniałe! Ale niech mnie pan lepiej zapyta, ile dotąd wydałem. Mimo międzynarodowego sukcesu moich książek daleko mi jeszcze do zamożności. Honoraria są pochłaniane przez moje badania i przez różne podatki. Mojej rodzinie żyje się całkiem nieźle, mogę sobie pozwolić na hobby, które jest jednocześnie moim zawodem, czyli na podróże, na niezbędne kwerendy, na wiele drogich książek, na prowadzenie archiwum, jakiego nie ma w mojej dziedzinie. Jeżeli powie pan, że to wszystko jest warte miliony, to jestem milionerem. Poza tym proszę nie wierzyć we wszystko, co piszą gazety.

16. Czy pisanie bestsellerów to tylko sposób na wyciąganie ludziom pieniędzy z kieszeni? Tnk napisał w swojej książce "Interesy z fantazją" ("Gesch.,fte mit Phantasie") Pieter Coll.

Nie znam tego pana. Być może to on miał taki zamiar pisząc swoją książkę. Zapewniam państwa, że nigdy nie siadam do biurka z myślą o zrobieniu pieniędzy. Nie wygłaszam odczytów i nie biorę udziału w dyskusjach, takich jak dziś wieczór, dla zgarnięcia forsy. Chodzi mi o sprawę. O moją sprawę. Ktoś, kto twierdzi inaczej, po prostu mnie nie zna... albo świadomie mówi nieprawdę. Być może pamięta pan, że przed opublikowaniem pierwszej książki musiałem się zapożyczyć na kilkaset tysięcy franków szwajcarskich, które zainwestowałem w mój projekt... a nikt nie mógł mnie zapewnić na sto procent, że inwestycja ta się opłaci. Nie sądzę, żeby ktoś - poza mną - był przekonany o tym, że mi się uda!

17. Czy pańska żona jest zadowolona, że tak wiele pan podróżuje ?

Nie. Na pewno nie! Przez osiemnaście lat małżeństwa przyzwyczała się wprawdzie do tego... Musiała się przyzwycząić. Trzeba mnie brać takim, jakim jestem.

*

18. Co pan sądzi o parapsychologii? Jaki pan ma do niej stosunek?

To bardzo rozległa dziedzina. Nie pokrywa się wprawdzie z zakresem

moich badań, ale określiłbym się w tym miejscu jako zapalony laik.

W książce Objawienia ustosunkowałem się do niej w sposób wyczerpujący. W Objawieniach przedstawiłem hipotezę, że istoty pozaziemskie stworzyły ludzką inteligencję "na podobieństwo swoje". Istoty te wiedzą zatem, jak postępuje rozwój ludzkich mózgów, jak rozwija się nasz rozum i nasza inteligencja - na ich podobieństwo.

Od dziesiątków lat nauka próbuje "odsłonić", wyjaśnić fenomeny parapsychologii. Idzie jej z trudem, ale wydaje się, że w zakątku zwanym "telepatia" zrobiła mały kroczek. Ale mimo to: czy na podstawie dostępnej wiedzy nie jest obecnie możliwe to, żebyśmy my, Ziemianie, porozumiewali się z istotami pozaziemskimi na drodze parapsychologicznej, na przykład za pośrednictwem telepatii?

Na logikę taki telepatyczny przekaz pomyślany w danym języku nie może być odebrany tylko wtedy, kiedy odbiorca nie mówi w tym samym języku. Nie można przyjąć, że istoty pozaziemskie opanują akurat ten jeden spośród 3964 języków, którymi mówi się obecnie na Ziemi. Czy z tego istotnego powodu porozumienie będzie niemożliwe? Być może umożliwią je objawienia. Obrazy wysyłane dla wywołania emocji. Na przykład za pośrednictwem wizerunku pięknej kobiety, za pośrednictwem Madonny w Kosmosie, budzącej uczucia miłości i pokoju?

*

19. Czy wierzy pan w życie pozagrobowe?

Także o tym napisałem wyczerpująco w Objawieniach. Nie chciałbym jednak powtarzać tego, co jest w moich książkach. Ale odpowiem krótko: Podzielam pogląd niektórych tanatologów, twierdzących, że świadomość jest formą energii. Zgodnie z zasadą zachowania energii, żadnej forma nie znika, co najwyżej zamienia się w inną formę energii. Świadomość nie może więc zniknąć, musi istnieć. Gdzie i jak, tego nie wiem. Ale wydaje się, że współczesne badania zjawiska śmierci potwierdzają hipotezę, że nie jest ona końcem definitywnym.

20. Badania nad zjawiskiem śmierci? Co pan tu znowu wymyśla?

Przepraszam, ale niestety nie ja. Ta nauka ma nawet precyzyjną nazwę - tanatologia, co pochodzi od greckiego słowa thanatos, śmierć. Tanatologia gromadzi relacje ludzi, którzy byli w stanie śmierci klinicznej, ale lekarze przywrócili ich do życia.

Wszystkie te relacje są zgodne w jednym: Ludzie znajdujący się w stanie śmierci klinicznej mają uczucie wychodzenia z ciała, mogą na siebie spojrzeć z boku. Mają świadomość własnej bezcielesności, prowadzącą w inną rzeczywistość.

*

21. Czy pan jest ateistą ?

Nie, w żadnym zakamarku świadomości i w żadnym kąciку serca. Ale

pan mi nie uwierzy zakładając, że moje teorie są słuszne. Nasza bowiem planeta była kiedyś, bardzo dawno temu, odwiedzana przez istoty pozaziemskie. I owi nieznani kosmonauci przez celowe sztuczne mutacje obdarzyli naszych przodków inteligencją.

Od razu nasuwa się pytanie, kto obdarzył inteligencją owych pozaziemskich gości?! Czy ich macierzystą planetę odwiedziły kiedyś jeszcze inne obce istoty z Wszechświata i obdarzyły jej mieszkańców inteligencją?

To jakby sztafeta biegnąca przez miliony układów słonecznych, sztafeta, która rozpoczęła się przed paroma miliardami lat.

Ale gdzieś ma ona swój koniec, czy raczej początek wszelkiego bytu.

W tym punkcie zerowym wszelkiego istnienia mówię z respektem o stworzeniu - religie mówią o Bogu, choć mają na myśli to samo zjawisko: pierwotną siłę stwórczą, tajemnicę, początek. Tu, właśnie tu, jest miejsce dla tego, co z braku lepszego określenia nazywamy Bogiem.

Przyznaję, że przez te wszystkie lata moich poszukiwań zgubiłem wielu małych ziemskich bożków, nie straciłem jednak tego, co nieogarnione rozumem, nie dającego się opisać - Boga. Przeciwnie. Stał się dla mnie jeszcze większy, jeszcze bardziej nieosiągalny i niepojmowalny niż dotąd.

*

22. Erich, jakie są twoje poglądy polityczne?

Przepraszam, ale czy my się znamy?

Nie. Skąd?

Myślałem tylko. . .

No, to jakie są twoje poglądy polityczne?

Pytanie nie wiąże się wprawdzie z moimi teoriami, ale jeśli cię to już interesuje, powiem!

Nie cierpię prawicowych ekstremistów. Dlatego że w rządzonych przez nich państwach władza opiera się na klikach i jest popierana przez wojsko. Istnieją tam zakazy mające charakter zachowawczy, hamujący postęp. Bronią się na przykład przed przyjezdnymi. Ale jeszcze bardziej nie lubię ekstremistów lewicowych. W państwach, w których są u władzy, każdy człowiek jest niejako prowadzony za rączkę a do tego szpiegowany. Roi się tam od nakazów i zakazów. Nie wolno jeździć, gdzie ma się ochotę, ani czytać, na co się ma ochotę. Jestem przeciw wszystkiemu, co ogranicza wolność słowa, wolność podróżowania, swobodę wyboru dowolnej lektury i tak dalej.

Teraz możesz mnie zasufladkować, jak ci się podoba.

*

23. W pewnym magazynie science fiction zjechano właśnie od góry do dołu pariskie książki i opatrzone pana stempelkiem rasisty. Czy pan to czytał? Czy jest pan rasistą?

Jestem abonentem wycinków prasowych. Stąd wiem codziennie, co pisze się o mnie na świecie. Brak mi czasu na przeczytanie wszystkiego, ale czytam rzeczy najważniejsze, wybrane przez mojego sekretarza. Ku swojemu największemu zdumieniu dowiedziałem się, że zjechano mnie nie w jednym, lecz w wielu czasopiśmie science fiction i że określono mnie obelżywym mianem rasisty.

Porównawszy wiele takich artykułów szybko przejrzałem tę dziecinną napaść - tak kopie się dołki natury politycznej!

Muszą państwo wiedzieć, że w branży science fiction jest mnóstwo łgarzy, wśród których są też ludzie uważający się za bardzo mądrych i dalekowzrocznych, choć naprawdę są zwolennikami przestarzałych pojęć dawno zmodyfikowanego marksizmu. Biorą więc pod obcas wszystko, co nie pasuje do jedynie słusznej teorii. Ja nie pasuję do tego schematu i zaraz państwu powiem dlaczego.

Dla marksistów czystej wody i salonowych komunistów wszelkiej maści człowiek jest istotą najwyższą, nec plus ultra. Z materii nieożywionej, z niczego, człowiek stał się tym, czym jest dziś. W tym czysto materialistycznym myśleniu nie ma miejsca dla Boga czy bogów, biorących udział w akcie stworzenia. Swoim wspaniałym węchem ludzie ci zwietryli, że niespodziewanie stałem się elementem zakłócającym porządek na ich ideologicznym podwórku, przeszkadza im zapewne również i to, że właśnie na uniwersytetach wielu krajów pojawiają się ciekawi świata młodzi ludzie, gotowi przyjąć moją teorię. Z tego i innych powodów potępiają mnie ci ubodzy duchem. Oczywiście tylko w ra-

mach jedności swojej międzynarodowej struktury. I słusznie!

Bez zastrzeżeń i bez wyjątku stwierdzam, że wszyscy, którzy określają mnie mianem rasisty, że ci wszyscy nie przeczytali żadnej mojej książki, nie mówiąc już o jej zrozumieniu!

Stale twierdzę, że człowiek stał się istotą inteligentną dzięki celowej, sztucznej mutacji. Mogą państwo przekopać moje książki, postawić je na głowie - nigdzie nie znajdą państwo miejsca, w którym twierdziłem, że istotą inteligentną stała się dana ludzka rasa. Ponieważ wszyscy ludzie wszystkich ras są inteligentni i mogą się ze sobą krzyżować, to spuścizna bogów dotyczy niejako całej ludzkości.

Jeżeli państwo pozwolą, dla sprowadzenia do absurdu i ostatecznego odrzucenia zarzutu o rasizm posłużę się cytatem z mojej pierwszej książki Wspomnienia z przyszłości:

"Ostatnie poznanie człowieka będzie więc polegało na zrozumieniu że jego dotychczasowy sens życia i wszystkie wysiłki na rzecz postępu sprowadzają się do tego, żeby czerpać wiedzę z przeszłości. Jest to konieczne, jeśli człowiek ma być zdolny do życia i współżycia w Kosmosie. Skoro tak się stanie, to najmądrzejszy i zdeklarowany indywidualista przekona się, że zadanie wszystkich ludzi polega na zasiedleniu Kosmosu i wzajemnym przekazywaniu sobie energii i doświadczeń. Wówczas spełni się obietnica "bogów" o pokoju na Ziemi i otwartej drodze do nieba.

Skoro tylko będące do dyspozycji siły, środki i zasoby intelektualne przeznaczone zostaną na badania Kosmosu, to ich wynik doprowadzi

do całkowicie oczywistego wniosku o bezsensie wojen na Ziemi. Kiedy ludzie wszystkich ras, ludów i narodów zjednoczą się w ponadnarodowym zadaniu, aby uczynić technicznie możliwymi podróże na odległe planety, Ziemia ze wszystkimi swoimi miniproblemami odnajdzie właściwą dla siebie miarę na tle Wszechświata." (Oklaski)

24. To dlaczego nie reaguje pan na tak perfidne zarzuty jak ten, że pan jest rasistą ?

Bo te nedorzeczne ataki i ich autorzy są niżej mojego poziomu!

*

25. Atakuje się pana czgsto i gwałtownie w prasie. Jeszcze nigdy nie czytałem pańskiej odpowiedzi. W ten sposób powstaje fałszywy obraz. Ludzie sądzą, że nie ma pan nic do powiedzenia na zarzuty, a więc to, co napisano jest słuszne. Muszę powiedzieć, że sam pan odpowiada za swój wizerunek. Dlaczego się pan nie broni? Czemu nie daje pan sprostowań? Zwykle przez dwieście dni w roku nie ma mnie w domu. A kiedy wracam, nie mam ani czasu, ani ochoty czytać wszystkiego, co o mnie w tym czasie powypisywano. A jeśli już czytam niektóre artykuły - które złoścą mnie, przyznaję, tak samo jak pana! - jeśli je czytam, to najczęściej są opublikowane na tyle dawno, że nie opłaca się na nie odpowiadać. Nie mogę wymagać od gazety, aby publikowała moją odpowiedź na artykuł sprzed dwóch miesięcy. Dla prasy to zeszłoroczny

śnieg. Moje obiekcje byłyby po prostu nieaktualne.

26. To niech pan idzie do sądu! Wnieście oskarżenie!

Proszę wybaczyć moje rozbawienie! Zastanówmy się, jak to wygląda w praktyce. Gdybym wniósł sprawę do sądu, musiałbym wziąć dobrego adwokata, który zażąda zaliczki w wysokości paru tysięcy marek.

Wyobraźmy sobie, że wygram sprawę w pierwszej instancji. Wtedy strona przegrana wnieście rewizję do instancji wyższej. A to będzie dla mnie znów strata czasu i pieniędzy. Ale to jeszcze nie koniec, strona przegrana może jeszcze uruchomić najwyższą instancję, na co nie wypada się nie zgodzić - sprawę trzeba doprowadzić do końca - przecież nie mogę przegrać! A więc kolejne wydatki, nie mogę wyjeżdżać, nie mogę wygłaszać odczytów, bo muszę pojawiać się na kolejnych rozprawach a poza tym wymaga to mnóstwa przygotowań, bo muszę z moim adwokatem ustalić linię ataku.

Proszę mi wierzyć, ale redakcja każdego z takich czasopism mających za sobą wydawnictwo jest znacznie bogatsza ode mnie. A co się stanie, jeżeli wygram, przebrnąwszy w końcu przez wszystkie instancje?! Po dwóch albo trzech latach redakcja zostanie zobowiązana do opublikowania sprostowania. Tymczasem czytelnik dawno już zapomniał, o co chodzi. Na koniec i tak okaże się, kto jest silniejszy: redakcja na pewno opublikuje sprostowanie opatrzone szyderczym komentarzem - którego nie da się już podważyć z prawnego punktu widzenia! Taka jest prawda. Czy nadal będzie mi pan doradzał, abym wniósł sprawę do sądu?

*

27. Czy w przyszłym roku wyjdzie kolejna pańska książka?

Nie, na pewno nie.

28. A w 1979?

Nie potrafię powiedzieć, nie wiem. Nie pracuję według planu. Książka

musi dojrzeć do napisania. Trzymam kilka ogonów za sroki, prze-

praszam: kilka srok za ogon, i jeśli któraś zerwie się do lotu... to wtedy!

Nie mogę się powtarzać, bo wzięliby mi to państwo całkiem słusznie za

złe. Znow będzie potrzeba wiele poszukiwań i wiele podróży, co z kolei

kosztuje mnóstwo pracy, czasu i pieniędzy. Jeśli pyta mnie pan dziś

o datę, to sądzę, że nowa książka powstanie w 1980. Ale, powiem bez

ogródka, od dawna w wolnych chwilach myślę o powieści. Jeśli

zdecyduję się w końcu na jej napisanie, to ukaże się w 1979 roku.

29. Czy pańscy przeciwnicy nie wezmą tego panu za złe?

Niech wezmą! Będę się tylko z tego śmiał! Jako autor powieści znajdę

się w najlepszym towarzystwie! Słyszał pan może o brytyjskim matema-

tyku i astronomie Fredzie Hoyle'em. Nie? Hoyle jest słynnym nauko-

wcem - na podstawie ogólnej teorii względności przedstawił izotropicz-

ny model Wszechświata, dowodzący ciągłości powstawania materii. Jest

to powszechnie akceptowana tak zwana teoria "steady-state". Ten

znakomity naukowiec jest jednak również znanym autorem wspania-

łych powieści science fiction. Na początku jego koledzy po fachu brali mu to za złe, ale z czasem się przyzwyczaili.

Po napisaniu powieści znaję się też w towarzystwie Artura C.

Clarke'a. Clarke studiował matematykę i fizykę, jest członkiem szacowanego Royal Astronomical Society, był prezesem British Interplanetary Society. Otrzymał wiele renomowanych nagród za prace na temat teorii lotu oraz podróży kosmicznych. . . i ten właśnie pan Clarke pisuje powieści science fiction, które wydano na świecie w nakładzie przekraczającym pięć milionów egzemplarzy.

Czy muszę państwu mówić, że jest z tego powodu atakowany? Ale ludzie zawistnych nie trzeba brać poważnie!

*

30. Pańskie książki osiągnęły na świecie łączny nakład 38 milionów egzemplarzy.

Nawet trochę więcej!

31. Każda książka ma wysokość 20 cm. Położone jedna za drugą miałyby długość 7600 kilometrów. Wie pan o tym?

Nie, nigdy nie wpadłem na pomysł, żeby to policzyć. Poza tym jestem słaby w rachunkach.

32. Pańskie książki mają przeciętnie grubość 3,5 cm. I ułożone jedna na drugiej stworzyłyby wieżę o wysokości 1 330 000 metrów!

Ciekawe, nie mogę teraz tego sprawdzić, ale nie wiem również, po co takie wyliczenia?!

Po nic. Chciałem panu tylko wyliczyć, jak bardzo przerósł pan niektórych ludzi!

Dzięki za komplement!

33. Czy jest pan przeciwnikiem elektrowni atomowych?

Nie.

34. Co?! Ktoś taki jak pan, tak interesujący się przyszłością, ma przecież cholerny obowiązek przestrzegania swoich czytelników i słuchaczy przed straszliwym niebezpieczeństwem wykorzystywania energii atomowej. Czy jest pan na to za wielkim tchórzem?

Mój panie, czy chce pan zamienić ten wieczór w dyskusję na temat energii jądrowej? Mamy tu dziś inny temat...

35. Odważny pan von Daniken jest tchórzem! Sam zajmuje się pan nauką, ale kiedy pańscy czytelnicy zadają panu zasadnicze pytanie w kwestii energii jądrowej, to pan tchórzy! Czyż nie powiedział pan na wstępie, że odpowie pan na wszystkie pytanie dotyczące dziedziny, którą się pan zajmuje, i pańskiej osoby?

Powiedziałem, i będę się przy tym upierał. Ale pańskie pytanie nie

dotyczy ani sprawy, ani mojej osoby!

36. Nie?! Czy nie dotyczy pańskiej osoby twierdzenie, że jest pan zbyt wielkim tchórzem, aby zająć stanowisko w tak palącej i ważnej dla wszystkich kwestii? (Śmiech)

Tchórzem? A czy na pytanie, czy jestem przeciw budowie elektrowni atomowych, nie odpowiedziałem panu jasno: "nie"? Sądzę, że teraz trzeba mieć trochę odwagi, aby się przyznać, że aprobeuje się wykorzystywanie energii jądrowej... (Krzyki i gwizdy)

Proszę! Słyszają państwo! Zadano mi pytanie. Zapewne po to, abym wypowiedział własne zdanie! I odpowiedziałem na nie jednym, jasnym słowem. Skończmy z tym może!

(Okrzyki: "Nie!", "Niech pan nie będzie tchórzem!")

"Boi się!", "Niech pan odpowie!" etc.)

Szanowni państwo! Widzę, że przeciwnicy energii atomowej stanowią dziś większość. Nie uda się nam wrócić do rzeczowej, spokojnej dyskusji, jeżeli nie zajmę w tej sprawie stanowiska. Ale mam jedną prośbę: Zachowujmy się tak jak dotąd, chciałbym w spokoju przedstawić moje poglądy.

A więc:

Kiedy przed paru laty czytałem pierwsze propagandowe pismka w tej kwestii, również byłem przeciwny wykorzystywaniu energii atomowej. Alejak na mój gust argumentami w tej sprawie były za często slogany, brakowało mi rzeczowego za i przeciw. Dla określenia

własnego stanowiska zastosowałem moją starą metodę... czyli udałem się pod właściwy adres! We właściwym miejscu znalazłem właściwych naukowców i techników. Zacząłem ich pytać. Poza tym byłem w działających elektrowniach atomowych.

W trakcie tego dochodzenia zorientowałem się szybko, że w materiałach propagandowych przeciwników energu atomowej umieszcza się wypowiedzi fizyków o światowej sławie wyrwane z kontekstu. Zebrałem oświadczenia specjalistów i stwierdziłem, że ich poglądy różnią się całkowicie od ich okrojonych wypowiedzi na ulotkach! Nie podobało mi się to. Zupełnie. Przeciwnicy energii atomowej skaptowali paru ludzi z elity, a nawet fachowców - na przykład futurologa Roberta Jungka, który wprawdzie wszystko ma już dawno za sobą, umie jednak nadal zadziałać z telewizora wymownym spojrzeniem i zmarszczonym czołem.

Czarno na białym przeczytałem i usłyszałem, że odpowiedzialni naukowcy i technicy zajmujący się zawodowo sprawami energii atomowej są za jej wykorzystywaniem.

37. Ale ich opłaca lobby atomowe! A może nie!

Takimi wyświechtanymi stwierdzeniami nie zrobi pan na mnie żadnego wrażenia! Ogromna rzesza rozsądnych, patrzących daleko w przyszłość, bardzo odpowiedzialnych naukowców z całego świata nie jest przecież przekupywana przez energetyką jądrową - bo to pan chciał chyba powiedzieć! - a naukowcy ci są za wykorzystywaniem

energii atomowej.

38. Pana też przekupili! Pieniądze nie śmierdzą!

Chce pan powiedzieć, że rosyjscy naukowcy potrzebują lobby?! Oni pracują nad wykorzystaniem energii atomowej tylko na zlecenie swojego przywództwa, a mądrzy i dalekowzroczni władcy na Kremlu wiedzą, że gospodarka krajów komunistycznych padnie bez energii jądrowej.

Dlatego - myślę, że pan to czytał! - dlatego kraje bloku wschodniego postanowiły pod koniec czerwca 1977 roku w Warszawie zainwestować w program rozwoju energetyki jądrowej do 1980 roku ponad 10 mld dolarów. Proszę posłuchać: w Warszawie postanowiono też natychmiastowe wprowadzenie do seryjnej produkcji elektrowni atomowej o mocy 700 MW! Rosjanie są za mądrzy, żeby nie wykorzystywali dyskusji toczących się na Zachodzie dla zrobienia szalonego kroku w technice! I proszę dobrze posłuchać: produkowane seryjnie elektrownie atomowe postanowiono również eksportować do krajów rozwijających się!

39. Gdzie pan wyczytał takie bzdury?

Każdy, kto umie czytać, znajdzie to w prasie, ta zaś cytowała informację agencji TASS o Konferencji Warszawskiej. Muszę niestety powiedzieć, jest pan ślepy na jedno oko. To, o czym panu mówię, było doniesieniem urzędowym, a żeby pana usatysfakcjonować, mogę jeszcze powiedzieć, że w Dortmundzie pokazano mi artykuł zamieszczony

w pewnej komunistycznej gazecie. W artykule tym pisano - słusznie!

- z dumą o postępie w Związku Radzieckim! Słyszał pan, że gdzieś dzwonią, ale nie wie gdzie! (Śmiech)

Chciałbym teraz pokrótce powiedzieć, co moim zdaniem przeciwnicy energii atomowej przedstawiają w sposób niesłuszny.

Twierdzą wciąż - rozumiem doskonale, że u ludzi, którzy mają świeżo w pamięci tragedię w Hiroszynie, budzi to straszne obawy - twierdzą wciąż, że elektrownie atomowe są równie niebezpieczne jak bomby atomowe, a w razie zaistnienia serii czynników może dojść do eksplozji takiej "elektrowni-bomby". Twierdzenie takie, muszę to powiedzieć wyraźnie, jest kompletną brzdurą! Gdyby elektrownia atomowa wyleciała w powietrze, to "wyleciałyby w powietrze" wszystkie prawa fizyki, a wówczas nie mielibyśmy już dawno żadnych możliwości, bo prawa te towarzyszą nam już od dość długiego czasu!

Twierdzi się, że klęski żywiołowe - na przykład trzęsienie ziemi - mogą uszkodzić reaktor atomowy, a wtedy promieniowanie radioaktywne na zawsze zniszczy środowisko naturalne. W tym jest pewien szkopuł! Bardzo, bardzo silne trzęsienie ziemi może - wchodzimy tu w sferę skrajności statystycznych - doprowadzić do katastrofy.

Podobny sytuacja byłaby w razie wojny... ale z bronią nuklearną pod bokiemy żyjemy już od lat!

Czy mam przypomnieć, że początkowo przeciwko budowie elektrowni wodnych protestowano bez dobrze zorganizowanych, czasem

wydaje się, że zawodowych inicjatyw obywatelskich? Że robili tak nasi dziadkowie i pradiadkowie!? I że również te wiekowe obiekty energetyki powodowały katastrofy, kiedy pękały zapory?! Czy w elektrowniach węglowych i opalanych olejem nie zdarzają się wypadki, powodujące szkody środowiska naturalnego? O, przepraszam, zapomniałem, że nie należy też budować elektrowni węglowych i na olej opałowy. Zapalmy kaganki! Wróćmy do natury!

Mówi się, że odpady radioaktywne stanowią zagrożenie dla przyszłych pokoleń! Szanowni państwo, wierzę w naukę! Przecież ledwie wczoraj Max Planck sformułował prawo promieniowania, Niels Bohr stworzył model atomu, a Otto Hahn dokonał rozszczepienia jądra uranu! A dziś energię jądrową już wykorzystujemy! Uważam drogę do tego miejsca za trudniejszą od drogi do znalezienia metod unieszkodliwiania odpadów promieniotwórczych.

Bądź co bądź wiemy już, że bloki z tymi odpadami mogą być składowane w podziemnych pomieszczeniach przez setki lat bez szkody dla środowiska! Jestem pewien, że znajdziemy nieszkodliwe dla środowiska miejsca składowania odpadów atomowych. Przyszłe pokolenia nie będą takie głupie, żeby ich nie kontrolować... a może znajdą inne, prostsze metody unieczyszczenia odpadów promieniotwórczych, tych niebezpiecznych śmieci, które dziś wywołują tak częste dyskusje.

40. Niech pan coś zaproponuje!

Odważny krzykaczu, czego pan jeszcze chce ode mnie?! Powiem panu

tylko, nad czym debatuje nauka: Być może pewnego dnia odpady promieniotwórcze wystrzeli się w kierunku Słońca albo jakiejś czarnej dziury! To, co dziś niemożliwe ze względu na koszty, nie musi być niemożliwe w przyszłości! Ja ufam w przyszłość, ufam, że znajdzie się rozwiązanie, o jakich dziś nawet nie śnimy...

41. Cóż to znów za obrzydliwe "czarne dziury"? To pan je wymyślił?

Ależ, mój panie, jestem gotów udzielać panu wszelkich informacji, ale nie będę dawać panu korepetycji w dziedzinie współczesnej nauki. Ma pan czarną dziurę w swojej wiedzy, proszę ją czym prędzej zapełnić!

42. Zagrożenie plutonem pomija pan zapewne rozmyślnie? Można przeczytać, że terroryści mogą skonstruować domowym sposobem głowice atomowe i zagrozić całym narodom!

Ma pan rację. Dlatego jestem przeciwny szybkim reaktorom powielającym, bo wytwarzają one wielokrotnie więcej plutonu od "zwykłej" elektrowni atomowej.

43. Jest pan gorliwym czytelnikiem prasy. Nie czytał pan, ile wypadków śmiertelnych wydarzyło się w elektrowniach atomowych?

Chwileczkę, mogę to panu powiedzieć dokładnie, dziś było coś takiego w gazecie... O tu! Związek Zawodowy Górnictwa i Pracowników Energetyki informuje, że w 173 elektrowniach atomowych działających na świecie, że w tych elektrowniach w okresie od 1945 do

1975 roku wydarzyło się tylko siedem wypadków śmiertelnych spowodowanych napromieniowaniem. Jestem pewien, że w elektrowniach węglowych, olejowych i wodnych było w ciągu tych trzydziestu lat więcej wypadków śmiertelnych, tylko się o tym nie mówi. Poza tym Światowa Agencja Energii Atomowej stwierdziła, że dotychczas nie zdarzył się jeszcze żaden poważny wypadek zagrażający środowisku! Awarie, które wyolbrzymia się w prasie, awarie takie zdarzają się codziennie w zakładach przemysłowych wszystkich branż, ale poza niewielką notatką w prasie lokalnej nic się o nich nie mówi! Ale życie ludzkie zawsze jest życiem ludzkim, niezależnie od tego, gdzie się kończy.

Kiedy w elektrowni atomowej zerwie się jakiś przewód, to choć wielokrotne zabezpieczenia sprawiają, że wszystko zaraz znajdzie się znów pod kontrolą, to z faktu tego robi się sensację na miarę końca świata. Nadzwyczajna staranność, wszelkie możliwe zabezpieczenia - wszystko jest oczywiste, ale, moi państwo, myślę, że wyrazem nieodpowiedzialności i hysterii jest przykładanie tu różnych miar! I to tylko po to, żeby zbuntować ludzi przeciw nieuchronności postępu. Czynniki ludzkie może zawieść wszędzie, jestem jednak przekonany, że nigdzie nie przykładają się równie wielkiej wagi do bezpieczeństwa jak w elektrowniach atomowych. Nikt poważny nie kwestionuje chyba faktu, że elektrownie atomowe dostarczają najczystszej energii w naszym stuleciu! I jestem przekonany, że jest to energia najbezpieczniejsza - czy się to panu podoba, czy nie! (Oklaski i krzyki)

44. Nie zgadzam się! Trzeba budować więcej elektrowni węglowych! Czy nie wystarczyły nam dotychczas?!

Nie dość, że zachowuje się pan jak fanatyk, to jest jeszcze źle poinformowany. W przeciwieństwie do raczej nieszkodliwych dla środowiska elektrowni atomowych elektrownie węglowe wypuszczają do atmosfery ogromne ilości dwutlenku siarki, nie mówiąc o innych truciznach. Właśnie w aglomeracjach miejskich, w których pobliżu buduje się takie elektrownie, właśnie tam spaliny z elektrowni węglowych stanowią wielkie zagrożenie dla zdrowia. Ochrona środowiska idzie zawsze w parze z ochroną krajobrazu. Czy wie pan, że elektrownia węglowa zajmuje znacznie większą powierzchnię od atomowej?! Fakt, że energia uzyskiwana z węgla jest nieporównanie droższa, nie stanowi zapewne dla pana argumentu...

45. Trzeba równomiernie rozdzielać istniejące zasoby energii!

Równomiernie między kogo czy dla kogo?

46. Przemysł musi oszczędzać prąd!

Przemysł nie zużywa nawet połowy wytwarzanego prądu! Jak zechce pan tak rozdzielać niedobór, to dojdziemy do ostateczności, mój panie!

Nie będzie pan mógł używać urządzeń gospodarstwa domowego w swoim domu!

Wie pan chociaż, jak chce się rozdzielić ten niedobór? Mówi pan

"równomiernie"?! Ceny energii elektrycznej trzeba by podnieść tak drastycznie, żeby ludzie stracili ochotę na mycie naczyń w zmywarkach, żeby myli się zimną wodą, żeby nie trzymali w domu zapasów, bo energia zużywana przez lodówki byłaby za droga, niezwykle drogie byłoby nawet oglądanie telewizji!

Zakładam, że jest pan skłonny to wszystko zaakceptować, ale co z bezrobociem? Ludzie przestaną kupować pralki, odkurzacze, radia i tak dalej, bo nie będą sobie mogli pozwolić na ich używanie. Zmniejszy się en masse liczba miejsc pracy. Na zawsze. Chce pan tego? Chce pan, żeby było więcej biedy, bo przecież mówi pan o jej równym podziale? A może chce pan przykręcić prąd przemysłowi? Nie rozumiem, co panu chodzi po głowie! Nie myśli pan chyba, że rozwój trzeba zastopować. . .

47. Inicjatywy obywatelskie tysięcy ludzi przypuszczają na całym świecie szturm na elektrownie atomowe. Czy to wszystko są idioci?

Bynajmniej, istnieją jednak dwie kategorie przeciwników energii atomowej. Jedni mają motywację polityczną - to oni są inspiratorami tego ruchu. W istocie wcale nie chodzi im o ostrzeżenie przed niebezpieczeństwem związanym z energią jądrową.

Jest i kategoria druga, która nie ma nic, ale to nic wspólnego z pierwszą! Zaliczają się do niej zaniepokojeni, rozważni obywatele, wierzący całym sercem, że działają w słusznej sprawie. Nie są oni jednak niestety rzeczowo i dostatecznie poinformowani. W dobrej wierze

przyjmują - i to świadczy o zręczności kategorii pierwszej - tylko wybrane argumenty.

Czy sądzi pan, że w XIX wieku obywatele, którzy zbierali się, aby protestować przeciwko wprowadzaniu elektryczności, byli nie mniej szacowni? Co by było, gdyby już wówczas pojawiły się inicjatywy obywatelskie, które za pośrednictwem radia, prasy, telewizji i partii politycznych rozgłaszałyby, że za sprawą dziwnego nowego wynalazku zwanego elektrycznością nastąpi koniec świata? Za pomocą argumentacji podobnej do dzisiejszej. Bo wówczas elektryczność była naprawdę wynalazkiem budzącym grozę!

Dziś można powiedzieć, że dzięki Bogu nie było wtedy inicjatyw obywatelskich. Inaczej nie mielibyśmy światła elektrycznego, radia, telefonów, telewizorów, lodówek. Żylibyśmy w kraju zacofanym. Znam takie kraje z moich podróży, zapewniam państwa, również, a może zwłaszcza tych, którzy tak chętnie występują przeciwko energii atomowej, że nikt z obecnych w tej sali nie chciałby tam żyć!... Nie, mój panie, pan również nie!

Uważam za słuszny i konieczny - my, Szwajcarzy, stosujemy to już od zamierzonych czasów - uważam za słuszny współdziałanie obywateli w podejmowaniu wszystkich ważniejszych decyzji, tak - nawet przez wyrażanie swojego wotum. Przy takim nastawieniu uważam jednak, że powinniśmy uważniej słuchać opinii fachowców, nie powinniśmy natomiast dawać się tak łatwo nakłaniać dwuznacznej agitacji. Ponieważ jest to naprawdę - być może rozstrzygająca - decyzja dotycząca

naszej przyszłości, powinniśmy sobie zatykać uszy, kiedy z przyczyn taktycznych politycy stają na czele pozornie popularnego nurtu. Nie lubię polityków płynących z prądem, od polityków oczekuję, żeby robili dużo szumu. (Oklaski)

48. Jestem żoną i matką, która z troski o swoje dzieci bierze udział w marszach antyatomowych. Nlówił pan o przeciwnikach politycznych. Z polityką nie mam nic wspólnego. Proszę wymienić mi ludzi, którzy za naszym pośrednictwem robią polityczny interes...

Proszę pani, nie chciałbym kontynuować tego tematu, bo nie jest to temat tego wieczoru. Jestem gotów usiąść z panią potem w restauracji na dole. Przy szklance wina możemy podyskutować...

(Zgiełk. Okrzyki: "Tak", "Niech odpowie!", "Tchórz!", gwizdy)

49. Proszę, musi pan odpowiedzieć!

Dobrze. Chce pani znać moje zdanie. Dla osób zaangażowanych w politykę energia atomowa jest tylko pretekstem do zmiany naszego systemu społecznego. Proszę mi nie przerywać...

Rachunek jest prosty. Mniej energii oznacza zwiększenie bezrobocia. Zwiększenie bezrobocia oznacza większą liczbę ludzi niezadowolonych, podatniejszych na manipulacje. Oznacza to jednak zarazem większe wydatki państwa na zasiłki dla bezrobotnych i opiekę społeczną. W tej sytuacji państwo będzie musiało zdobyć więcej pieniędzy zwiększając

podatki i pobierając inne opłaty od pracującej części społeczeństwa.

Skutek? Zwiększy się krąg niezadowolonych. Masy zaczną przypominać beczkę prochu, do której wystarczy doprowadzić lont. W polityce zapanuje chaos! A właśnie tego pragną polityczni inspiratorzy demonstracji antyatomowych.

Zmniejszenie ilości energii elektrycznej równa się zmniejszeniu produkcji, co równa się z kolei mniejszej liczbie miejsc pracy, co równa się z kolei większemu niezadowoleniu, którego skutkiem mogą być zamieszki i przewrót!

Szanowni państwo, za późno pytać o powody tej zmiany tematu, ale istnieje przecież równie ważny cel, zakładam, że zajmiemy się teraz innym celem ataku. Ten jest tylko pretekstem!

Temat, w który mnie wmanewrowano, zanadto wypełnia nasz wieczór. Ale jeżeli będą mi państwo nadal uparcie zadawać takie pytania, rzucę na problem trochę światła, z czym się państwo po namyśle zgodzą.

Jak bezpieczne są, zdaniem państwa, metody uzyskiwania energii, którą obecnie wykorzystujemy? Będącej motorem postępu i dającej nam dobrobyt?

Jeszcze niedawno na powody zmian klimatycznych, które właśnie obserwujemy, meteorolodzy mieli prawie tyle samo różnych teorii, ile osób liczy ich branża. Teraz jednak zgodzili się co do tego, że to ludzkość jest sprawcą zmian klimatycznych, prowadzących zresztą do jej zguby.

Nie, nie, powodem tego nie są elektrownie atomowe, ale proces

uzyskiwania energii przez spalanie węgla, drewna, oleju opałowego i gazu ziemnego. Przerazającym zmianom klimatu są winne ponad cztery miliardy ludzi... tylko dlatego, że nie chcą marznąć i chcą mieć pracę! Ale spalając drewno i zapasy kopalin wypuszczają do atmosfery ogromne ilości dwutlenku węgla, który niczym nieprzepuszczalna osłona otacza kulę ziemską. Śmiertelna osłona. Ziemia nie może oddać ciepła otrzymanego ze Słońca, bo nie pozwala na to warstwa dwutlenku węgla. Co się stanie - a dowiemy się tego my sami - co będzie tego skutkiem?

Nauka twierdzi, że jeśli nic się nie zmieni, to za 2730 lat wielkie połacie żywej ziemi ulegną zestepowieniu! Dwutlenek węgla, a wytwarzamy go my wszyscy, zmieni procesy chemiczne w atmosferze tak, że gwałtowne zmiany klimatyczne doprowadzą, będą musiały doprowadzić do katastrofy.

Najgorsze, że warstwa dwutlenku węgla się nie zmniejsza! Z dwutlenku węgla wyemitowanego do atmosfery w ostatnim stuleciu pozostało do dziś, do teraz, jeszcze 50%, a my codziennie puszczamy "do góry" kolejne gigantyczne ilości tego gazu! Tak, jeżeli protestuje się przeciw energii atomowej, to trzeba wiedzieć i trzeba mówić, że ilość biomasy przetwarzającej w procesie fotosyntezy dwutlenek węgla na tlen zmniejszyła się już dawno skutkiem wyrębu wielkich połaci leśnych.

Jeśli ludzkość ma przeżyć, technika musi, moi państwo, rozwiązać również ten problem - spalania drewna i węgla, oleju i gazu ziemnego. Rozwiązać przez wprowadzenie nowych form energii, a pierwszym

praktycznym a zarazem najczystszy rozwiązaniem tego problemu jest energia atomowa. A przynajmniej na razie nie ma nic lepszego. Jeżeli się coś pojawi, natychmiast zapomnę o energii atomowej! Poza tym nie można być ciągle tylko przeciw, trzeba być też za. Wiemy, że życie i postęp mają ogromną cenę, ale nie będzie jej czym zapłacić, jeśli będziemy postępować jak dotąd.

Na koniec, naprawdę na koniec tej nie chcianej, nie chcianej przeze mnie dyskusji, nie mogę nie wspomnieć o pewnym pikantnym szczególe. Wiosną tego roku [1977] odbyła się w D,,nikenie - nic nie poradzę, jest taka miejscowość w Szwajcarii i tak właśnie się nazywa - odbyła się w D,,nikenie demonstracja antyatomowa. Władze kantonu Solura poprosiły o pomoc przy ochronie gotowej elektrowni atomowej około 1000 policjanów z sąsiednich kantonów. Całkowity koszt ochrony wyniósł ponad dwa miliony franków szwajcarskich! Wiedzą państwo, kto za to zapłacił? Państwo i ja, z podatków! Nie demonstranci!

50. Powinni zabulić właściciele elektrowni atomowych!

Myli się pan, nieznanym przyjacielu! Elektrownie atomowe, przynajmniej w Szwajcarii, są zwykle własnością Konfederacji, kantonów, gmin i instytucji publicznych. Poszkodowani są więc za każdym razem podatnicy! (Niezrozumiałe krzyki)

Proszę mi wybaczyć, ale zakończę tę dyskusję... Czy ktoś ma pytania dotyczące mojego odczytu albo moich książek? Proszę...

*

51. Chciałbym panu powiedzieć, co razi mnie w pańskich teoriach.

Dobijają czytelnika przykładami z dziedziny chemii, fizyki i techniki.

Poruszają problemy archeologiczne. Potem wypuszcza pan powódź cytatów z Biblii, "Gilgamesza" i Bóg wie czego. Co ma z tym zrobić czytelnik?

Zaakceptować pańskie interpretacje? Czy dotąd wszyscy się mylili?! Na podstawie tych samych tekstów inni dowodzą całkiem innych hipotez. Jaki powinien być pariskim zdaniem czytelnik idealny?

Chciałbym mieć czytelników krytycznych, otwartych na świat, zdejmujących z oczu klapki, będące skutkiem wychowania czy nauki - czytelników myślących i zastanawiających się, jak było naprawdę.

Czytelnik idealny, o jakiego pan pyta, powinien mieć sporą dozę optymizmu co do przyszłości. Przepraszam, ale rzygać mi się chce na samą myśl o modnym dziś czarnowidztwie! (Oklaski)

Ma pan całkowitą rację: na podstawie tych samych tekstów inni wyciągają zupełnie inne wnioski niż ja. Chciałby się pan dowiedzieć, od czego to zależy...

Autor ograniczający się do swojej dziedziny, powiedzmy archeolog, etymolog czy teolog, otrzymał określone wykształcenie. Wyrósł na literaturze fachowej wielu, bardzo wielu poprzedników - jego umysł znajduje się zatem pod wpływem "premyślicieli". W końcu nie potrafi myśleć inaczej i odrzuca każdą nową dla siebie, inną interpretację jako niefachową, jako nierzeczową, jako nonsens. Ale, mój panie, jeśli chodzi

o różnorodne interpretacje starych tekstów, nie tylko ja toczę spory z naukowcami - naukowcy tej samej dziedziny też drą ze sobą koty. To groteskowe, ale prawdziwe.

Psycholog - tu wchodzimy między linie frontu wszystkich dziedzin nauki - zinterpretuje opisy ze Starego Testamentu, przedstawiające objawienia połączone z dymem, drżeniem ziemi, ogniem i śwędem, zupełnie, ale to zupełnie inaczej niż teolog. Który z nich dotarł do "prawdy", nie można dziśjeszcze stwierdzić, dlatego uważam, że równie uprawnione jest poddanie pod dyskusję moich interpretacji jak interpretacji spierających się ze sobą naukowców.

W jednym punkcie, jak twierdę, wyprzedzam innych badaczy - mianowicie wtedy, gdy w starych tekstach pojawiają się opisy techniczne, o których dawny kronikarz nie miał pojęcia. Albo wtedy, gdy stare przekazy zawierają dane, które wedle ówczesnego stanu wiedzy nie mogły się tam znaleźć! W tych punktach, które należy dokładnie zaznaczyć, reprezentuję pogląd, że próg zrozumienia tekstów należy pokonać stosując interpretacje nowe - nie psychologiczne albo teologiczne! Ponieważ nasi przodkowie sami przekazali nam informację, że źródłem wiedzy był dla nich "bóg" względnie "bogowie", twierdę zupełnie słusznie, że ta wiedza pochodziła od istot pozaziemskich!

52. Może pan podać jakiś przykład?

W moich książkach jest pełno takich przykładów, czy mówiąc ściślej

- dowodów. Ale weźmy choćby to, co wie afrykańskie plemię

Dogonów! Dysponuje ono wiedzą na temat układu Syriusza. Dowiedziono, że od 10 tysięcy lat Dogonowie znają orbitę niewidzialnego z Ziemi Syriusza B wraz ze szczegółami, jakich nie da się poznać obserwując niebo gołym okiem. Do tego są potrzebne wielkie teleskopy!

Ponieważ Dogonowie twierdzą, że informacje te otrzymali od boga o imieniu Nommo, to zapewne słuszne jest moje przypuszczenie, że ten pan Nommo był gościem z Kosmosu. Zjakiegoż bowiem innego źródła Dogonowie otrzymaliby takie informacje przed tysiącami lat? My wiemy o tym dopiero od pięćdziesięciu lat. Jak państwo widzą, tu wyprzedzam przestarzałe interpretacje...

53. Panie von Daniken, w telewizji często oglądam dyskusje na pański temat, często nie wypada w nich pan najlepiej, a widz, który nie czytał pańskich książek, nie może sobie wyrobić własnego zdania. Dlaczego nie przedstawi pan kiedyś swoich teorii w telewizji?

Nie powiem panu nic nowego, jeśli wyjawię, że telewizja nie jest niestety moją własnością. Na ekran człowiek dostaje się - jakże inaczej?! - za pośrednictwem wyroków boskich... albo się nie dostaje. Parę razy miałem okazję wygłosić krótkie oświadczenia, ale nigdy nie mogłem odpowiedzieć na zjadliwą polemikę. Nie, zaraz! W Radiu Luksemburg przez 45 dni przedstawiałem swoją teorię w codziennych pięciominutowych porcjach. Odzew był ogromny... Gdyby mnie do telewizji wpuszczano, na pewno bym się tam pojawiał!

*

54. Niemieckie czasopismo "Geo" opublikowało przed paroma miesiącami relację o płaskowyżu Nazca. W artykule zabrała głos badaczka Nazca Maria Reiche i określiła pana mianem aferzysty. Co pan na to?

Zaraz po przeczytaniu tego tekstu napisałem do pani Reiche, ale do dziś nie dostałem odpowiedzi. Nie potrafię sobie wyobrazić, żeby ta starsza pani powiedziała coś takiego! Nie miała również najmniejszego powodu, żeby mnie szkalować, bo na temat płaskowyżu Nazca nie napisałem niczego, co można nazwać szwindlem. A to, że w sprawie Nazca mam inne zdanie niż pani Reiche i oficjalna archeologia, jest chyba moim dobrym prawem, choćby dlatego, że nawet uczeni nie są w tej kwestii jednomyślni.

Dwadzieścia osób - wszystko moi znajomi, a wśród nich prezes Ancient Astronaut Society, adwokat Gene Philips z Chicago - rozmawiało w połowie lipca 1977 roku z panią Reiche. Rozmowa odbyła się w hotelu Touristas w Nazca, gdzie pani Reiche "rozbiła obóz".

Przesłuchałem taśmy nagrane w trakcie tej rozmowy. Pani Reiche była nadzwyczaj miła, miała poczucie humoru i wyrażała się o mnie bardzo pozytywnie!

55. Czy dziennikarz może włożyć komuś w usta określenie "aferzysta"?

Ach, na pewno pan wie, że wszędzie są czarne owce, są dziennikarze

i "dziennikarze" - ci drudzy na szczęście stanowią mniejszość, choć czasem robią dużo złej krwi. Ale nie wiem, czy nie są po prostu ofiarami swoich czytelników, którzy - jak się niestety okazuje! - chętniej czytają rzeczy negatywne od pozytywnych. Nie jest to dla mnie żadna pociecha, ale to trzeba wiedzieć... a może i myśleć o tym.

56. Jestem rzecznikiem Klubu D,,nikena...

To w Houston jest Klub D,,nikena?

A czemu miałoby nie być? Wszyscy stoimy tu jedną nogą na rampie startowej!

Ilu macie członków?

Jak organizujemy party, to trzydziestu, a na cotygodniowych zebraniach tylko dwunastu!

Jakie reprezentują zawody?

Ja jestem założycielem, pracuję jako inżynier w NASA. Mamy kogoś z zarządu portu, kogoś z przemysłu chemicznego, producenta bawełny, sprzedawcę hamburgerów. . .

W Huston są chyba wszystkie gałęzie przemysłu!

Chyba tak. . .

Jaki jest przeciętny wiek członków?

Mniej więcej między 25 a 35 lat...

Chciał pan zadać pytanie, przeszkodziłem panu!

57. Tak, miałem zapytać, jak się to wszystko właściwie u pana zaczęło.

Jak doszedł pan do swojej idei?

Dla ścisłości muszę od razu powiedzieć, że idea o odwiedzinach istot z Kosmosu nie jest niczym nowym i nie ja jestem jej autorem.

W literaturze science fiction idea ta istnieje od 70 lat. Ja ją podjąłem i opatrzywszy nowymi argumentami poddałem pod dyskusję.

Ale pańskie pytanie!

Oczywiście zadawano mi je bardzo często, tak że właściwie mógłbym odesłać pana do moich tekstów, ale fanklubowi trzeba udzielać odpowiedzi z pierwszej ręki. A więc tak: Wychowano mnie w surowym internacie katolickim. Najważniejszym przedmiotem w szkole była religia. Musieliśmy tłumaczyć Biblię z greki na łacinę a potem na niemiecki. Wówczas trafiłem na hebrajskie słowo, pojęcie "elohim", które należało przetłumaczyć "bogowie", nie zaś, jak w Biblii, "Bóg".

W amerykańskiej Biblii też czytamy:

"A kiedy ludzie zaczęli rozmnażać się na ziemi i rodziły im się córki, ujrzeli synowie boży, że córki ludzkie były piękne. Wzięli więc sobie za żony te wszystkie, które sobie upatrzyli."

Może to pan przeczytać w 6. rozdziale Księgi Rodzaju!

W innym miejscu Księgi Rodzaju może pan też przeczytać:

"Uczyńmy człowieka na obraz nasz, podobnego do nas". Skąd wzięła się liczba mnoga, dlaczego "my", dlaczego nie "ja"?

Mojżeszowi, który był monoteistą, wolno było mówić tylko o jednym bogu!

Zapytałem o to naszego profesora teologii. Odpowiadał skąpo, nie

satysfakcjonowały mnie jego wyjaśnienia. Powiedział, że Mojżesz miał na myśli Trójcę Świętą, ale była to idiotyczna wymówka, bo Trójcę Świętą wymyślono znacznie później, na soborach chrześcijańskich. A może, mówił profesor, biblijni praojcowie używali liczby mnogiej ze względów grzecznościowych. Kolejna wymówka, a w żadnym razie odpowiedź, a Mojżesz nie popełnia pomyłki, bo liczbę mnogą stosuje bardzo często. Zadawałem sobie pytanie, dlaczego mówi o "synach bożych"? A wszystkie wymijające odpowiedzi profesora wprowadzały mi w głowie coraz większy zamęt.

Poszedłem po linii najmniejszego oporu. Wystarałem się o literaturę z zakresu innych religii i we wszystkim, co czytałem, była mowa o "bogach". Najbardziej irytował mnie fakt, że "bogowie" zstępowali z nieba i wstępowali tam z powrotem, a towarzyszył temu hałas, dym, drżenie ziemi i niemiły zapach. Tutaj ma pan lekcje pogładowe, jak wyglądały starty bogów! A najbardziej przeszkadzała mi myśl, że wszechobecny "Bóg", żeby już pozostać przy biblijnej liczbie pojedynczej, do poruszania się potrzebował pojazdów! Uczono nas przecież, że Bóg może być jednocześnie wszędzie! Wtedy pomyślałem, że coś tu nie gra.

Kiedy przeczytałem Księgę Ezechiela, a potem wpadło mi w ręce tłumaczenie Księgi Henocha, prysła moja naiwna dziecięca wiara! Henoch mówił jasno i wyraźnie o "strażnikach nieba"! Co miał na myśli?! W każdym razie nic nie mogło mnie już powstrzymać przed wyszukiwaniem fascynujących przekazów. Otworzył się przede mną

nowy świat, ale to przecież pan zna. . .

*

58. Czy zna pan amerykańskiego astronoma i eksperta w dziedzinie biologu kosmicznej Carla Sagana? Co pan o nim sądzi?

Nie rozumiem wprawdzie, po co to pytanie... ale proszę bardzo: Nie znam Sagana osobiście, ale przeczytałem kilka jego książek i widziałem go wiele razy w amerykańskiej telewizji. Na pewno jest to człowiek roztropny i myślący logicznie. Tym, co mi się w nim nie podoba, jest jego naukowa arogancja. To by pasowało do tego, co mówili znający go ludzie: jest próżny, udaje, że ma więcej oleju w głowie niż tysiąc innych, wydaje mu się, że jest ponad wszystko. A poza tym Sagan napisał wstęp do amerykańskiej książki antydanikenowskiej, po jego przeczytaniu odniosłem wrażenie, że albo moich książek nie czytał, albo ich nie rozumiał.

Zgadzam się jednak w zupełności z przekonaniem Sagana, że istoty pozaziemskie już dawno wynalazły podróże kosmiczne.

*

59. W pewnymmm magazynie ilustrowanym widziałem zdjęcie, na którym stoi pan przed swoim archiwum. Co pan w nim gromadzi, co zawiera?

Ponieważ na moim archiwum nie ma napisu "ściśle tajne", chętnie

panu odpowiem. A więc, gromadzi się tam interesujące artykuły z gazet i czasopism naukowych, zawiera ono też moją korespondencję z naukowcami, są tam fotokopie ważnych dla mnie dokumentów. W kartotekach znajduje się ponad dziesięć tysięcy takich dokumentów, do tego oczywiście negatywy filmów i ich kopie. Negatywy i fotografie stanowią około 15 tys. pozycji w archiwum. Nie wliczałem tu artykułów na mój temat i na temat moich książek, które ukazują się od 1968 roku - zebrało się ich już ponad 30 tysięcy. W segregatorach znajdują się również listy od czytelników - do dziś prawie 28 tysięcy. Poza tym jest jeszcze archiwum dźwiękowe, zawierające wywiady ze mną, dyskusje, nagrania odczytów różnych naukowców.

To dobrze, że pan mnie o to pyta! Jakimś czas temu przed moimi drzwiami stanęła grupa młodych ludzi, którzy chcieli przeprowadzić inspekcję mojego archiwum! Proszę sobie wyobrazić, co to by było, gdyby na taki pomysł wpadł choćby tylko co dziesiąty czytelnik moich książek!

60. Sprawilem sobie niewielką bibliotekę, w której znalazły się prawie wszystkie książki z poruszanej przez pana dziedziny. Są tam książki Roberta Charroux, Pauwelsa i Bergiera, Andrew Thomasa, Tomkinsa, Colosimo, Krassy i innych. Często odkrywam podobieństwa, co w przypadku poruszania tej samej tematyki jest zrozumiałe. Ale nie rozumiem jednego: kiedy czytam artykuły krytyczne dotyczące tej dziedziny, to najbardziej lekceważący i najzłośliwszy ton zawsze słyszę w związku

z pańskimi książkami, a nie zabiera się głosu na temat większości

pozostałych. Jaki jest tego powód?

O, przyjacielu, gdybym wiedział? Mogę tylko zgadywać.

Może najistotniejszym powodem jest fakt, że moi czytelnicy na całym świecie są mi wierni, dzięki czemu moje książki osiągają wysokie nakłady. W grę może tu więc wchodzić, choć to tylko przypuszczenie, odrobina zazdrości.

Może chodzi o to, że bez żadnej asekuracji uczestniczę w dyskusjach, ryzykując otwartą wymianę zdań. Wiem, że to prowokujące.

Pewną rolę odgrywa też może chęć uczynienia się ważnym? Jak łatwo bowiem rozświetlić sobie czołko aureolą nadzwyczajnej mądrości ucierając noska takiemu Danikenowi!

Mówię to panu z całkowitą pewnością, bo wszystkie artykuły krytyczne wędrujące do archiwum przechodzą przez moje biurko. Mogę panu powiedzieć jeszcze jedno: niewielu krytyków naprawdę przeczytało do końca moje książki! Człowiek odnosi takie wrażenie porównując ze sobą artykuły krytyczne. A i tu można zauważyć zabawną prawidłowość: nierzadko najpierw pojawia się jakiś prominentny albo półprominentny nowator, który nadaje ton, a po nim przychodzą epigoni - tym mianem określa się miernych naśladowców sławnych ludzi! - którzy bezmyślnie powtarzają to, co im podrzucono. Całość określa się mianem odwagi cywilnej!

*

61. Od miesięcy toczą się dyskusje na temat książki Charlesa Berlitz'a "Trójkąt Bermudzki". Czy zaginięcia statków i samolotów wiąże pan ze swoimi teoriami? Czy zna pan Charlesa Berlitz'a?

Znam pana Berlitz'a osobiście.

Jeśli zaś idzie o fenomeny w Trójkącie Bermudzkim, nie mogę o tym powiedzieć prawie nic ponadto, bo nie mam żadnych innych informacji na ten temat. Czytałem wprawdzie zarówno wspomnianą książkę Berlitz'a, *Limbo of the lost*, jak i parę innych, ale nie wiem jeszcze, czy opisane w nich fenomeny nie znajdą naturalnego wyjaśnienia. W ostatnich miesiącach przebywa tam międzynarodowa grupa badaczy poszukująca wyjaśnienia tych zjawisk.

Jeśli jednak, jak przypuszcza Berlitz, w tamtejszych głębinach naprawdę istnieje piramida wysokości stu pięćdziesięciu metrów, to byłbym szczęśliwy, gdyby przypuszczenia te się potwierdziły. Podbudowałoby to moją hipotezę, że we wczesnej starożytności istniała technika, o jakiej nie mamy dziś pojęcia. Tak, gdyby istnienie takiej techniki potwierdziło się w Trójkącie Bermudzkim, potwierdziłoby to zarazem istnienie moich istot pozaziemskich.

62. Pański stosunek do spekulacji na temat Trójkąta Bermudzkiego jest więc nieco sceptyczny, ucieszyłby się pan jednak, gdyby rozstrzygnięcia poszły po myśli Berlitz'a?

Tak !

63. Nie ma pan więc na to żadnego wyjaśnienia?

Nie, żadnego, uważam jednak pewną wskazówkę naukowców za prawdopodobne naturalne wyjaśnienie tych fenomenów. Istnieją mianowicie tak zwane podwodne zjawiska wulkaniczne. Mówi się, że na dnie morza wybuchają wulkany, wypływając z niewyobrażalną siłą magmę, roztopioną masę z głębin ziemi. Skutkiem tego są gwałtowne ruchy powierzchni morza. Niszczące fale przyływu łamią się potem w pierwotnym wirze, który może wciągać statki w głębinę. Podczas takich wybuchów wyzwala się również ogromne ilości gazu. Wyładowują się one w burzach, eksplozjach powodujących trąby powietrzne, w których samoloty przechodzą potworne turbulencje.

Jak mówiłem, nie jest to wyjaśnienie moje, przypuszczają tak naukowcy, ale ja z chęcią przyznam, że wiele faktów przemawia za tym przypuszczeniem.

Może w nadchodzących miesiącach staniemy się mądrzejsi, bo, jak mówiłem, na miejscu jest już międzynarodowa grupa badawcza, próbująca wyjaśnić te fenomeny.

*

64. Przeczytałem wszystkie pańskie książki oraz obejrzałem oba filmy.

Nieco mnie to rozczarowało.

Mnie również trochę.

65. Tak, ale dlaczego filmy nie są tak pouczające jak pańskie książki ? Czy odniosły sukces?

Zacznę od drugiej części pytania: Film "Wspomnienia z przyszłości" odniósł wielki międzynarodowy sukces. W Rosji wyświetlano go w 1800 kopiach, ile kopii rozpowszechniono w czerwonych Chinach, nie wiemy. W Ameryce Południowej film leciał miesiącami przy pełnej sali, a w USA emisja telewizyjna tego obrazu było kroplą w morzu w porównaniu z wybuchem "totalnej epidemii D., nikenitis", jak napisała pewna amerykańska gazeta. Pańskie ambiwalentne odczucie podzielam o tyle, że wspaniałe zdjęcia, na przykład linii z płaskowyżu Nazca albo płyty nagrobnej z Palenque, zrywały widza z krzesła, a potem leciały ujęcia raczej nudne. Nie mogłem niestety asystować przy produkcji, nie byłem też autorem scenariusza.

W przypadku filmu "Posłanie bogów" był pewien haczyk, który zauważyłem za późno. Wyraziłem mnóstwo życzeń i propozycji - w paru przypadkach na ich realizację zabrakło pieniędzy, w innych ich realizacja była niemożliwa ze względu na reżysera. W jego umowie był mianowicie passus mówiący o tym, że ma to być "film Haralda Reinla".

W ten sposób ja zostałem skreślony. Była to dla mnie dobra nauczka.

Coś takiego drugi raz się nie powtórzy.

A może - nie wiem, nie mogę też już tego dowieść - może to ja popełniłem błąd. Pewne amerykańskie towarzystwo filmowe chciało na kanwie moich książek nakręcić film fabularny, z prawdziwą love story.

Posikałem się ze strachu. Może powinienem tym ludziom pozwolić nakręcić coś takiego, forsę mieli dosyć.

Dla mnie była to zupełna nowość, niech więc i państwo zajrzą za kulisy kinematografii: Bez wiedzy mojego niemieckiego producenta amerykańska firma rozpowszechniająca film całkowicie zmieniła naszą wersję "Posłania bogów". Obejrzałem ją za Atlantykiem i powiem państwu, że spadłem z krzesła! Do pracy zabrali się prawnicy, a była to trudna sprawa. Film miał przejść do innego dystrybutora, przede wszystkim jednak szło o to, aby wyświetlać naszą wersję, również w amerykańskiej telewizji. Ale chciałem powiedzieć, że i "Posłanie bogów" było światowym sukcesem. Film kupili właśnie Rosjanie.

*

66. Kim się pan czuje, naukowcem czy pisarzem?

W moim szwajcarskim paszporcie można przeczytać "pisarz". Właściwe określenie dla człowieka, który napisał siedem książek i setki artykułów. Mimo to, jeśli to możliwe, scharakteryzowałbym dokładniej mój zawód jako "pisarz-badacz".

"Naukowcem" nie jestem na pewno. Nie skończyłem studiów i nie noszę biretu. A poza tym tego, czym się zajmuję, nie można się nauczyć na żadnym uniwersytecie! Nie majeszczę wydziałów "astroarcheologii" i "paleoastronautyki", ale mam nadzieję, że wkrótce powstaną.

Na dwóch amerykańskich uniwersytetach prowadzi się już kursy

"paleoastronautyki", otrzymałem ofertę poprowadzenia takiej paromiesięcznej nauki. Wiem również, że pewien szwajcarski bibliotekarz po szkole wyższej pracuje nad encyklopedią paleoastronautyki stosując metody naukowe. Powoli coś się rusza...

*

67. Panie von Daniken, nie będę o nic pytać. Chcę tylko panu podziękować za książki i odczyty. Sprawił pan, że spędziłem wiele pięknych chwil, i dał mi materiał do wielu interesujących rozmów. (Oklaski)
Miło, że są tacy ludzie jak pan! Będę mógł pana zaprosić po odczycie na kieliszek wina?

*

68. Mówił pan, że parapsychologia nie leży w sferze pańskich badań, ale potem powiedział pan, że sam miał spostrzeżenia pozazmysłowe. Czy jest pan jasnowidzem? Jeśli tak, to czy potrafi pan przewidzieć tylko zdarzenia, które dotyczą pana samego, czy również ogólne?

Zgadza się, parapsychologia to jedno z moich hobby. Pisałem na ten temat dużo w książce Objawienia, ale książka ta wychodzi niejako poza tematykę innych moich prac.

Uważam, że mam pewną umiejętność postrzegania pozazmysłowego, ale nie jestem jasnowidzem, przynajmniej w zwykłym znaczeniu tego

słowa, nie mam umiejętności widzenia ze szczegółami przyszłych zdarzeń, a tym bardziej zdarzeń ogólnych, czy dotyczących przyjaciół i znajomych. Ale często miewałem dokładne przecucia tego, co mnie czeka.

69. Czy może pan wymienić jakieś przykłady ?

Mógłbym, ale nie chcę! Proszę mi wybaczyć, że się wymiguję, ale przecucia te dotyczą mnie osobiście, a to nie jest dla opinii publicznej. Nie chciałbym o tym mówić.

70. Rozmawiał pan kiedyś ze słynną amerykańską jasnowidzącą Jeane Dixon. W "Objawieniach " twierdzi pan, że pani Dixon przekazała panu informacje, o których nie może pan mówić. Czy sprawdziły się przepowiednie Jeane Dixon, przynajmniej te, które dotyczą pana?

Do dziś nie zdarzyło się nic takiego, ale to jeszcze nie świadczy o niczym, bo pani Dixon powiedziała, że zdarzenia te nastąpią dopiero na początku lat osiemdziesiątych. Ale to też są sprawy, które tylko mnie dotyczą, nie chciałbym więc o nich mówić.

*

71. Mam córkę w wieku pańskiej Cornellii, którą widziałam w telewizji. To, czego chciałabym się dowiedzieć, nie bardzo pasuje do naszej dyskusji. Ale chciałabym zapytać jako matka, nawet jeśli nie zechce pan o tym

mówić...

Niech pani wali! Odpowiem, nawet jeśli nie będę miał ochoty.

72. A więc, czy oczekuje pan od swojej córki, że uwierzy w pańskie teorie i że będzie reprezentowała w szkole? Czy uczy pan swoją córkę, na czym polega dyskusja i jak się bronić?

W żadnym razie! W rodzinnym gronie rzadko rozmawiamy o mojej pracy. Na pewno pani zrozumie, że czuję potrzebę prywatności i nie chcę być wciąż więźniem mojego zawodu. Jeśli się nie mylę, moja córka przeczytała tylko jedną moją książkę, była to książka 'Mój świat w obrazach'. Uważa moją działalność za bardzo pasjonującą, ma jednak stosunek krytyczny do wielu punktów mojej teorii. Pozostawiamy Cornelię całkowitą swobodę, czy chce się angażować w moje idee, czy nie.

73. Pańska żona powiedziała w telewizji, że nie czytała pańskich wszystkich książek. Czy ma jej pan to za złe ?

Ależ dlaczego?! Nie musi ich czytać, bo w trakcie pisania często z nią rozmawiam o treści powstającej właśnie książki, o moich problemach.

Ważne jest również to, że niektóre fragmenty moich książek wymagają wiedzy nieco większej od wiedzy, jaką dysponuje zwykła pani domu, a taka jest dzięki Bogu Elisabeth. Trudno byłoby sobie pani wyobrazić, ilu gości przyjmujemy w naszym małym domku, którzy rozmawiają ze sobą i ze mną na tematy fachowe. Gdyby zapytać ściany, odparłyby

zapewne, że przy stole u Danikenów prawie wciąż przesiadują bogowie.

Po co więc Elisabeth ma czytać to, czego musi wysłuchiwać?

*

74. Stworzyliśmy jakby klub Danikena bez członków. Jest nas kilka małżeństw. Spotykamy się, wszyscy czytaliśmy pańskie książki. Moją ulubioną są "Objawienia". Mówię to, mimo że jestem praktykującą katoliczką. Pańska książka umocniła mnie w wierze. Dziwi mnie tylko jedno, czy Kościół nigdy nie wypowiedział się na temat pańskich teorii a szczególnie "Objawień"?

Tak i nie. Nie otrzymałem oficjalnego listu od żadnej instancji kościelnej, nie dotknęła mnie ekskomunika Rzymu. Wiem jednak, że jestem niszczone i poddawany druzgocącej krytyce w wielu gazetkach parafialnych i w gazetach katolickich. Kiedyś księgarz z Lucerny chciał zorganizować mi odczyt, ale pewien wyższy duchowny podobno mu powiedział: "Nie powinien pan tego robić!"... Cieszy mnie pani stanowisko. Nie było moim zamiarem sprawianie przykrości wiernym.

*

75. Chcę zostać lotnikiem, a potem astronautą. Czy dożyję epoki lotów kosmicznych, to znaczy lotów międzygwiazdnych?

Ile pan ma lat?

Szesnaście!

Jeżeli ludzkość się nie unicestwi i jeżeli umożliwi waszym naukowcom i technikom urzeczywistnienie nowoczesnych technologii przyszłości, to na pewno dożyje pan epoki lotów międzygwiazdnych!

76. Co myśli pan o UFO ?

Jeszcze nigdy - niestety! - nie widziałem latającego spodka.

Zjawiskiem UFO zajmuję się na marginesie mojej działalności. Przeczytałem najważniejszą literaturę na ten temat, w moim archiwum leży paręset relacji o UFO. Znam kilku ludzi - odszukałem ich - którzy zaklinają się na wszystkie świętości, że widzieli nieznane obiekty latające. Odrzucam myśl, aby wszystkich, którzy widzieli coś takiego, deprecjonować jako fantastów czy oszustów! Ale z drugiej strony nie wiem, czym są UFO. Unidentified flying objects - nieznane obiekty latające. Moim zdaniem właściwe określenie. Te szczególne obiekty mogą być wszystkim... Balonami meteorologicznymi, nowymi tajnymi typami samolotów podczas lotów doświadczalnych, piorunami kulistymi albo nieznanymi zjawiskami przyrody, może fenomenami fizycznymi, których przekonujące wyjaśnienie znajdzie się dopiero w przyszłości! Zwolennicy UFO przysięgają, że chodzi o pozaziemskie ciała latające. Nie potwierdzam tego ani nie dementuję. Po prostu nie wiem.

77. Jest pan więc przeciwnikiem UFO?

Nie, nie jestem, ale nie jestem też ich zwolennikiem. Patrzą na tę

sprawę przyjaźnie, ale i krytycznie. Bo odzwyczaiłem się określać coś jako "niemożliwe" tylko dlatego, że nie da się jeszcze wyjaśnić!

Dzisiejsza rzeczywistość sprawia, że to, co wczoraj było z pozoru niemożliwe, dziś staje się możliwe. Granica między tym, co niemożliwe a możliwe, między niewyobrażalnym a wyobrażalnym jest, co zasługuje na uwagę, bardzo chwiejna. Dlaczego de facto UFO nie miałyby istnieć?! Technika istot pozaziemskich może wybiegać w przyszłość na wiele tysięcy lat w stosunku do naszej i mogą one dysponować całym taborem najróżniejszych typów UFO. Wyobrażalne jest dla mnie nawet UFO będące maszyną czasu... "Więcej jest rzeczy na ziemi i w niebie, niż się ich śniło waszym filozofom", powiada Szekspir w Hamlecie. Nie mam nic do dodania.

*

78. Ostatnio pisano czgsto, że prezydent Carter widział UFO i przyznał to oficjalnie. Czy wie pan coś więcej na ten temat?

Na początek: Informacja na temat Jimmiego Cartera jest prawdziwa.

W USA istnieje centralny ośrodek kontroli rejestrujący przypadki zaobserwowania UFO. Nazywa się NICAP - jest to skrót od

"National Investigation Center of Aerial Phenomenas". Instytucja ta wysyła ankiety do każdego, kto twierdzi, że widział UFO.

Taką ankietę, zawierającą 37 pytań, wypełnił 18 września ówczesny gubernator Jimmy Carter. Oświadczył w niej, że on sam oraz dziesięciu

członków Klubu Lwów z Leary w Georgii widziało na pewno o godzinie

19:30 latający obiekt. Jimmy Carter nie wypełniał ankiety bez namysłu.

UFO widziano w październiku 1969 roku. Musiało upłynąć kilka lat, nim zdecydował się zameldować NICAP o swoim przeżyciu. Musiało ono na nim wyrzeć niezatarte wrażenie.

*

79. W prasie pojawiała się informacja, że przed kilku laty UFO runęło na ziemię, a Pentagon więzi od tamtego czasu sześć istot pozaziemskich. Czy to prawda?

Nie!

80. Dlaczego więc informację tę potwierdził ostatnio profesor Robert Carr?

Bo jest blagierem!

*

81. Interesuje mnie coś innego, ale to też sprawa osobista. Gdyby nie robił pan teraz tego, co pan robi, jaki wybrałby pan zawód?

Jest kilka możliwości, ale wszystkie znajdują się w sferze między marzeniami a rzeczywistością. Bardzo dawno temu chciałem być adwokatem, potem muzykiem, a w końcu, kiedy już do czego doszło,

chciałem robić dokładnie to, co robię: chciałem być pisarzem i podczas wielkich podróży przeprowadzać badania. Mam więc to szczęście, że urzeczywistniło się moje marzenie o naprawdę poważnym zawodzie, i na pewno nie zamierzam go zmieniać.

*

82. Czy złości pana, kiedy myśli pan o krzywdzie, jaką wyrządził panu wymiar sprawiedliwości ?

Pewnie, że mnie to złości! Najbardziej jednak złości mnie, że jacyś dziennikarze ciągle wywlekają bezmyślnie wyrządzoną mi niesprawiedliwość. Co mam począć? Potwór z Loch Ness też nie może się bronić przed tym, że corocznie odkrywa się go na nowo? Podejrzewam, że dla niektórych dziennikarzy mój ugruntowany sukces jest tak bardzo nie do zniesienia, że staje się sprawą osobistą, szczególnie że nie można mnie dopaść w inny sposób. W końcu pocieszam się, że mam dłuższy oddech i wierniejszych czytelników! (Oklaski)

*

83. Czy to prawda, że nazywa się pan tylko Daniken a "von " sam pan sobie dostawił do nazwiska? To mi nie przeszkadza, ale chciałbym się dowiedzieć.

Nazywam się Erich von Daniken, mój ojciec nazywał się von

Daniken... Moich przodków ze strony ojca można wykazać do 1570 roku, a wszyscy nazywali się "von Daniken". Nic nie poradzę, tak już jest. Co myślą sobie autorzy puszczający w świat takie nieprawdopodobne brednie?!

84. Pan to czytał! To wie pan, że napisano tam także, że ma pan obcasy i zelówki podwójnej grubości, żeby wydawało się, że jest pan wyższy niż naprawdę...

Wszystko bzdury... Niech pan podejdzie, jeśli chce się pan o tym przekonać. Niech pan sprawdzi moje buty!

85. Powiedział pan, że można do pana napisać. Gdzie?

Może pan pisać od razu na mój adres: CH-4532 Feldbrunnen, Villa Serdang. Dojdzie. Albo na adres Econ Verlag, Postfach 9229, 4000 Dusseldorf 1. Przekażą mi całą pocztę.

*

Szanowni państwo! Pozwolą państwo, że przed końcem naszej dyskusji zrobię uwagę natury osobistej.

Jeszcze kilka dni temu byłem przekonany, że nie istnieją działa ani naboje, przy pomocy których przeciwnik będzie próbował mnie trafić.

Znany dobrze również państwu profesor von Ditzfurth opublikował w biuletynie pewnego niemieckiego koncernu farmaceutycznego ar-

tykuł na mój temat... i użył bomb cuchnących.

Profesor ten chce mnie znowu niby "zdemaskować" na podstawie trzech przykładów!

Oto jego pierwszy przykład:

W książce Mój świat w obrazach przedstawiłem staroegipski model samolotu. Ditfurth ustalił podobno w Muzeum Egipskim w Kairze, że model taki nie istnieje. Ale właśnie ten model, którego zdjęcie opublikowałem, można zobaczyć też w moim filmie "Posłanie bogów".

Zdjęcia do tego filmu robił Ernst Wildt. Profesor może sobie ten model obejrzeć nie jadąc do Kairu!

Oto drugi przykład, cytuję z jego artykułu:

"Zapomnijmy na razie o wszystkich problemach technicznych, wyjdźmy odważnie z całkowicie utopijnego założenia, że 'międzygwiazdny statek kosmiczny' w ułamku sekundy może osiągnąć prędkość światła i w równie krótkim czasie może wyhamować."

Koniec cytatu.

W którejż to z moich książek można znaleźć tę bzdurę?! W Dowodach dopuściłem do słowa fachowca w dziedzinie podróży międzygwiazdnych, pana profesora dr. Harry'ego Ruppego z Technicznego Uniwersytetu w Monachium, który potwierdził, że pewnego dnia podróże międzygwiazdne będą defacto możliwe... ale na temat statków kosmicznych, które mogą "w ułamku sekundy przyspieszyć do prędkości światła i w równie krótkim czasie wyhamować", nie ma w mojej książce ani słowa. Kiedy marynarze wymyślają awanturnicze historyjki, określa się to

mianem morskich opowieści. A to są zapewne profesorskie opowieści!

Przykład trzeci:

Podobno, jak dowiaduję się ku memu największemu zdumieniu: "nie tracę ani chwili na zastanowienie, czy taka sama treść [mitologiczna] nie może być interpretowana również w inny sposób". Koniec cytatu.

Nie wiem, co czytał pan profesor, nie mogły to być jednak Dowody, bo tam przedstawiam interpretacje wielu badaczy mitów. Fakt, że pozwalałam sobie na nieakceptowanie tych wyjaśnień na ślepo, jest moim dobrym prawem. Czy profesor chce zabronić wypowiedziania innych sądów niż jego koledzy? Nie mogę w to uwierzyć.

Na podstawie tych trzech przykładów pan von Ditfurth wnioskuje ostro, że wszystkie poszlaki przedstawione w Dowodach można zaklasyfikować wedle tego wzorku. Lubię coś takiego! Wkłada mi się w usta słowa, których nie wypowiedziałem, albo polemizuje dzielnie na temat prawdziwości przedmiotów, które można sfotografować - po to, żeby na podstawie trzech insynuacji zaprzeczyć moim twierdzeniom.

Cudowna metoda!

Pan von Ditfurth nie daje się wysadzić z siodła swojego konika. Tak samo jak w jednej ze swoich książek, również w wyborze swoich utworów z 1977 roku twierdzi znowu, że moje idee nie są mojego autorstwa, lecz Roberta Charroux. Kiedy w 1977 roku po raz pierwszy przeczytałem tę insynuację, odpisałem mu, że na mój temat publikowałem wiele, nim pojawiły się książki Charroux. Wcale go to nie zmartwiło, nadal dosiadał swojego konika, dziwiąc się też, że nie zro-

biłem jeszcze astronauty z Jezusa. Gdyby - na przykład - przeczytał moją książkę Objawienia, wiedziałby, że kategorycznie odrzuciłem spekulacje pewnego rosyjskiego autora, jakoby Jezus był astronautą.

Podejrzewam, że na myśl o moim sukcesie pan profesor stracił kontrolę nad uczuciem niechęci. Pozwolą państwo, że przytoczę jeszcze jeden cytat:

"Obawiam się, że ten światowy sukces - mówi oczywiście o moich książkach - ten światowy sukces jest symptomem, że nasze społeczeństwo jest mniej krytyczne, mniej rozsądne i dojrzałe, że jest daleko bardziej podatne na demagogiczne pokusy, niż powinno. Bo Daniken nie jest pisarzem (czy nawet naukowcem-amatorem), ale przede wszystkim nadzwyczaj utalentowanym demagogiem." Koniec cytatu.

Moi państwo, ja sam gwizdzę na to! Ale tu szkaluje się moich czytelników, a jest ich bądź co bądź parę milionów. Zdaniem pana von Ditfurtha są państwo bezkrytyczni, niedojrzali i nierozsądni.

Ja zaś jestem "niewytkle utalentowanym demagogiem"! Postanowiłem się dowiedzieć, w jakim znalazłem się towarzystwie i zajrzałem do Leksykonu Meyera, gdzie przeczytałem - cytuję:

"Demagogia - głoszenie haseł obliczone na przeciągnięcie mas na swoją stronę z nieodpowiedzialnym wykorzystywaniem uczuć, resentmentów, uprzedzeń i niewiedzy za pomocą frazesów, podżegania i nieprawdy." Koniec cytatu.

Proszę się nie śmiać! Podrzucano nam tu śmierdzące jajo, a jajuż dziś powiem państwu, że trafi ono wkrótce w inne ręce! Dlatego mówię

państwu o tym, bo przypuszczalnie nie czytają państwo biuletynów farmaceutycznych i nie wiedzą, skąd nadejdą pewnego dnia zastrzyki trucizny.

Gdy mowa o demagogii, zawsze chodzi o władzę! Czy mieli jednak państwo kiedykolwiek uczucie, że ja pragnę władzy?!

Proszę, zachowajmy choć odrobinę zdrowego rozsądku! Konstatuję: po pierwsze jeżeli pisarz nie zna sensu takich wyrazów obcych jak "demagog" i "demagogia", powinien być ostrożny, kiedy chce ich użyć.

Po drugie jest mi bardzo przykro, ale ten pan nie zrozumiał treści moich książek. I na koniec na marginesie - nawet sam nigdy nie określałem się mianem naukowca-amatora, żartobliwie mówiłem co najwyżej o sobie "niedzielny badacz".

Ponieważ jest to niezwykle interesujące a czasem zabawne, przytoczę jeszcze kilka cytatów. Ditfurth pisze:

"Przerażający staje się ten fenomen dopiero w chwili, kiedy staje się jasne, że ma modelowy charakter. Że uświadamia, jak łatwo skłonić ludzi do przyjęcia najfantastyczniejszej nawet ideologii z wiarą, która na krytykę reaguje nie argumentami, lecz świętym oburzeniem."

Koniec cytatu.

Moi państwo obecni w tej sali, mówiłem już, że profesor nie ma chyba najszcześliwszej ręki do doboru wyrazów obcych. W Leksykonie języka niemieckiego pojęcie ideologia jest interpretowane w następujący sposób:

"Całokształt idei, na których opiera się dany światopogląd albo program partii" oraz "przy pomocy ideologii dyktatorzy próbują na siłę ujednoczyć ludzi, którymi rządzą."

Nie mam do zaoferowania żadnej ideologii, choćby dlatego, że z całego serca nie znoszę dyktatur, nie zamierzam również zakładać żadnej partii.

Moje inspiracje nie służą żadnej choćby nie wiadomo jak bardzo wynaturzonej ideologii, są to teorie i hipotezy, których treści, zgodnie z moim przekonaniem, scementowałem za pomocą dowodów opartych na poszlakach.

Nie, ideologia i Daniken, moi państwo, to dwa światy. Gdyby w moich książkach kryło się coś takiego, to ani one, ani moje filmy nie odniosłyby sukcesu w krajach niejako okupowanych przez ideologie, na - kontrolowanym! - rynku. Bo przecież szczególną cechą ideologii jest to, że nie cierpią obok siebie innych ideologii. Jest to powszechnie znane, ale nie dotarło zapewne do Hamburga, gdzie mieszka autor, który przypisuje mi tak niezwykle rodzaje działalności. Moje książki są czytane tak samo w krajach bloku wschodniego, jak w rozwijających się krajach południowoamerykańskich, gdzie kwitną najrozmaitsze ideologie polityczne, czy w kraju tak szczególnym z religijnego punktu widzenia, jakim są Indie. Jestem pewien, że nie siedzieliby tu państwo, gdybym starał się państwa nawrócić na jakąś ideologię!

Poza tym, czy reagowali państwo kiedy oburzeniem na słuszne argumenty przeciw mojej teorii? Tego nie wiem, ale mogę państwa

zapewnić, że ja nigdy nie reagowałem na nie oburzeniem. W swoim artykule pan von Ditfurth zakłada wręcz na oślep albo z klapkami na oczach i nie mając do tego żadnych podstaw, że "oburzenie" jest "typową reakcją" - moją albo moich czytelników - oraz że ja w takim przypadku uskarżam się, że nauka nie darzy moich wskazówek dość dużą uwagą. To ostatnie się zgadza, a to dlatego, że odpowiada faktom. Z paroma chwalebnyymi wyjątkami.

Bez oburzenia stwierdzam, że profesor von Ditfurth podoba mi się w telewizji, bo tam cechuje go najczęściej rzeczowy obiektywizm. Dlaczego nie zachowuje się tak zawsze?

Puentą do tego przypadku niech będzie to, co przeczytałem w dzisiejszej porannej gazecie. Znalazłem tam zdanie pióra Marka Twaina: "Uprzedzenia profesorów określa się mianem teorii!"

Dziękuję państwu za uwagę.

86. Dlaczego ciągle czepia się pan archeologów? Czym się panu narazili?

Pan się myli, mój panie. Na ogół nie mam nic do archeologów

- ponieważ zazwyczaj staram się być bardziej tolerancyjny od swoich przeciwników wobec cudzego zdania. Znam wielu archeologów będących osobami uczciwymi i rozsądnymi. Dyskutuję z nimi. Niektórzy przeholowują czasem zachowując się bądź co bądź dość wyniośle.

A poza tym: archeolog archeologowi oka nie wykole! Odnoszę niekiedy wrażenie, że czasem wbrew własnemu przeświadczeniu bronią niesłusznych przekonań swoich kolegów. Niewiele mam również do zarzucenia archeologii jako nauce. Przeciwnie. Staram się, żeby zrozumiała to, co robię. Pozwolą państwo, że na drobnym przykładzie unaocznę, jak niewiele dzieli mnie od archeologii: Proszę sobie wyobrazić, że jutro po południu na Paradeplatz w Zurychu wyląduje pozaziemski statek kosmiczny. Tysiące ludzi przyjdą go zobaczyć.

Z nieznanego obiektu latającego wylezie dziesięć zielonych ludzików i uda się wprost do ratusza. Tam przez pięć, sześć godzin będą debatować z politykami, naukowcami, inżynierami i teologami. O zmierzchu zielone ludziki pomaszerują znów do swojego statku kosmicznego i znikną na zawsze.

Trzy tysiące lat później Zurich będzie jedną wielką ruiną. Przetoczyła

się po nim historia. Archeolodzy odkopią resztki Zurychu z 1978 roku. Tu i ówdzie znajdą resztki ubrań - odtworzą modę obowiązującą mieszkańców tego miasta w 1978 roku. Z rondli i garnków wyskrobiają resztki jedzenia albo znajdą je w jakiejś zasypanej lodówce. Zestawią jadłospisy ukazujące zwyczaje kulinarne z 1978 roku! Odkopią narzędzia i maszyny i na tej podstawie wyciągną wniosek o poziomie technicznym w 1978 roku. Przeanalizują resztki murów i określa materiały budowlane stosowane w Zurychu w 1978 roku. Znamy tę metodę. Pracownicy archeolodzy stworzą sobie obraz Zurychu 1978 roku. Efekty wspaniałe. Jak dotąd - akceptuję wszystko.

Ale:

Za 3000 lat archeolodzy nie dowiedzą się o tym, że w 1978 roku w centrum Zurychu wylądował statek kosmiczny! Nie znajdą niczego, co pozwoliłoby wysnuć wniosek, że małe zielone ludziki konferowały w ratuszu z prominentnymi obywatelami miasta! Zauważą wprawdzie, że pewnego dnia zaczął się zmieniać kierunek rozwoju nauki i techniki że myślenie kategoriami religijnymi nabrało nagle innych wymiarów. Przypuszczalnie archeolodzy przyszłości odkryją też przekazy natury artystycznej. Może będą się głowić nad jakimś reliefem, zadadzą pytanie, co za dziwny obiekt latający artysta przedstawił w samym środku miasta albo na jego tle na niebie.

Ponieważ za 3000 lat nie zmienią się - prawdopodobnie - również metody badań archeologicznych, przedstawiciele tej nauki zgodzą się zapewne, że w przypadku tej niewyjaśnialnej rzeczy chodzi zapewne

o abstrakcyjne przedstawienie jakiejś istoty boskiej. I przyporządkuje się ją w końcu do sfery mitologicznej.

Widzą państwo, jak niewiele dzieli mnie od rezultatów badań archeologicznych! Akceptuję interpretacje znalezisk materialnych, na których podstawie można zrekonstruować życie codzienne naszych przodków.

Ale w tej układance nie ma niestety miejsca na zdarzenia niezwykle.

Kiedy tylko w historii postęp i technika dokonywały gwałtownego zwrotu, kiedy tylko zdarzało się coś niepojętego, wtedy to, czego nie dawało się wyjaśnić, zwalano na religie albo mitologie. Nie miejsce tu na przedstawianie tych zagadkowych, niespodziewanych zmian kierunku rozwoju. Wszyscy o nich wiedzą. A wszystkie wepchnięto do niekontrolowanej sfery baśni i mitologii - choć wszystkie miały za przyczynę namacalne zdarzenia.

Oto, mój panie, owa, jak mawiają Francuzi, "la petite difference", mała różnica, dzieląca mnie od archeologii! Zgodziłbym się ze wszystkimi rezultatami jej badań, gdyby zaakceptowała fakt, że kiedyś w życiu naszych przodków musiało dojść do odwiedzin istot pozaziemskich! Nawet jeżeli nie dokopano się jeszcze do żadnego namacalnego świadectwa takiego zdarzenia! A kto będzie twierdził, że muszą być wykopane z ziemi?! Gdyby tylko archeolodzy znaleźli w swoim gmachu myślowym miejsce na taką możliwość, nie dochodziłoby między nami do najmniejszych konfrontacji. Nie umniejszyłoby to w niczym wartości ich pracy, gdyby zdobyli się na taką "wspaniałomyślność"!

87. Panie von Ddniken, denerwuje mnie, że uważa pan naszych przodków za matołów, żeby niepowiedzieć za idiotów, niezdolnych do zbudowania na przykład piramid. Czy słyszał pan o rysunkach znajdujących się w Muzeum Egipskim w Kairze? Widać na nich, jak starożytni Egipcjanie wznosili swoje budowle. Mówi pan, że w okresie, kiedy budowano piramidy, nie było lin - rysunki ukazują ogromną ilość lin. Ignoruje pan po prostu fakty historyczne!

Serdeczne dzięki za ten atak! Jest to dla mnie okazja do paru sprostowań. Jeżeli idzie o głupotę, przypisywaną rzekomo przeze mnie naszym przodkom, to włożono mi w usta słowa, których nigdy nie powiedziałem, oraz pomówiono o rzeczy tak nieprawdziwe, że aż się za nimi kurzy. Nigdy nie twierdziłem, że piramidy zbudowały istoty pozaziemskie! Zastanawiałem się co najwyżej nad tym, czy istoty pozaziemskie przekazały naszym przodkom informacje techniczne, a może i narzędzia, które pozwoliły im zbudować rzeczy tak niepojęte.

Moje przypuszczenie dotyczy nie tylko piramid egipskich, lecz również innych ogromnych budowli zamierzchłej przeszłości - na przykład tarasu w Baalbek czy budowli znajdujących się powyżej miasta Sacsayhuaman w Peru.

Wróćmy jednak do piramid egipskich! Ma pan rację, że istnieje wiele dawnych rysunków ukazujących metody budowy stosowane rzekomo przez starożytnych Egipcjan. Myślmy na przykład o reliefie, który przedstawia podnoszenie do pionu obelisku i statuy Ramzesa II za pomocą lin, a zapominamy, że wizerunki takie są znacznie młodsze od

zdarzeń z okresu budowy piramidy! Zachowane rysunki są wyrazem przypuszczeń i spekulacji: jak to niegdyś mogło być!

Pisząc we 'Wspomnieniach z przyszłości' o piramidach egipskich wychodziłem z założenia, że Wielkie Piramidy są nieporównanie starsze niż się powszechnie przyjmuje. Wystarczy tylko dokładnie przeczytać materiały źródłowe!

W rozdziałach 141. i 142. Dziejów grecki pisarz i podróżnik Herodot pisze, że tebańscy kapłani, wśród których przebywał, zapewniali go, że ich przodkowie pełnią swoją funkcję od 11 340 lat. Herodot wymienia nawet liczbę pokoleń kapłańskich - 341. Tenże Herodot pisze, że w owych czasach kapłanów odwiedzili bogowie, którzy jednak jak dotąd nie powrócili. Koptyjski pisarz Abu'l Hassan Mas'udi zapewnia, że piramidy wzniesiono przed "wielkim potopem". Można o tym dziś jeszcze przeczytać w pewnym rękopisie znajdującym się w zbiorach biblioteki w Oksfordzie.

Zarzucają mi państwo, że ignoruję dane archologiczne. Kiedy i gdzie?

Akceptuję jak najchętniej informacje sprawdzone. A tak naprawdę to archeologia odrzuca z palcem w nosie takie datowania. Dlaczego

- i jakim prawem? Akceptuje przecież jednym zręcznym ruchem

i z pocałowaniem ręki wszystkie daty z przekazów - ale tylko wtedy,

kiedy pasują one jej do schematu. Te nie pasują!

Problem piramid można zresztą uznać za znamienny przykład

postępowania archeologów. Wychodzą na oślep, uparcie z założenia,

że obecne dane można uznać za pewne i dlatego niczego nie wolno

podawać w wątpliwość. Osiągnięcia wcześniejszych badań archeologicznych osadzają się jak głązy narzutowe, leżące później tu i ówdzie w krajobrazie nauki. Wiemy tak niewiele rzeczy na pewno, że naszym obowiązkiem jest kwestionowanie istniejących niepewnych wyjaśnień - zakładając oczywiście, że chce się dotrzeć do prawdy.

Parę kawałków liny, parę drewnianych rolek, znalezionych w pobliżu piramidy w Gizie, mówi cholernie mało. A wnioski wyciągane na tej podstawie są chyba zbyt pochopne... i bardzo nienaukowe.

Proszę, posłużmy się danymi przedstawionymi przez archeologów!

Wedle tych informacji Wielka Piramida składa się z około 2,5 miliona kamiennych bloków. Niektóre z nich ważą do 12 ton, inne do 20 ton.

Większość jednak waży około 2,5 tony. Proszę zapamiętać te wielkie ciężary - będą potrzebne do dalszych obliczeń!

Bo:

Archeolodzy zapewniają, że za czasów faraona Kufu Wielką Piramidę budowano nie dłużej niż 20 lat.

Oto proste wyliczenie:

Jeżeli podzielimy 2,5 miliona kamiennych ciosów przez 20 lat, to okaże się, że w ciągu roku układano 125 000 takich kamieni.

Na pewno się nie mylę zakładając, że nawet wtedy niewolnicy egipscy nie pracowali dzień w dzień. Nawet oni mieli swoje uroczystości i święta.

Powiedzmy, że pracowano przez 300 dni w roku. Podzielmy 125 000 kamiennych bloków przez 300. Wychodzi nam, że dzienny przerób kamiennych ciosów wynosił 416,6 sztuk.

Wobec takich liczb człowiek robi się wspaniałomyślny. Założę więc w moim rachunku, że ludzie wznoszący piramidę pracowali po 12 godzin dziennie - dość długi dzień pracy!

A więc 416 kamieni dziennie podzielone przez 12 godzin daje 34 bloki na godzinę albo - podzielmy to przez 60 minut... i będziemy mieli rekord - jeden cios kamienny mniej więcej co dwie minuty!

Popełniłem jednak gruby błąd w rachunku. Założyłem mianowicie, że bloki są obrobione, gotowe do wbudowania w piramidę - to nieprawda! Trzeba je było przecież przedtem wykuć ze skał, obrobić i nadać właściwe wymiary, oszlifować, a w końcu przetransportować na plac budowy. Także proces obróbki wymagał czasu i dużej liczby robotników.

Przy zastosowaniu dzisiejszej techniki nie udałoby nam się wykonać takiej normy! Proszę sobie przypomnieć, jak przenoszono świątynię Abu Simbel. Proces ten trwał ponad dwa lata. Międzynarodowe ekipy miały do dyspozycji najnowocześniejsze urządzenia. A przecież w porównaniu z Wielką Piramidą Abu Simbel jest budowlą mizerną, śmiesznie małą!

88. Pańskie wyliczenie już dawno obalił profesor von Ditfurth! Udowodnił, że na początku, kiedy ustawiano podstawy piramid, trzeba było przerobić znacznie większe ilości kamienia, niż kiedy budowla stawała się ku szczytowi coraz szczuplejsza. Na górze było trzeba mniej kamieni i robotników niż na dole!

Szanowny przyjacielu, to przecież niczego nie zmienia w moim wyliczeniu! Ditfurth podzielił tylko kamienie przez banany. Nie zadawałem pytania, kiedy było potrzeba mniej a kiedy więcej siły roboczej. W przypadku rachunku uśredniającego jest to bez znaczenia. Że na początku robót było potrzeba dziesięciokrotnie większej siły roboczej niż pod koniec - to przecież niczego nie zmieni w wyliczeniu uśredniającym. Proszę policzyć:

2,5 mln kamieni przerabiano przez 20 lat. To daje 125 000 bloków kamiennych rocznie.

125 000 bloków przez 300 dni roboczych... daje 416,6 bloków dziennie.

416 bloków przez 12 godzin pracy... to 34 bloki na godzinę.

A ponieważ godzina ma zawsze 60 minut, to średnio co dwie minuty trzeba było ustawiać jeden blok kamienny na właściwym miejscu!

Nieważne, ilu robotników wykonywało tę pracę! Nieważne, na której kondygnacji piramidy pracowano. Jeżeli starożytnym Egipcjanom

będziemy przypisywać takie bajeczne tempo wznoszenia budowli, to można sobie spokojnie wyobrazić, że na "dolnej kondygnacji" być

może - kto jest w stanie sobie to wyobrazić?! - co cztery sekundy

ustawiano na miejscu jeden cios i że budowla rosła o wysokość jednego bloku w ciągu zaledwie pięciu godzin. Nie zmienia to w niczym mojego

wyliczenia uśredniającego. Logika profesora Hoimara von Ditfurtha to brak logiki. . .

*

89. Czy to prawda, że komputer prześwietlił piramidę Cheopsa?

To nie takie proste, jak pan to sformułował. Poza tym prześwietlano nie piramidę Cheopsa lecz Chefrena, i nie robił tego komputer, bo urządzenie to służy wyłącznie do obliczeń - przetworzył on tylko dane zdobyte podczas doświadczenia.

90. Dobra, ale jak to zrobiono ?

Człowiek, który chciał odkryć choć jedną tajemnicę piramidy, nie był archeologiem - ale wybitnym fachowcem w swojej dziedzinie. To laureat nagrody Nobla Luis Walter Alvarez. Fizyk ten, zajmujący się fizyką jądrową, wynalazł wraz ze swoimi współpracownikami nadzwyczajne udoskonalenia technik pomiaru, szczególnie w przypadku tak zwanych rezonansów masy. "Masami" są cząstki elementarno bardzo nietrwałe, powstające podczas zderzenia cząstek o dużej energii. Za to otrzymał w 1968 roku nagrodę Nobla.

W dziedzinie badań promieniowania jest więc Alvarez jedną z wielkich postaci naszych czasów - archeologia zaś to jego hobby. Za pomocą swoich metod chciał ustalić, czy wewnątrz piramidy Chefrena sąszechajakieś nie odkryte pomieszczenia, w których znajdują się może skarby albo które dadzają jakieś wskazówki na temat sensu i celu budowy piramid. Najpierw zabrał się do ogromnej budowli z pomocą promieniowania kosmicznego. Jednym z jego składników są tak zwane miony,

nietrwałe cząstki elementarne o dużym ładunku elektrycznym, dość silne, żeby przeniknąć przez kamienną piramidę. Miony mają jedną ogromną zaletę - można dokładnie wyliczyć czas ich lotu!

Pomysł Alvareza, podobnie jak wszystkie genialne pomysły, był więc niezwykle prosty: miony, przenikające przez wielkie masy kamienia, zwalniają swoją prędkość o miliardowe części sekundy w porównaniu z mionami przechodzącymi przez wewnętrzne pomieszczenia. Obliczono więc czas lotu cząstek. Gdzie miały szybkość większą od przenikających przez masę litego kamienia, musiały trafić podczas lotu na przestrzenie puste. Przyznają państwo, że jest to urzekająco proste. Nie była to oczywiście metoda, która już po paru dniach dała efekty, efekty pewne, trzeba było ją stosować miesiącami, wpisując uzyskane dane w komputer... aż w końcu pojawiło się coś w rodzaju zdjęcia rentgenowskiego piramidy. Na zdjęciu tym puste przestrzenie powinny być ciemniejsze od litego kamienia... Zapewne dlatego popełnił pan błąd, mówiąc, że komputer prześwietlał piramidę...

Na propozycję Alvareza laboratorium Uniwersytetu Kalifornijskiego zajmujące się promieniowaniem zbudowało urządzenia niezbędne do przeprowadzenia eksperymentu. Do obróbki danych zastosowano komputer IBM-1130 z kairskiego uniwersytetu Ain Szamsa. Na potrzeby eksperymentu przeprowadzanego w latach 1968 i 1969 konieczne było przetransportowanie przez wąskie korytarze w piramidzie oraz zmontowanie w znanych komorach co najmniej 30 ton urządzeń technicznych.

Ale cały ten wysiłek nie przyniósł żadnego rezultatu - jeżeli za rezultat nie uzna się wyników negatywnych. Nie odkryto ani tajemnych pomieszczeń, ani skarbów! Choć być może pomieszczenia takie istnieją i nadal są nie odkryte. Nie, komputer wyrzucił zupełnie wariackie dane! Profesor Alvarez stanął przed zagadką i oświadczył otwarcie, że rezultaty przeczą wszelkim doświadczeniom i prawom fizyki. Po przerwaniu prac Alvarez powiedział: "Mogą państwo mówić, że to czary-mary, albo jak chcą!" A egipski kierownik eksperymentu, dr Amr Gohed, powiedział amerykańskiemu magazynowi "Time": "Z punktu widzenia nauki cała ta sprawa jest nieprawdopodobna. To, co dzieje się wewnątrz piramidy, przeczy wszelkim znanym prawom fizyki i elektroniki!" Tak, moi państwo, piramidy potrafią uparcie bronić swoich zagadek. Ale właśnie te zagadki, tak nieodgadnione, właśnie one będą - podobnie jak w wiekach minionych - wabić takich ludzi jak Alvarez, aż pewnego dnia pęknie ten twardy orzech do zgryzienia! Może dożyjemy tego dnia... a nasza wiedza pójdzie znów o krok dalej.

*

91. Panie von D., niken, to jest gazeta "Bonner Rundschau" z 1 czerwca 1977 roku. Można tam między innymi przeczytać, że, cytuję: "Krajowe Muzeum Renu, którego archeolodzy dopiero niedawno łopatą odłożyli ad acta bajeczkę o lądowisku istot pozaziemskich, nadal jest zalewane listami - od młodzieżowego klubu UFO po badaczy historii ojczyzny. A przy tym

zagadkę tę dawno rozwiązano: w tym roku mija dokładnie 250 lat odkąd Żelazny Człowiek stoi na swoim miejscu. A " Wspomnienia z przyszłości " Ericha von D.,nikena nadal straszą w umysłach jego wielu zwolenników. Von D.,niken twierdził w swojej książce, że dolna część Żelaznego Człowieka tkwi w ziemi na głębokości 28 metrów i że jest -jak kolumna Kuluba w Delhi - jednym z najbardziej tajemniczych zabytków, nie dającym się wyjaśnić za pomocą klasycznej archeologii. Von D.,niken pytał: dlaczego Żelazny Człowiek nie może być znakiem bogów, którzy przybyli na Ziemię z innych planet? Ludzka ręka nie stworzyłaby w zamierzonych czasach tak ogromnego, nie rdzewiejącego żelaznego słupa. Tymczasem udowodniono, że Żelazny Człowiek zagłębia się w ziemię nie na głębokość 28 metrów tylko 150 centymetrów, że jest odlewem dokonany w piecu opalanym węglem drzewnym i ostro rdzewieje. " Koniec cytatu. Jestem bardzo ciekaw, czy odbierze to panu mowę!

(Daniken chrząka) Nie, mój panie, twierzę, że nie odbierze! Nie jestem tak bardzo zapóźniony w rozwoju, ja również czytałem ten artykuł, a ponieważ Żelazny Człowiek z Kottenforst prześladowuje mnie jak Mr. Kimble, w którymś z nadreńskich miast mogłem się spodziewać tego pytania. Jestem na to przygotowany.

W latach ubiegłych miałem okazję przeczytać szereg artykułów, których autorzy złośliwie się ze mnie wyśmiewali... oczywiście nie przyjmując do wiadomości faktów. Po pierwsze: we Wspomnieniach z przyszłości nie było ani słowa o Żelaznym Człowieku. Pisałem o tym

w książce 'Siejba i Kosmos' (Ausuat und Kosmos). To takie małe dziennikarskie byczki, na które nie zwracam już uwagi.

Przeczytał pan długi artykuł, pozwoli pan, że teraz ja zacytuję.

W mojej książce Siejba i Kosmos rozdział VI nosi tytuł "Rarytasy, kurioza i spekulacje". Wszystko, co wsadziłem do tego rozdziału, nie było ze sobą powiązane, powstała mozaika spekulacyjnych wskazań potencjalnych obiektów badań. Jeśli chodzi o Żelaznego Człowieka, napisałem dosłownie... cytuję: "Nie zawsze trzeba opuszczać splądrowane kraje Zachodu, żeby zrobić równie zumiewające odkrycia!

W Kottenforst, parę kilometrów na zachód od Bonn, stoi żelazny słup, zwany przez miejscowych, jak pisze mi dr Harro Grubert z Kolonii, Żelaznym Człowiekiem. Słup wystaje z ziemi na 1,24 m, jego dolna część dochodzi jednak podobno do głębokości 28 metrów." Koniec cytatu.

Uważny czytelnik zrozumie, że w przypadku Żelaznego Człowieka nie chodzi o znalezisko zbadane przeze mnie na miejscu, lecz o fenomen, o którym napisał mi pan dr Harro Grubert z Kolonii. Pisanie o rzeczy tak kuriozalnej w rozdziale "Rarytasy, kurioza i spekulacje" uważam za uprawnione, szczególnie dlatego, że niczego w tekście nie twierdzę, lecz co najwyżej przytaczam poglądy innej osoby, do tego podając jej nazwisko.

Poza tym jestem zadowolony, że miejscowa archeologia położyła koniec głupiej gadaninie o Żelaznym Człowieku. Mam mocne podstawy przypuszczać, że bez mojej wskazówki do dziś nie wiedziano by nic

dokładniejszego na temat tego żelaznego słupa.

92. Twierdzi pan jednak również, że na dziedzińcu pewnej świątyni w Delhi wznosi się nie rdzewiejąca kolumna. W "Playboyu" przeczytałem że rdzewieje!

Nie rdzewieje! Kiedy autor wywiadu w "Playboyu" powiedział mi, że kolumna zaczęła rdzewieć, uwierzyłem. Ale rok później byłem w Delhi i obejrzałem kolumnę. Mój panie, ona nie rdzewieje!

93. Wiadomo przecież, dlaczego nie rdzewieje jej część dolna! Miejscowi ludzie otaczają kolumnę czcią, całują ją i obejmują. Na skutek tego kolumna jest stale pokryta warstewką tłuszczu, który ją konserwuje! O święta naiwności! Muszę tu uczynić bluźnierczą uwagę: z radością patrzyłbym na Hindusów mających na skórze swoich niedożywionych ciał tyle tłuszczu, żeby przy dotknięciu zostawiać jego cząsteczki na powierzchni kolumny! Co dzieje się naprawdę? Przez dotykanie kolumny rękoma i nogami osadza się na niej ludzki pot, zawierający między innymi poza solą takie ingrediencje jak kwas moczowy, amoniak, kwas tłuszczowy i mlekowy, które są przeciwieństwem środków konserwujących - przyspieszają proces korozji! Najlepiej, jak pan sam tam pojedzie i przekona się, że kolumna naprawdę nie rdzewieje!

*

94. Twierdzi pan ciągle, że płaskowyż Nazca był lotniskiem. Twierdzenie to jest nie do obrony. Grunt Nazca jest o wiele za miękki, żeby mógł tam wylądować jakikolwiek aparat latający!

Przypisuje mi pan coś, czego nie powiedziałem ani nie napisałem!

Już we Wspomnieniach przyszłości mówiłem jasno i wyraźnie: "Dziś nie da się jeszcze powiedzieć z całą pewnością, czy płaskowyż Nazca istotnie był kiedykolwiek lotniskiem... co jest zdroźnego w przypuszczeniu, że linie zostały wykreślone, aby przekazać 'bogom' następującą informację: Lądujcie tutaj! Wszystko jest przygotowane zgodnie z waszymi rozkazami! Być może budowniczy geometrycznych figur nie zdawali sobie sprawy, co w rzeczywistości robią, ale możliwe, że wiedzieli, czego 'bogowie' potrzebują do lądowania."

W książce 'Z powrotem do gwiazd' wyjaśniłem jednoznacznie, że płaskowyż Nazca nie był lotniskiem. Pisałem, że linie z Nazca mogli stworzyć dawni mieszkańcy tego płaskowyzu, a były one wyrazem czegoś w rodzaju kultu cargo. Powodem i przyczyną powstania takiego kultu mogło być oczywiście wcześniejsze wylądowanie tam istot pozaziemskich. Na marginesie: twierdzenie, jakoby podłoże płaskowyzu było nie dość twarde, to prawdziwa bzdura. Czy jeśli myśli się o lądowaniu, trzeba od razu widzieć Jumbo Jeta, którego koła wywierają na grunt nacisk paru tysięcy ton? Proszę sobie wyobrazić aparaturę latającą, która porusza się na zasadzie antygravitacji! Proszę też pomyśleć o poduszce powietrznej!

95. Pańskie interpretacje są wzięte z sufitu! Archeolodzy przecież dowiedli, że płaskowyż Nazca był miejscem startu balonów...

Co pan powie! Znam oczywiście książkę Jima Woodmana, prezentującą tę teorię. Ale muszę od razu powiedzieć, że nie wpływa ona w najmniejszym stopniu na moje dotychczasowe interpretacje. Daję panu tysiąc funtów, jeśli mi pan udowodni, że kiedykolwiek twierdziłem, jakoby Inkowie nie latali balonami! Ale co do balonów - od kiedy to potrzebują pasaw startowych? Na marginesie: Jim Woodman użył do startu swojego balonu dopalacza - jest to dysza stosowana w olejowych systemach grzewczych. Czegoś takiego, moi państwo, Inkowie nie mieli na pewno!

96. W zatoce Pisco jest wielki znak, wyglądający jak kandelabr i skierowany w niebo. Twierdził pan, że jeśli pański pomysł co do płaskowyżu Nazca jest słuszny, to podobne znaki jak w zatoce Pisco powinny się również znajdować dalej na południe od Nazca. Czy znalazł je pan?

Tak. Moje przypuszczenie się potwierdziło. W ostatnich latach znaleziono ogromne znaki na urwistych wybrzeżach Peru i Chile.

Pokazano je w moim filmie "Posłanie bogów".

*

97. Mówi pan że istoty pozaziemskie stworzyły posągi na Wyspie Wielkanocnej. Ale Thor Heyerdahl wykazał w swojej książce "Aku-Aku",

że te olbrzymy zrobili przodkowie dzisiejszych mieszkańców. Heyerdahl polecił taki posąg wykuć ze skały, przetransportować i ustawić w pozycji pionowej. Twierdzi poza tym, że w posągach tych wyspiarze uwiecznili swoich najdawniejszych przodków.

Powiem krótko, żeby nie nudzić słuchaczy, którzy przeczytali dokładnie moją teorię na temat Wyspy Wielkanocnej. Nie mówiłem, że posągi te stworzyły istoty pozaziemskie. Mówiłem, że obcy kosmonauci mogli dać pramieszkańcom wyspy narzędzia, dzięki którym dało się urzeczywistnić tę tytaniczną pracę kamieniarską.

Muszę powiedzieć, że to zadziwiające, jak długi żywot ma bajeczka, jakoby na polecenie Thora Heyerdahla wykuto statuę ze skał wulkanicznych krateru Rano Raraku! Prawdą jest tylko to, że polecił posąg wykuć. Prawdą jest, że polecił wyspiarzom obrabiać skałę prymitywnymi pięściakami. Pięściakami, których kilkaset znaleziono w kraterze. Skutek tego rozpaczliwego kucia można oglądać po dziś dzień: kreska, zadrapanie, mające kilka milimetrów długości i szerokości. Prawdą jest, że Heyerdahl polecił jeden z posągów przetransportować kawałek a potem ustawić w pozycji pionowej. Do tego doświadczenia posłużono się posągiem bardzo małym, o ile nie najmniejszym. Nie była to więc żadna z owych monumentalnych postaci, mających do 20 m wysokości a wążących 50 ton! W doświadczeniu Heyerdahla posłużono się rolkami drewnianymi, linami i kamieniami. Odważę się nadal podawać w wątpliwość fakt, że na niewielkiej, pozbawionej drzew wyspie było kiedykolwiek dość drewna na rolki i lin do transportu tych kolosów.

Zupełnie absurdalne natomiast jest wciąż powracające twierdzenie, jakoby wyspiarze uwiecznili w tych posągach swoich przodków. Proszę tylko popatrzeć na te głowy o niskich czołach, przypominające głowy robotów, wąskie usta, chude, proste nosy i głęboko osadzone oczy! Tak nie wygląda żaden Polinezyjczyk.

Wiele razy byłem na Wyspie Wielkanocnej. Jeszcze dziś ponad 200 niegotowych posągów stoi "przyklejonych" do krateru wygasłego wulkanu. Zmierzyłem odległość dzielącą lawę od poszczególnych posągów. Między litą skałą a czołem były odstępy szerokości 1,30 m, odstępy, których długość dochodziła do 32 m. Szczęśliwy, kto będzie miał dość wiary, aby uwierzyć, że tak ogromne ilości skały usunięto posługując się prymitywnymi pięściakami. Skłaniam się ku hipotezie, przedstawionej przeze mnie w książce *Mój świat w obrazach*. Nie jest to przekonanie tylko moje, podziela je wielu ludzi, którzy byli na Wyspie Wielkanocnej: teoria pięściaków nie rozwiązuje zagadki. Stosowano tu zapewne narzędzia nam nie znane.

98. Dziś wieczór pokazywał pan znowu płytę nagrobną z Palenque i znów pan twierdził, że to wizerunek astronauty. Jestem doktorantem na wydziale archeologii. Powiem panu, że tę płytę w jej historycznym układzie można wyjaśnić pod każdym względem. Nie przedstawia ona w żadnym razie astronauty, lecz władcę Palenque, zapadającego w symboliczną gardziel mitologicznego potwora. Przy końcu siedziska nie ma też żadnych promieni, jak ma pan zwyczaj twierdzić - są to po prostu stylizowane

włosy boga Burzy. Przednia zaś część płyty przedstawia w środku krzyż życia, określane też często mianem drzewa życia. Drzewo to jest archeologii dobrze znane, można je znaleźć na różnych dawnych stelach Majów. Poza tym na płycie nagrobnej widać kilka symboli astronomicznych, które, jeśli pan zechce, mogę panu wyjaśnić ze szczegółami.

Dlaczego nie przyjmie pan tych faktów do wiadomości, tylko obnosi się ciągle z tą swoją bajeczką o astronautach? (Słabe oklaski)

Panie doktorze in spe, czy wolno mi uprzejmie pana zapytać, w jakim innym mieście Majów widziano kiedykolwiek mężczyznę w takiej pozycji jak na płycie nagrobnej z Palenque?

99. No tak, drugiej postaci w takiej pozycji rzeczywiście nie ma, ale większość z tego, co widać wokół, jest archeologom znane.

Może znane, ale nie wyjaśnione! Zechciałby mi pan, proszę, wyjaśnić, co mówi napis biegnący wokół płyty?

100. Bardzo dobrze pan wie, że to niemożliwe! Kilka symboli tego napisu to oczywiście symbole astronomiczne, ale całości nie dało się odczytać.

Widzi pan, teraz ja trafiłem w pański czuły punkt! O to mi chodziło!

Widzimy tu człowieka siedzącego w jakby kapsule... a całość określa się mianem "mitologicznego potwora"! Człowiek ten siedzi w nader niezwyklej pozycji, obsługuje oboma, naprawdę delikatnymi i wcale nie potwornymi rękoma jakieś przyciski. A cała płyta jest obramowana tajemniczym pismem, które, jak pan sam przyznał, nie zostało do dziś

odczytane.

Bez wahania jestem gotów przyznać panu rację, że wiele symboli z tej cudownej płyty jest znanych, jak choćby wymienione przez pana drzewo życia. Ale czy "znane" znaczy dla pana również "właściwie zinterpretowane"? Nie jest to dla mnie tak do końca pewne z naukowego punktu widzenia...

Weźmy za przykład drzewo życia! Niech pan będzie tak dobry i wyjaśni, co to jest właściwie "drzewo życia"? Jak dotąd nie miałem szczęścia zobaczyć drzewa życia. Dziś przez drzewo życia rozumiemy jakby drzewo genealogiczne, ale artystom Majów na pewno nie chodziło o przedstawienie czegoś takiego za pomocą drzewa życia, bo ich wizerunek przedstawia w istocie tylko gruby kłoc z poprzeczną belką. Skąd więc "drzewo życia"? Kto pierwszy obdarzył ten twór mianem "drzewa życia"? Mogę panu powiedzieć, jak to było, bo prześledziłem tę historię w literaturze fachowej.

"Drzewo życia" jest ulubionym motywem światowej archeologii.

Pojawia się już na starosumerskich pieczęciach, tam jednak wygląda zupełnie inaczej niż pańskie "drzewo życia" Majów! Z "drzewem życia" mieli już nawet do czynienia Adam i Ewa w raju. Ale nawet etymolodzy są wyjątkowo zgodni twierdząc, że nie chodzi tu o prawdziwe drzewo. To drzewo ma charakter wyłącznie symboliczny. Ale tylko Bóg wie, czy to prawda, ponieważ pomysł, że w przypadku tych przedstawień chodzi jakoby o "drzewo życia", jest pomysłem naszym, nie naszych przodków, którzy to dzieło stworzyli!

Kiedy pierwsi archeolodzy znaleźli w jukatańskiej dżungli miejsca, gdzie widać było coś podobnego do krzyża z płyty nagrobnej z Palenque, ochrzczili te krzyże mianem "drzewa życia" - w ten sposób pojęcie to weszło do literatury maistycznej. Gdziekolwiek znaleziono teraz stele z podobnymi krzyżami, były to - czary-mary - od razu "drzewa życia"! Las "drzew życia" przesłonił nam zasadniczy problem. Ale od tego czasu studenci archeologii "wiedzą", że twór ten jest "drzewem życia" - niczym innym. Uczą się tego z pokolenia na pokolenie, ale czy choć jeden się nad tym przez chwilę zastanawiał? Nie, to przecież też nie jest bezpieczne. Kto chce, żeby go brano poważnie, powtarza bezmyślnie obowiązującą teorię. Kto tego nie robi, staje się niepoważny i nie ma prawa ssać z piersi Almae Matris!

W ten sposób w literaturze archeologicznej pojawiają się takie pojęcia jak "drzewo życia", wyrastają niewiarygodne "stylizowane włosy boga Burzy", a "mitologiczne potwory" otwierają "gardziel". Niech pan poprosi laika, żeby uważał to za bardziej naukowe! Pojęcie jest myślowym odzwierciedleniem całości istotnych cech przedmiotów czy zjawisk. Jak może pan postępować tak arbitralnie z pojęciami, dla których nie istnieje treść i podstawa?! Tylko dlatego, że się pan tego nauczył? Proszę, niech pan zbuntuje się choć w tym jednym, konkretnym przypadku! Ma pan do czynienia z odkryciami nie mającymi najmniejszej wartości.

Może pan mi wierzyć, równie dokładnie jak pan przeczytałem archeologiczne prace słynnego badacza Paula Riveta i odkrywcy płyty

nagrobnej, dr. Ruza, znam ich interpretacje płyty nagrobnej z Palenque

- ale się z nimi nie zgadzam! Jeżeli sens interpretacji polega na uszeregowaniu bezsensów, wtedy przestaje to mieć dla mnie jakikolwiek sens! (Oklaski)

Jeżeli z żadnej interpretacji nic nie wynika, wtedy należy, proszę bardzo, mieć odwagę się nieco wychylić! Nie wiem, co począć ze "stylizowanymi włosami brody boga Burzy", bo po pierwsze nie jest to dla mnie bóg Burzy, a po drugie - jeśli już! - ten bóg Burzy nie ma włosów na brodzie, do tego dających się ustylizować!

Dyskutować chciałbym z państwem - niech mi więc państwo wybaczą ten przydługi dialog! - najchętniej dyskutowałbym z państwem na temat wieku płyty nagrobnej z Palenque. Do państwa wiadomości: powstanie Świątyni Inskrypcji, w której znajduje się płyta, datuje się na około 600 rok po Chr. A jest to czas, kiedy moje wizyty bogów stanowiły już odległą przeszłość.

A jednak: Na ile pewne jest to datowanie? Szanowny panie doktorze In spe, nie będzie pan zapewne kwestionował faktu, że w minionych latach trzeba było wciąż przesuwać daty wstecz. Trzeba było dokonywać poprawek dat uzyskanych za pomocą metody 14C, jakoby mrowanej! Kto będzie twierdził, że płyta nagrobna z Palenque nie jest być może pierwszym przedstawieniem tego rodzaju?! Czy wcześniej nie było takiego wizerunku, który w Palenque powtórzono w takiej wielkości i grubości? W końcu kalendarz Majów zaczyna się ponad 3000 lat prz. Chr. W jaki sposób i dlaczego? Według archeologii Majów wtedy nie

było! Bez oporów dam się zaraz nawrócić państwu albo jakiemuś

archeologowi, jeśli przedstawi mi się przekonujące wyjaśnienie zagadki Palenque. Nie nawrócą mnie państwo, jeśli znów usłyszę coś wyświechtanego ! (Oklaski)

101. Panie von Daniken, nasza dyskusja na temat symboliki Majów przed forum, które jak widać składa się przede wszystkim z pańskich zwolenników, nie ma wielkiego sensu. Przedtem zaprosił pan jedną panią na kieliszek wina. Mogę się dołączyć? Sądzę, że mógłbym dać panu kilka użytecznych wskazówek.

Z największą przyjemnością. Zobaczymy się po dyskusji.

102. Pańskie odpowiedzi na pytania młodego archeologa udowodniły mi, że nie zwraca pan uwagi na żadne dane archeologiczne, ważne jest dla pana tylko własne zdanie. Tak nie można, panie von Daniken! To niewłaściwa metoda! Jest pan ignorantem!

Nie znajdzie pan w tej sali nikogo, kto poprze pańskie twierdzenie.

Nie powiedziałem, że ważne jest tylko moje zdanie, powiedziałem tylko, że na nic zdadzą mi się dotychczasowe oficjalne wyjaśnienia na temat płyty nagrobnej z Palenque. Czy pan tego nie słyszał? W 592 roku przed Chrystusem bogowie odwiedzili proroka Ezechiela. Zdenerwowała ich wówczas głupota naszych przodków. Powiedzieli prorokowi: "Synu człowieczy! Mieszkaś pośród domu przekory, który ma oczy, aby widzieć, a jednak nie widzi, ma uszy, aby słyszeć, a jednak nie słyszy,

gdyż to dom przekory." Proszę bez uprzedzeń obejrzeć sobie płytę nagrobną. Może spojrzysz pan na nią właściwie!

103. Twierdzi pan, że płytę nagrobną wyrzeźbiły istoty pozaziemskie.

Dobrze, tylko po co?

Imputuje mi pan coś, czego nie powiedziałem! Reprezentuję co najwyżej pogląd, że artyści Majów stworzyli ją według wzorów albo wyobrażeń, jakie otrzymali od jednego ze swoich niebiańskich bogów. Poza tym nawet przypuszczenie, że istota pozaziemska naniósł surowy szkic na płytę, nie byłoby trudne do wykazania! Cel takiego postępowania byłby taki, jaki właśnie osiągnięto: późniejsze pokolenia miałyby poddać pod dyskusję wizerunek istoty lecącej w Kosmosie! Mówiłem już chyba dziś wieczór, że takie ślady mogły być pozostawiane przez obcych rozmyślnie. Może z całości tych śladów da się wysnuć wniosek - na przykład kiedy odczyta się napis obramowujący płytę nagrobną - może da się wysnuć wniosek co do położenia logiczno-matematycznego punktu, w którym złożono kapsułę czasu! Gdyby bogowie nie pozostawili znaków zapytania, to byśmy ich nie szukali. Ale płyta nagrobna z Palenque odniosła frapujący sukces! Od chwili, kiedy widoczną tam postać zinterpretowałem jako astronautę, dyskutuje się na jej temat!

W nauce ścisłej, na przykład w fizyce, w chemii, jest tak, że założenie uważa się za słuszne, dopiero gdy rezultaty eksperymentów nie pozwolą na wysnuć innego wniosku. W archeologii, podobnie jak w innych naukach nieścisłych, nie ma niestety takiej dokładności, bo po prostu nie

mamy do czynienia z wiedzą ścisłą. Wszelkie hipotezy dotyczące naszych przodków ulegają ciągłym zmianom, nawet fachowcy zmieniają je bezustannie - krzyżąc o tym na całe gardło albo robiąc to milczkiem - podrzucając coraz to nowe hipotezy. A jak długo hipotezy nie są do końca przekonujące, można je tylko, trzeba je podawać w wątpliwość. Z radością trzeba witać każdą nową interpretację. Nie znoszę stagnacji, mój panie, a to czego pan ode mnie wymaga, nazywając mnie ignorantem, nie jest niczym innym jak stagnacją: mam być grzeczny, mieć takie zapatrywania, jakich się uczy, i nie myśleć samowolnie i wichrzycielsko. Mój panie, w pańskich oczach wolę być ignorantem! (Oklaski)

104. I pan, i doktorant archeologii mówił, że nie odczytano dotąd napisu z płyty nagrobnej z Palenque. Ale ja czytałem takie tłumaczenie dokonane przez profesora archeologii dr. Pantela, sądzię więc...

Student archeologii:

Czy mogę odpowiedzieć? Dziękuję! To rzekome odczytanie jest całkowicie dowolne i pod każdym względem nieprawdziwe. W interpretacji tej nawet znaki, odczytane już z pewnością, są zinterpretowane w niewłaściwy sposób.

Dziękuję za fachową pomoc. Nie wiedziałem o tym!

*

105. Pisze pan o maszynie z Antikythery, która znajduje się podobno w Muzeum Archeologicznym w Atenach. Byłem tam latem- ta maszyna nie istnieje!

Ta maszyna istnieje, mój panie! Inaczej nie przedstawiłbym jej w książce 'Mój świat w obrazach'! Zamieszczone tam zdjęcia dał mi renomowany niemiecki pracownik telewizji Ernst von Khuon, który nakręcił zresztą film na ten temat. Tę pełną zagadek maszynę, powstałą nie później niż sto lat przed naszą rachubą czasu, odkrył w 1901 roku archeolog Valerios Staios wśród różnych rupieci wydobytych z wraku pewnego statku, leżącego na głębokości 60 m. Angielski fizyk i matematyk Derek de Solla Price zbadał maszynę i napisał książkę na jej temat. Mogę panu powiedzieć, dlaczego jej pan nie widział: po pierwsze jest jednym z najdroższych eksponatów muzeum... po drugie - ten zdumiewający mechanizm jest nadal badany. Rozmawiałem z naukowcami, którzy badali maszynę. Wszyscy mówili, że ma zdumiewającą dokładność, że wykazuje odchylenia tylko o 1/10 mm, a 40 kół zębatach o 240 zębach zazębia się bez zarzutu.

Jeżeli chciałby pan dowiedzieć się czegoś więcej na ten temat, może pan o tym przeczytać w mojej książce.

Nie widział pan maszyny z Antikythery - powiedziałem dlaczego.

Zgodzi się pan ze mną, że nie można sfilmować czegoś, co nie istnieje!

Pozwoli pan, że w związku z tym wymienię przypadek zaiste niewiarygodny.

W książce 'Mój świat w obrazach' przedstawiłem staroegipski model

samolotu, na którym widać jakieś hieroglify. W tekście opisałem ten kuriozalny model.

Zanotowałem, że odkryto go w 1989 roku w pewnym grobowcu w Sakkarze i że powieszono przy nim tabliczkę "ptak" oraz pod tą nazwą wciągnięto do katalogu Muzeum Egipskiego. Pod numerem 6347, jak twierdzą źródła, znajdował się ten eksponat pośród gromady innych staroegipskich "ptaków"... aż w 1969 roku dziwnego ptaka wyjęto z gniazdka i zdemaskowano - było to "kukułcze jajo".

Co się stało?

Doktor Khalil Messiha obejrzał "ptaka" i zaczął coś podejrzewać.

W przeciwieństwie do innych ptaków numer 6347 miał nie tylko proste skrzydła, lecz również statecznik pionowy.

Dr Massiha zajął się nieznanym ptakiem i znalazł na nim wryty delikatnie znak hieroglificzny pa-diemen, co po staroegipsku znaczy "dar Amona".

Kim był Amon? Amon był "panem wiatru", wszedł w symbiozę z bogiem Słońca i awansował na "boga Światła".

Po przeprowadzeniu dokładnych badań wiadomo dziś, że numer 6347 jest modelem samolotu. Zrobiono go z drewna, waży 39,12 g, jest w dobrym stanie. Rozpiętość skrzydeł wynosi 18 cm, część kadłuba wystająca przed skrzydła ma 3,2 cm długości, długość zaś całkowita to 14 cm.

Dziób samolotu, końce skrzydeł oraz kadłub mają aerodynamiczne kształty. Poza symbolicznym okiem i dwiema krótkimi liniami pod

skrzydłami nie ma żadnych zdobień, brak również podwozia.

W styczniu 1972 roku w Egipskim Muzeum Starożytności otwarto wystawę staroegipskich modeli samolotów. Dr Abdul Quader Hatem, przedstawiciel premiera oraz minister lotnictwa Ahmed Moh zaprezentowali publiczności 14 staroegipskich modeli samolotów.

Moi państwo, rnam kombinatoryczną fantazję, ale nie stosuję jej nigdy, przedstawiając sprawdzone, namacalne fakty. Nazwy i daty czerpię z dokumentów. Tak było i tym razem.

Nie wierzyłem własnym oczom, kiedy 26 marca 1976 roku w zuryskim "Tagesanzeiger" przeczytałem artykuł profesora von Ditfurtha, w którym twierdzi on, że był w Kairze i próbował na miejscu zbadać opublikowane przeze mnie fakty, ale w całym muzeum nie było ani jednego "modelu samolotu". Pod podanym przeze mnie numerem katalogowym zobaczył mumię Tutmosisa III. Pan von Ditfurth pytał też o to dyrektora naukowego muzeum, ten jednak nigdy - tyle pan von Ditfurth - nie widział przedmiotu zilustrowanego w mojej książce.

Po przeczytaniu artykułu w "Tagesanzeiger" krew mnie zalała.

Napisałem do redakcji list z dokumentami potwierdzającymi moje wypowiedzi, prosząc o ich przekazanie panu von Ditfurthowi.

Znów nie mogłem uwierzyć własnym oczom, kiedy profesor w kolejnym liście, ignorując nadesłane przeze mnie dokumenty, powtórzył swoje insynuacje. Chciałbym tu panu profesorowi von Ditfurthowi jeszcze raz przypomnieć, że jako naukowiec ma obowiązek mówienia prawdy.

Zakładałem, że profesor umie czytać i powie sobie, że jeśli coś zostało sfotografowane, istnieje na pewno, oraz że wiele nazwisk fachowców i związanych z nimi faktów należy sprawdzić!

Moi państwo, ten sam profesor jeszcze raz obwieścił jesienią 1977 roku czarno na białym swoje nieprawdziwe twierdzenia! W biuletynie koncernu farmaceutycznego powtórzył dokładnie tę samą historię.

Kiedy zrobił to po raz pierwszy, nie było jeszcze filmu "Posłanie bogów". Jeżeli będzie mi insynuować, że wizerunek modelu samolotu kazałem zrobić w jakimś warsztacie i sfotografować w atelier fotograficznym, to będzie mógł dokładnie obejrzeć na filmie przedstawiony

Przez mnie model samolotu ze wszystkich stron - z lewej, z prawej, z góry i z dołu. Ernst Wildt filmował model w Muzeum Egipskim w Kairze! Na zdjęcia modelu Wildt zużył kilkaset metrów taśmy, znacznie więcej niż wykorzystano w filmie. To wystarczy chyba nawet komuś takiemu jak pan von Ditzfurth!

Widzą więc państwa, jak subtelne i niezwykle poważne "argumenty" wytacza się przeciwko mnie. Bo jestem niewygodny. Bo jestem niezależny...

Poza tym każdy powinien wiedzieć, że jeżeli w muzeum jakiś przedmiot nie jest akurat eksponowany, to nie znaczy to, że nie istnieje! Istnieje zarówno maszyna z Antikythery, jak i staroegipski model samolotu!

106. Słyszałem, a sądzę, że coś takiego jest też w którejś z pańskich

książek, że nie istnieją już prawdziwe stare rękopisy ani prawdziwe stare księgi. Chodzi mi o księgi pisane podczas budowy piramid albo jeszcze wcześniej. Wszystkie te stare księgi zostały podobno zniszczone. Może nam pan opowiedzieć o niszczeniu książek?

Przypominam sobie, że profesor Bellamy, autor pierwszych naukowych książek o Tiahuanaco, dał przegląd niszczenia książek w starożytności. Wiekowy profesor Bellamy mieszka dziś w Wiedniu, znamy się osobiście.

Historii ludzkości uczymy się w szkole na podstawie listy wojen, w końcu wiemy w miarę dobrze, kto z kim walczył. Z kulturą, z kulturą ludzkości ma to wszystko niewiele wspólnego, bo ludzkość straciła na skutek niszczenia książek, na skutek niszczenia bibliotek znacznie więcej niż przez tę czy tamtą wojnę. Wojny zmieniały układy sił na mapie.

Palenie ksiąg zubożało całą ludzkość. A absurdalne, idiotyczne jest to, że te pisemne przekazy zostały zniszczone w bardzo niewielkiej części na skutek klęsk żywiołowych, które również wyrządziły w tej dziedzinie szkody, że tylko niewielką ich część zniszczyła sama przyroda...

Człowiek sam niszczył własną historię i własną wiedzę. Różne auto daf,, jak się delikatnie określa palenie książek, zdarzały się w każdej epoce, zdarzają się nawet dziś, dziś jednak nie są już tak straszne, nie są już tak ostateczne jak dawniej - dziś książki nie istnieją tak jak w pradawnych czasach w jednym czy dwóch egzemplarzach. Dziś książki potrafią przeżyć próby ich unicestwienia. Hitler palił wprawdzie w Niemczech nie lubiane książki, ale ich egzemplarze przetrwały dzięki Bogu gdzie

indziej na świecie.

Historia ludzkości zawiera wiele białych plam! Pytał pan o księgi z okresu budowy piramid... Żadna nie dotrwała do naszych czasów!

Dziś wiadomo tylko, że faraon Ramzes III stworzył wielką bibliotekę. Nic z niej nie zostało! W starożytności mądrzy władcy poszukiwali i gromadzili wprawdzie wciąż księgi, tworzyli niezmqordowanie nowe biblioteki, ale kolejne wojny zaborcze niszczyły je za każdym razem.

Dopiero po poznaniu paru liczb człowiek zaczyna sobie mgliście uświadamiać, co pochłoneły płomienie. Fachowcy oceniają, że zbiory biblioteki aleksandryjskiej liczyły ponad 700 000 pergaminów. Ani jeden nie przetrwał nie naruszony! Kiedy w 47 r. po Chr. wojska Cezara szalały w Aleksandrii, podpalając domy, spłoneęła również biblioteka.

Kiedy po jego śmierci Kleopatra - wiedzą państwo, tych dwoje coś łączyło - wróciła do Egiptu, otrzymała w darze od biblioteki z Pergamonu w Azji Mniejszej 200 000 rolek pergaminów, które znów stały się w Aleksandrii podstawą kolejnej biblioteki. Nic, zupełnie nic nie pozostało, bo około 200 lat później cesarz rzymski Dioklecjan kazał zniszczyć bibliotekę. Nie udała się też trzecia próba doprowadzenia biblioteki aleksandryjskiej do dawnego blasku i bogactwa przez zbieranie starych pism. Za Teodozjusza, którego zapewne przez pomyłkę obdarzono przydomkiem "Wielki", biblioteka aleksandryjska została spalona przez wojska chrześcijańskie. Gdy w końcu Aleksandria dostała się na powrót pod panowanie arabskie, los jeszcze raz zadrwił z miasta

- ogarnęły je płomienie, które pochłonęły ostatnie księgi z dawnych czasów? Smutny rozdział historii pewnego miasta opowiadający o pewnej bibliotece!

W trakcie swoich wypraw wojennych Cezar kazał niszczyć biblioteki. Aleksander Wielki kazał w Iranie spalić pierwopis Awesty, Awesta zaś zawierała pradawne utwory religijne Persów. Któryś z wielu chińskich cesarzy nakazał około 200 r. prz. Chr. spalić wszystkie stare księgi. Nie inaczej było w Ameryce Południowej i Środkowej. Fanatyzm religijny i niewyobrażalna głupota sprawiły, że obchodzono tam święta zniszczenia. Wedle pierwszego arcybiskupa Meksyku, Don Juana de Zumarragi, starożytne pisma nie zawierały nic poza "zabobnem" - ten również pobożny co głupi pan kazał spalić dziesiątki tysięcy rękopisów majowskich i inkaskich.

Co było przyczyną tej bezsensownej żądzy niszczenia? Co powodowało, że tak wielu "wielkich" z historii ludzkości i tak wielu religijnych żarliwców paliło bezcenne dobra kultury - stare rękopisy?!

Motyw był zawsze ten sam... despotyzm! Ani władcy świeccy, ani duchowni nie chcieli przyznać, że przed nimi albo obok nich istniały kultury starsze i o wiele bardziej rozwinięte od tych, których reprezentantami się mienili! Deptali, niszczyli wszelkie ślady i świadectwa minionej, wielkiej przeszłości... aby samemu stanąć w pełniejszym blasku. Nie rozumieli, że po każdym takim paleniu foliałów ludzkości robiło się coraz ciemniej.

Istnieją tylko nieliczne nie zniszczone dawne pisma, a najobszerniej-

sze z nich są w Tybecie. Znajdują się tam święte księgi Kandzur i Tandzur. Tylko Kandzur obejmuje przeszło 1000 ksiąg, Tandzur zaś ma 225 tomów. Również ta biblioteka nie dotrwałaby do naszych czasów gdyby nie to, że foliały, mające szerokośćjednego metra, o "stronicach" z drewnianych klocków grubości 15-20 cm, gdyby foliały te nie były rozsiane w wielu piwnicach domostw leżących w rozległych dolinach i strzeżone przez wiernych. Ale na ponury dowcip zakrawa fakt, że jak dotąd znalazło się tylko dwóch specjalistów, którzy odczytali i przetłumaczyli niewielkie fragmenty tych dzieł. W nielicznych przetłumaczonych utworach jest pełno "niebiańskich bogów" i "pereł na niebie". Ale co to jest? Dotąd odczytano i przetłumaczono dopiero jeden procent tych dzieł. Co jeszcze zawierają? Czego dowiemy się jeszcze o naszej najdawniejszej przeszłości?

Ach, mój panie, pańskie pytanie o prawdziwe starożytne księgi wprawia człowieka w ponury nastrój!

*

107. W zeszłym roku byłem z ojcem w Cuzco i w inkaskiej twierdzy Sacsayhuaman. Nie widzieliśmy niestety zeszklonych skał, o których pan pisze. Mój ojciec sądzi, że istnieją tylko w pańskiej fantazji.

Drogi przyjacielu, proszę powiedzieć ojcu, że zeszklenia skał istnieją!

W obu moich pierwszych książkach - proszę do nich zajrzeć! - piszę o nich nie w związku z inkaską twierdzą Sacsayhuaman. Wyraźnie

podkreślam, że fenomeny te można zobaczyć na zboczach gór nad
twierdzą! Fotografie zeszlonych kamieni opublikowałem w książce
'Mój świat w obrazach'. Kiedy się jest w twierdzy, trzeba przejść przez
"atrakcję dla turystów" kawałek wyżej. Kiedy będzie tam pan znowu,
proszę sobie obejrzyć wytwory mojej fantazji.

*

108. Odwagi to panu nie brakuje! W przeciwieństwie do archeologii
interpretuje pan rysunki naskalne z okresu pojawienia się pierwszych ludzi
jako świadectwa odwiedzin bogów. Niech pan przyzna, że nie jest
archeologiem, a krytykuje najrozsądniejsze interpretacje archeologiczne!

Jak może pan to ze sobą pogodzić? Kto ma rację?

Czy to nie fatalne mówić tu o "racji"? Nie lubię rozstrzygać, kto ma
rację! Ale jeśli mówi pan o racji, to mam takie samo prawa jak
naukowcy intepretujący malowidła naskalne inaczej niż ja. W końcu tak
samo jak ja nie widzieli, w jaki sposób dawni artyści malowali je albo
ryli w kamieniu! Jesteśmy bardzo, ale to bardzo prawdziwymi ludźmi

naszej epoki: to, co "zakłada" nauka nie ścisła - która przecież tego "nie wie"! - jest przyjmowane za prawdę ostateczną. Jeśli pojawi się ktoś z boku, ktoś nie dość wierzący i którego dotychczasowe interpretacje nie przekonują w dostatecznym stopniu, i który jest do tego na tyle bezczelny, że proponuje interpretacje inne - kogoś takiego najchętniej wysłano by do domu wariatów! Chciałem państwu powiedzieć, dlaczego moim zdaniem za moimi interpretacjami przemawia tak wiele:

Gdzieś w miejscu X archeolog odkrywa rysunek naskalny... i interpretuje go wedle szkolnej metody. Prawie nie widzi albo nie chce zobaczyć - bo to mu nie pasuje! - że niemalże w tym samym czasie niemalże takie same motywy pojawiały się we wszystkich zakątkach świata bardzo od siebie odległych.

Ja spostrzeżenia tego rodzaju przyjmuję po prostu do wiadomości, zadaję sobie pytanie, jak to możliwe, że prawie takie same, a co najmniej zdumiewająco do siebie podobne wyobrażenia powstawały jednocześnie w Indiach, Europie, Afryce, w Ameryce Północnej i Południowej i gdzie indziej?!

Widzą państwo, że na dobre wychodzi mi to, że niejestem archeologiem z zawodu. Gdyby tak było, klękałbym z zachwyty przed każdym rysunkiem naskalnym, podziwiając artyzm naszych dawnych przodków. Znam mity ludów, których rysunki naskalne dotrwały do naszych czasów. Nie są one dla mnie czymś odosobnionym. I stwierdziłem, że dopiero mity w połączeniu z rysunkami naskalnymi pozwalają stworzyć

obraz przeszłości! Umożliwiają przeprowadzenie interpretacji! Archeolog jednak odrzuca możliwość przesunięcia czasu powstania mitów w epokę prehistorii. Przyznaję - jest parę wyjątków. Jeśli jednak interpretacje mitycznego przekazu i rysunku nie dają się ze sobą pogodzić, nie przystają do rzeczywistości - wtedy szukam nowych interpretacji.

Moi państwo, chcę się po prostu dowiedzieć, jak wyglądał proces komunikowania się dawnych artystów między sobą. Jak porozumiewali się, żeby przedstawiać podobne tematy? Nie wierzę ani w duchy, ani w zmieniające się co chwila interpretacje psychologiczne.

Jeśli na różnych kontynentach ten sam spleen dręczył prehistorycznych artystów, którzy malowali latających ludzików z aureolami. Przykładając im do głów rogi wyglądające jak anteny albo coś przypominającego hełmy, to dla mnie miało to rzeczywistą, namacalną przyczynę: wszyscy widzieli to samo!

109. Istnieją wizerunki Wikingów, u nawet Aleksandra Wielkiego z rogami. Nie bgdzie pun przecież pow,ażnie twierdził, że rogi Wikingów wyobrażają anteny?!

Proszę pana, czy uważa mnie pan za idiotę? Gdyby poświęcił pan choć odrobinę uwagi tokowi moich przemyśleń, zauważyłby pan na pewno. że pytam o początki, o przyczyny takiego postępowania dawnych artystów!

Dlaczego władca ma na głowie koronę? Dlaczego papież nosi tiarę?

Wyjaśnił mi to pewien psycholog: głowa była kiedyś najbardziej narażona na wszelkie formy agresji, należała więc szczególnie chronić - dlatego na głowy dawnych władców kładziono takie nakrycia?

Na to mogę tylko pokiwać moją nie chronioną głową! Czy rogi stanowiły dla głowy osłonę? Nie, nie, symbolika rogów i koron sięga znacznie dalej w przeszłość, kiedy nie obawiano się jeszcze podstępnych ataków na głowę. Sięga czasów, w których symbolika ta zaczęła się pojawiać: był to wczesny okres rysunków naskalnych. Nasi utalentowani prehistoryczni artyści nie rysowali człowieczków z nakryciami głów przypominającymi anteny, dlatego że myśleli o rogach i dlatego że rogi miały stanowić osłonę dla głowy! Rysowali albo ryli je dlatego, że zwrócili uwagę na te szczególne atrybuty bogów! Nie byli to artyści abstrakcyjni, lecz na wskroś realistyczni! Malarstwo abstrakcyjne jest formą sztuki będącej wyrazem kultury stojącej na wysokim poziomie.

Ale muszę tu jeszcze powiedzieć, że gdyby głowy zdobione rogami i postacie z nakryciami głowy przypominającymi hełmy były tylko w jednym miejscu świata, to nie marnowałbym na ten temat ani słowa.

Ale rysunki bardzo podobnych do siebie postaci powstawały w wielu, bardzo wielu miejscach na ziemi mniej więcej w tym samym czasie. Nie jestem dość ślepy i głupi, żeby to przeoczyć... i chcieć przeoczyć!

110. Jeśli pańska interpretacja jest słuszna, to muszą również istnieć rzeźby przedstawiające istoty w hełmach i z rogami na głowie. Nie słyszałem o nich.

To tylko pańska wina, proszę pana, względnie niedopatrzenie! Nie widział pan oczywista moich książek *Mój świat w obrazach* i *Dowody!* Z wielu dawnych figurek w stylu astronautów przedstawiłem tam parę tuzinów. Wymienię tu tylko japońskie figurki dogu, lalki-Kaczynów Indian Hopi z Arizony czy preinkaskie rzeźby z kamienia i metalu. Do tego gatunku należą również wyobrażenia bogów na garnkach i tkani-
nach wykonane przez naszych najdawniejszych przodków. Proszę pana, kiedy średniowieczni chrześcijanie wznosili katedrę, wiedzieli, na cześć jakiego boga to czynią. Kiedy tworzono wizerunki świętych, wiedziano, jakiego świętego na nich przedstawiano. Myśli pan, że artyści prehistorii myśleli, czuli i postępowali inaczej?

Mówi się, że inspiracją do wykonania wielu cudownych rysunków naskalnych, ulepiania z gliny albo wykucia z kamienia figurek i oczywiście wzniesienia gigantycznych prehistorycznych i średniowiecznych budowli były: przemożna potrzeba posiadania "bogów", niezaspokojone pragnienie spodobania się "bogom" albo wypełnienie obowiązku nałożonego przez "bogów".

Potrzeba posiadania bogów! Z tym się zgadzam. Czy jednak nie trzeba zadać pytania: jakich bogów?

Nieźla jest też, jak sądzę, teoria o obowiązkach nałożonych przez bogów, od razujednak nasuwa mi się pytanie: jacy bogowie nakładali te obowiązki?

Tak, a do tego nie zaspokojona chęć przypodobania się bogom, pasująca doskonale do mojego pomysłu - o ile tylko mi się powie, jakim

bogom chciano się przypodobać?

Ci bogowie, w takim stopniu władający, dysponujący ludzkością, musieli mieć jakąś zadziwiającą aurę, musieli pozostawić po sobie niezatarte wrażenia. Bogowie będący tylko wytworem fantazji ani nie przetrwaliby tak długo w świadomości ludzi, ani nie pozostawiliby po sobie tak zgodnego wrażenia, co widać w przedstawieniach figuralnych. Bogów będących tylko wytworami fantazji szybko by zapomniano. Nie bez powodu wszystkie wielkie religie wiążą świat swoich wierzeń z istnieniem postaci centralnej, która niegdyś żyła, miała jakoby żyć, która przebywała wśród ludzi i żyła. Bogowie-widma nie wywierają takiego wrażenia.

Dlatego, właśnie dlatego reprezentuję pogląd, że bogowie, o których mówię, byli istotami rzeczywistymi, do tego istotami na tyle mądrymi, że na naszych przodkach wywarli ogromne wrażenie. Wrażenie niezatarte - właśnie dlatego znalazło ono tak wcześnie swoje odbicie w sztuce.

111. Panie von Ddniken, tu właśnie tkwi błąd w pańskiej logice! Postępuje pan, jakby bogowie byli postaciami rzeczywistymi, a dawno już dowiedziono, że nie byli. Bogowie byli wytworami fantazji dawnych ludzi, którzy nie potrafili sobie wytłumaczyć niektórych zjawisk. Takich jak błyskawice, którym towarzyszyły grzmoty, jak erupcje wulkanów, niepojęte dla Prymitywnych ludzi, jak silne trzęsienia ziemi, które również były zjawiskiem niewytłumaczalnym dla naszych przodków. Na niebie znaj-

dowały, się jakieś światelka, których nie dało się uchwycić, a które mimo to zawsze ludziom towarzyszyły. Na tym całkiem naturalnym podłożu powstały mity o bogach. Nie mają z tym nic wspólnego ani istoty pozaziemskie, ani inne czary-mary. Musi pan to wreszcie zrozumieć! Powiedział pan na wstępie, że dawno już dowiedziono, że bogowie byli wyłącznie wytworami fantazji odzwierciedlającymi zjawiska przyrody, które zawsze towarzyszyły ludziom. Pańska bardzo zacna opinia, pochodząca ze starej szkoły, jest - przynajmniej dla mnie! - dawno przestarzała. Kto kwestionuje fakt, że istnieli również bogowie przyrody? U ludów pierwotnych istnieją do dziś, ale w tym przypadku nie chodzi o tych bogów, o których mówię! Gdyby pańskie podejście było słuszne, to w sztuce prehistorii musiałyby istnieć przedstawienia tych bogów. Ale, szanowny panie, ani w odnośnej literaturze, ani w terenie nie widziałem wizerunków burz, wybuchów wulkanów czy trzęsień ziemi! Chwileczkę, mój panie, wiem, co chce pan powiedzieć! Uważa pan na pewno, że bogów tych upersonifikowano, prawda? Ale i to się nie zgadza!

Sądzi pan, że bogowie przyrody porozumiewali się z ludźmi, że z nimi rozmawiali? Sądzi pan, że personifikowane twory fantazji mogły przekazać ludziom techniczne i praktyczne wskazówki z zakresu życia codziennego? Za pomocą błyskawicy, grzmotu i trzęsienia ziemi bezcielesne boskie istoty nie mogły poinformować ówczesnych ludzi, że dwie trzecie powierzchni Ziemi pokrywają wody, a tylko na jednej trzeciej chodzą sobie ludzie i zwierzęta! O tym jednak napisano

w Aweście, świętej księdze Persów. Bóstwa przyrody, jak pan to sobie wyobraża, nie mogły też ostrzec naszych przodków przed chorobami zakaźnymi, a takie boskie polecenie zapisano zarówno w biblijnych Księgach Mojżeszowych, jak i w Aweście. Bogowie-duchy nie mogły też zapewne uprowadzać naszych przodków w Kosmos, co przedstawiono wyraźnie w babilońskim eposie Etana. Tak, a czy naprawdę pan sądzi, że bogowie przyrody w tajemniczy sposób przekazali murzyńskiemu plemieniu Dogonów dokładne informacje o układzie Syriusza, w którego skład wchodzi Syriusz A i Syriusz B? To fakt udowodniony naukowo.

Nie można nie zauważyć, że wszystkie wielkie przekazy ludzkości rozpoczynają się od stworzenia Ziemi, zwierząt i ludzi. I w każdym, ale to w każdym przypadku stwórcami byli bogowie przypominający ludzi - co stale jest potwierdzane słowami, że bogowie stworzyli człowieka "na obraz i podobieństwo swoje"! Jestem przekonany, że nawet największy z ówczesnych idiotów potrafił zauważyć, że jego ciało nie ma nic wspólnego z obserwowanymi zjawiskami przyrody. Czuł jednak zapewne, że - jak chcą mity, legendy i religie - jest stworzony na obraz bogów.

112, Twierdzi pan z całą bez troską, że Bóg Starego Testamentu także był istotą pozaziemską. To już za wiele! W przypadku biblijnych opisów boskich poczynań wiążących się z ogniem, drżeniem ziemi, dymem i podobnymi zjawiskami chodzi po prostu o ideogramy. Mam nadzieję, że

Wie pun, co to jest ideogram!

Ależ, mój panie, niech pan będzie rozsądny. Wiem oczywiście, co to jest ideogram, ale to nie hańba, jeśli pojęcie to znają nie wszyscy obecni w tej sali. Proszę mi wybaczyć, że się unoszę, ale nie potrafię znieść intelektualnej arogancji! Tym, którzy nie wiedzą, wyjaśniam: ideogram pochodzi od greckiego idea, co znaczy idea albo kształt. Fachowcy stosują to słowo do graficznego przedstawienia w piśmie określonej rzeczy albo całego pojęcia.

Wróćmy do pańskiego twierdzenia!

Mam głęboki szacunek dla istoty, którą określamy mianem Boga.

Właśnie ten szacunek przed wszechmocną, ponadczasową istotą stworzyciela zmusza mnie do zaklasyfikowania boskiej postaci przedstawionej w Starym Testamencie jako istoty pozaziemskiej. Bóg Starego Testamentu nie jest przedstawiany jako istota nieomylna, ponadczasowa i wszechmogąca! Bóg ten wciąż popełnia błędy, żałuje tego, co zrobił, często bywa zazdrosny i zawistny, za jednym zamachem zabija winnych i niewinnych, często coś obiecuje, czego później nie dotrzymuje. Czy to nie zastanawiające, że Bóg Starego Testamentu nie potrafi sam się obronić?

Proszę posłuchać, cytuję z II Księgi Mozeszowej... Moment, zaraz znajdę to miejsce... już mam, rozdział 19., werset 24.:

"Lud nie może wyjść na górę Synaj, gdyż ty przestrzegłeś nas, mówiąc: Zakreśl granicę dokoła góry [...].

A Pan rzekł do niego: Idź, zstąp, a potem wstąpisz ty z Aaronem,

kapłani zaś i lud niech nie napierają, by wstąpić do Pana, boby ich pobił..."

Mojżesz otrzymał tu jednoznaczne polecenie wyznaczenia wokół góry granicy, której lud nie może przekroczyć. Czy wszechmogący Bóg nie mógł sam obronić się przed ludem? W równie niewielkim stopniu, W jakim mógł ochronić niewinnych ludzi zbliżających się za bardzo do Jego statku kosmicznego.

W swoich książkach udokumentowałem mnóstwo takich fragmentów, świadczących moim zdaniem o tym, że ten Bóg, Bóg opisany W Starym Testamencie, nie może być wszechmogącą istotą, którą Wyobrażam sobie pod pojęciem "Bóg".

*

113. W jednej z książek pisze pan o bardzo starej baterii elektrycznej, która znajduje się rzekomo w jakimś arabskim muzeum. W rzeczywistości bateria ta nie istnieje! Pieter Coll w książce "Interesy z fantazją" ("Geschafte mit Phantasie") pisze, że pewien archeolog zabiegał o jej zobaczenie, ale muzeum odpowiedziało na jego prośbę odmownie. Zgodzimy się chyba, że nie da się sfotografować rzeczy nieistniejącej! Baterię galwaniczną, moi państwo, bo o niej tu mowa, zaprezentowałem na fotografii w książce Mój świat w obrazach. Kręcąc film "Wspomnienia z przyszłości" filmowcy pojechali do Muzeum Irackiego w Bagdadzie i sfilmowali tam baterię ze wszystkich stron. Pozwolono im

nawet przy niej pomajstrować. Bateria istnieje! Nie wiem, w którym muzeum pytał o nią czcigodny archeolog. Faktem jest, że Muzeum Irackie potwierdziło jak najoficjalniej posiadanie tego znaleziska 1.12.1972 r. Odkryto je na wschód od Bagdadu, na terenie Khiut Robboua. Jej powstanie datuje się na lata 227-126 prz. Chr. Ponieważ w związku z książką Colla zadawano mi to samo pytanie już kilka razy, napisałem sobie zdanie w stylu urzędowego oświadczenia: "Bateria jest eksponowana w Muzeum Irackim. Jest uważana za najstarszą znalezioną dotąd suchą baterię." Pan Coll powinien mnie o to zapytać. Chętnie bym mu dopomógł, żeby jego odkrycie było nie do podważenia.

*

114. Zarzuca pan archeologom i naukowcom innych dziedzin, że mają klapki na oczach. A tak naprawdę to pan ma takie klapki! Wszystko, co panu wpadnie w oko, przerabia pan na bogów z Kosmosu! Jest pan bardziej ślepy, jeśli chodzi o pański zawód, niż wszyscy naukowcy!

A gdzie pańskie pytanie?

115. Czy pan się przynajmniej przyzna, że ma klapki na oczach?

Jak długo jestem gotów sprawdzać wszelkie możliwości, jak długo potrafię zauważyć, że się mylę, tak długo nie mam kłapek na oczach!

Ludzie, którym zarzucam, że mają klapki na oczach, nie potrafią moich hipotez nawet przemyśleć.

Poza tym grubo się pan myli imputując mi, że na wszystko, co mi wpadnie w oczy, patrzę ze swojego punktu widzenia! Oczywiście tezę tę można mi podrzucić, bo w książkach przedstawiam tylko to, co po gruntownych badaniach wspiera moją teorię. Są to zawsze fakty, które - jak z istotnych powodów podejrzewam - stanowią ważne dowody.

Nie mówię i nie piszę o wielu fałszywych informacjach, na które wciąż natrafiam. Niezliczoną ilość razy stałem przed obiektami, które pokazywano mi z myślą: To na pewno zainteresuje tego D.,,nikena! Ale jeśli nie mogę odkryć nic istotnego, od razu skreślam takie bezowocne poszukiwania. Wiele kosztownych podróży nie przyniosło najmniejszych efektów. O tym nie ma oczywiście nic w moich książkach. Chciałby pan, żebym w kolejnej zanudził czytelników opisami bezowocnych poszukiwań? Relacjami z tych wszystkich miejsc, w których byłem, nie przywożąc stamtąd do domu zupełnie nic? Nie, w obronie moich idei walczę informacjami, o których prawdziwości jestem najmocniej przekonany!

*

116. Jak długo przebywa pan przeciętnie w miejscach wykopalisk, które pana interesują? Jak długo był pan na płaskowyżu Nazca i na Wyspie Wielkanocnej ?

Nie można mówić w tym przypadku o przeciętnym czasie pobytu.

Zależy to każdorazowo tak od danego miejsca, jak od przygotowań, od

możliwości poczynienia takich przygotowań. Nigdy nie wyruszam na chybił trafił! Przed rozpoczęciem podróży starannie się do niej przygotowuję, czytam stosowną literaturę, wypytuję osoby znające dane miejsce - często najwięcej informacji zdobywam dzięki korespondencji z mieszkańcami danego regionu. A w końcu będąc już w obcym kraju szukam natychmiast kontaktu z miejscowymi ludźmi.

W Nazca byłem wiele razy, po raz pierwszy w maju 1966 - przebywałem tam wówczas dwa tygodnie. Na Wyspie Wielkanocnej byłem dwa razy, w sumie przez mniej więcej trzy tygodnie.

117. Czy prowadzi pan wykopaliska sam ?

Nie, we wszystkich krajach jest to prawnie zabronione, bez zezwolenia nie mógłbym rozpocząć kopania nawet w Szwajcarii. A w krajach egzotycznych ustawy i regulacje prawne dotyczące cudzoziemca są jeszcze bardziej skomplikowane i zagmatwane niż w jego własnym kraju. Najistotniejsze jest to, że kraje najciekawsze z archeologicznego punktu widzenia zabezpieczają się prawnie i barykadują przepisami, co chroni je przed grabieżą. Jeśli gdzieś wolno rozpocząć prace wykopaliskowe, to jest to możliwe dopiero po długich korowodach z zezwoleniem i pod miejscowym kierownictwem. Załóżmy jednak, że udałoby mi się pokonać władze i otrzymałbym zezwolenie na prowadzenie wykopalisk - czy wyobraża pan sobie, jakie nakłady byłyby konieczne, ile to kosztuje? Osoba prywatna jak ja nie mogłaby się na coś takiego zdobyć! Gdyby wykopaliska były takie proste i tanie, nie zabiegałbym tak usilnie

o pomoc archeologów, tylko robiłbym to sam...

118. Robert Charroux napisał, że w 1970 czy 1971 roku był w zatoce Pisco i że wraz ze swoją ekspedycją byli pierwszymi ludźmi, którzy w tym stuleciu postawili stopę na "andyjskim kandelabrze". Ale pan we " Wspomnieniach z przyszłości" pisze, że był tam w 1966. Który z panów ma rację ?

Wiele razy byłem w zatoce Pisco. Pierwszy raz w 1966 roku.

Towarzyszył mi wtedy w podróży Hans Neuner. Dotarliśmy do zatoki łodzią, bo nie dała się wytrasować samochodu terenowego. Rybak, który nas wiozł, nie chciał podpływać w pobliże ostrych skał, nie dobił do brzegu. Ostatni odcinek drogi musieliśmy przebyć wplaw, a potem wspiąć się na stromiznę wybrzeża.

Jeśli Charroux twierdzi, że wraz ze swoją ekipą byli pierwszymi ludźmi, którzy w tym stuleciu wspięli się na "kandelabr", to albo się myli, albo przesadza. W odległości zaledwie 20 km jest bowiem hotel Paracas, z którego prawie codziennie wyruszają wycieczki łodzią do "kandelabru" - ta rozrywka dla turystów ma już ponad dziesięć lat.

119. Włącza pan do swoich teorii co się tylko da. Ale zajmuje się pan również systemami jaskiń! Co wspólnego mają jaskinie z istotami pozaziemskimi?

W książce Siejba i Kosmos wysunąłem przypuszczenie, że jakaś pozaziemska rasa mogła znajdować się akurat w trakcie ucieczki.

Wysunąłem też przypuszczenie, że być może gdzieś toczyła się wojna kosmiczna dwóch układów słonecznych i że wylądowało tu paru zwyciężonych, którym udało się przeżyć. Przypuszczenie, że gdzieś tam toczyła się "gwiazdna wojna", nie jest moim wymysłem, stare mitologie zawierają wiele świadectw takiej wojny! Najbardziej znane są opisy Lucyfera i jego zastępów, walczących z archaniołem Gabrielem, a w końcu zepchniętych w otchłań - nie unicestwionych! - przez "miecz ognisty" Gabriela! Rozważając to w kosmicznych wymiarach okaże się, że wojny nie ograniczają się do krajów czy kontynentów. Gdyby więc grupka zwyciężonych dotarła do Ziemi, wówczas ci nasi koledzy z innych gwiazd musieliby liczyć się z tym, że zwycięzcy będą chcieli ich odnaleźć - przy pomocy lokalizatorów, o jakich my możemy

dziś tylko pomarzyć! - i zniszczyć. My również za pomocą naszych stosunkowo prymitywnych lokalizatorów umieszczonych na satelitach poszukujemy źródeł promieniowania podczerwonego, źródeł promieniowania radioaktywnego i jeszcze wielu innych rzeczy we Wszechświecie! Tych kilkoro rozbitków zrobiłoby więc najrozsądniej kryjąc się w jaskiniach, żeby nic nie zdradzało ich obecności.

Kolejnym powodem, dla którego włączam jaskinie w moje rozważania, jest to, że bogowie mogli budować jaskinie sztuczne! Po co? To przecież jasne! Jako miejsce przechowania swoich technicznych skarbów - a może, żeby pozostawić tam informacje przeznaczone dla pokoleń odległej przyszłości.

120. To przecież bzdura! Po co ktoś miałby budować potężne podziemne pomieszczenia? Przy pomocy jakiej techniki?

To wcale nie taka bzdura! Jestem Szwajcarem i wiem, że nasza armia dosłownie podziurawiła wiele gór. W tych pomieszczeniach znajdują się nie tylko składy broni, lecz również szpitale, kantyny, sypialnie i tak dalej - wszystkie tunele są ze sobą połączone. Także bunkier dowództwa wojsk USA znajduje się - na wypadek wojny - głęboko pod Górami Skalistymi!

Jeśli więc za parę tysięcy lat żyjący wtedy archeolodzy odkryją podziurawione góry, powiedzą zapewne: wszystko stworzyła przyroda! Po co niby ludzie przeszłości miałiby drążyć kiedyś tunele i wykuwać ogromne hale? I przy pomocy jakiej techniki?

Ale my to zrobiliśmy! Przy pomocy dzisiejszej techniki.

Przed wielu laty Mao Tse-tung nakazał Chińczykom wykopać podziemne chodniki i tunele, żeby złożyć tam ogromne zapasy żywności.

Po co? Z obawy przed odkryciem tego "z góry"! W razie wojny powietrznej lub atomowej.

Poza tym mogą państwo jeszcze dziś zobaczyć całe podziemne miasta!

Znajdują się o miedzę stąd! W Turcji mogą państwo zobaczyć takie podziemne budowle koło Derinkuyu! Pod ziemią jest trzynaście pięter, poszczególne piętra są ze sobą połączone, są tam chodniki i hale. Po dziś dzień nikt nie wie, kim byli ludzie, którzy te miasta stworzyli. Ale one istnieją!

*

121. Muszę jeszcze raz wrócić do jaskini. Przyszło mi właśnie do głowy, że pan Juan Moricz rozgadywał wszędzie, że nigdy nie był z panem w jaskiniach. Nie wchodzili panowie ani wejściem głównym, ani bocznym. Jak było naprawdę? Czy Moricz kłamie?

Nie wierzę tym informacjom. Ale jeśli Juan Moricz naprawdę powiedział, że nigdy nie wchodził ze mną bocznym wejściem do kompleksu jaskiń, to oczywiście kłamie! Sądzę jednak, że poznam dziś przyczyny jego zagadkowego zachowania.

W 1971 roku uzgodniliśmy, co w książce Siejba i Kosmos mogę napisać na temat tego kompleksu jaskiń. Nie mogłem pisać o geograficz-

nym położeniu ani wejścia głównego, ani bocznego. Jeśli chodzi o wejście główne, mogą państwo znaleźć w mojej książce wielki trójkąt oznaczający obszar, w którym się znajduje - ale nikt nie odnajdzie wejścia na podstawie tego szkicu. Nie wspominam nawet o wejściu bocznym!

A potem się zaczęło. Po ukazaniu się książki powstało w Ekwadorze ogromne zamieszanie. Mecenas dr Peła przysłał mi dokument, o którego istnieniu nic dotąd nie wiedziałem. W dokumencie tym wszyscy uczestnicy ekspedycji z 1969 roku zobowiązali się na piśmie do zachowania milczenia na temat szczegółów poznanych w trakcie Wyprawy. Mam ten dokument w teczce z materiałami do dyskusji, chętnie przeczytam państwu najistotniejszy fragment. Jeśli mają państwo ochotę, mogą sobie państwo zrobić kopię. Mogą też państwo do mnie napisać, to ją państwu przyślę. Gratis i bez żadnych opłat pocztowych. Napisano tu więc:

"Niżej podpisani członkowie ekspedycji Juana Moricza z 1969 roku oświadczają niniejszym, że na temat ekspedycji nie będą udzielać żadnych informacji gazetom, czasopismom, radiu, telewizji i innym środkom masowego przekazu. Oświadczają, że nie będą publikować żadnych ilustracji sporządzanych w związku z ekspedycją, że nie będą niczego mówić ani publikować o wejściach do jaskiń, drogocennych przedmiotach w tunelach ani o położeniu geograficznym i teoriach przyświecających wyprawie... "

Wszyscy uczestnicy ekspedycji własnoręcznie podpisali ten doku-

ment. Skandal powstał z chwilą ukazania się mojej książki! Zawierała ona zdjęcia przekazane mi przez Moricza i moje relacje na temat przedmiotów znajdujących się w tunelach. Uczestnicy ekspedycji zaprotestowali! Oni trzymali się umowy, moja publikacja niejako ich oszukała. Jestem pewien, że każdy z uczestników był przekonany, że mógłby zarobić, gdyby sam napisał o jaskiniach! Moricz musiał się teraz bronić przed uczestnikami ekspedycji. I zapewne wówczas wpadł na ów chwalebny pomysł, żeby stwierdzić, że wszystko to tylko moje wymysły i że ja nigdy nie byłem na dole...

122. I co?! To przecież też pański wymysł!!!

Nieprawda! Załóżmy - choć nie jest to zgodne z faktami! - załóżmy, że nie byłem tam z Moriczem. W takim razie należałoby wyjaśnić, czy istnieje opisana przeze mnie metalowa biblioteka, której istnienie - jak przeczytałem w prasie - Moricz również rzekomo kwestionuje. Moricz przeczy sobie samemu, żeby nie użyć mocnego słowa: sam się oszukuje.

Moricz, który jest odkrywcą jaskiń, złożył 21 lipca 1969 roku u notariusza dr. Gustavo Falconiego w Guayaquil pewien dokument. Proszę, oto on. Mogą go sobie państwo również skopiować! W dokumencie tym napisano dosłownie, cytuję:

"W jaskiniach znajdują się... grawerowane metalowe płytki i znaki pisma ideograficznego, prawdziwa metalowa biblioteka..."

Koniec cytatu!

Niech mi więc nikt nie wyłazi z argumentem, że poniosła mnie fantazja! Dlaczego właśnie na ten temat niczego nie szytałem, dlaczego krytycy nie zapytają o to samego Moricza? W końcu właśnie po to zamieściłem w książce adres mecenasa Peńi, przez którego zawsze można Moricza złapać.

123. Czy to się panu podoba, czy nie, będę drążył dalej! Wie pan, ja jestem dobrze poinformowany. Kiedyś byłem zwolennikiem pańskiej teorii, dopóki nie zdemaskował się pan tą historią. Do rzeczy. Czytałem, że Neil Armstrong brał udział w ekspedycji, która poszła pańskimi śladami. W rzekomych jaskiniach. Ale nie znaleziono nic! Zupełnie nic! Jestem panu naprawdę wdzięczny, że pan, tak dobrze poinformowany, chciał do końca prześledzić tę historię! Gdyby mnie o to nie zapytano, nie poruszyłbym tego tematu!

Najpierw Neil Armstrong, pierwszy człowiek na Księżycu! Za-inspirowany moimi opisami z książki Siejba i Kosmos szkocki archeolog-amator Stanley Hill zdecydował się zorganizować wyprawę do ekwadorskich jaskiń. Hall ma doświadczenie w badaniu jaskiń, brał udział w wielu zejściach. Tymczasem ja dowiedziałem się, że Hall zwrócił się z prośbą o wsparcie do panów Moricza i Peńi. Nie mogę tu przedstawić prawdziwych powodów ich rezygnacji. Raz czytałem, że Moricz zażądał za wiele za wzięcie udziału w wyprawie. To możliwe. Nie wiem. Mogę sobie wyobrazić, że Moricz odmówił, bo nie zaproponowano mu, żeby kierował wyprawą. Szukając pomocy Hall znalazł w końcu

wsparcie ekwadorskich czynników rządowych. Wyprawę przeprowadzono w 1976 roku. Hall zaprosił Armstronga. Obecność pierwszego człowieka na Księżycu gwarantowała ogólnoświatową publicy.

Ekspedycja odkryła kilometrowe chodniki i olbrzymie hale, które opisałem. Znalazła też takie archeologiczne skarby jak figurki i kamienie z wyrytymi znakami. Nie znalazła metalowej biblioteki!

Moi państwo, wcale mnie to nie dziwi! Jeśli do jaskiń schodzi się bez Moricza, który jest ich odkrywcą, to w plątaninie chodników człowiek zaraz ląduje w jakimś zupełnie nieprawdopodobnym miejscu!

Byłem też zdumiony, a nawet rozczarowany sposobem ukazania ekspedycji w czasopismach ilustrowanych. Świat jest kolorowy, kolorowe jest też czasopismo ilustrowane! Można było przeczytać takie nagłówki jak "Daniken zdemaskowany!" albo "Jaskinie Danikena są puste!" Zdarzały się też takie miłe sformułowania jak "Szarlatan się kompromituje!" Relacje powoływały się na wypowiedzi Neila Armstronga. Chciałem to sprawdzić.

18 lutego 1977 roku napisałem do pana Armstronga. 24 lutego dostałem odpowiedź. Pozwolę sobie zacytować fragmenty jego listu, ten dokument też przedkładam zainteresowanym. Oto cytaty z listu Armstronga:

"Na obszar badany przez ekspedycję przybyłem na początku sierpnia ubiegłego roku. Nie czytałem pańskich książek i nie wiedziałem o pańskich powiązaniach z jaskiniami. Nie robiłem żadnych komentarzy na temat pańskich hipotez z tym związanych.

Poinformowano mnie, że w Niemczech i w Argentynie wydaje się różne artykuły traktujące o wyprawie, a mające związek z pańskimi teoriami. Publikowano zdjęcia przedstawiające mnie na miejscu badań. Nikt z prasy nie zadał mi żadnych pytań."

Koniec cytatu.

Neil Armstrong, którego podsunięto, żeby mnie zdemaskować, nie wie nawet, jak prasa wykorzystuje jego nazwisko!

124. Co się pan tak denerwuje?! Sam pan przecież przyznał w "Spieglu ", że nie był w jaskiniach ! Po co się pan tak upiera, że pan tam był? Niech pan w końcu przyzna, że wszystko podsunęła panu pańska fantazja.

Nigdy nie mówiłem tego, co mi pan przypisuje, do tego dla "Spiegla"!

"Spiegel" nie wydrukował też czegoś takiego! Wiem oczywiście, że często się to czasopismo w ten sposób cytuje, szczególnie w strefie języka angielskiego. Fałszywe informacje nie staną się prawdziwe tylko dlatego, że się je powtarza.

125. To już szczyt! Na pewno czytał pan tytułową historię ze "Spiegla" - "Oszustwo Ddnikena", tak czy nie?!

Proszę posłuchać! Pewnie że czytałem. Ale nie zawiera ona ani jednej mojej wypowiedzi, z której można by wnosić, że nie byłem w tej ekwadorskiej jaskini!

126. W ten sposób nie dojdziemy do niczego! Jeżeli metalowa biblioteka

istnieje, to czemu dawno już pan tam nie pojechał, nie przywiózł paru fotografii i nie przedstawił ich swoim oponentom?

Chętnie bym to zrobił. ale nie mogę. Od momentu opublikowania dwunastostronicowej relacji o jaskiniach mam w Ekwadorze masę wrogów. Życie mi jeszcze nie zbrzydło.

127. Jeśli nie chce pan poprowadzić tam wyprawy, to musi pan się zgodzić, że będzie się panu zarzucać oszustwo. Jak można wyjaśnić tę problematyczną historię, skoro pan odmawia pomocy?

Najprostsza droga do jaskiń prowadzi przez odkrywcę metalowej biblioteki, Juana Moricza. Druga - to odkrycie przypadkowe. Ponieważ wiem, jak trudno dotrzeć do jaskiń przez Moricza, w książce 'Siejba i Kosmos' zaproponowałem badaczom drugą drogę. Po przygotowaniu starannej strategii na pewno się to uda.

128. Zostańmy przy jaskiniach! Czytałem książkę "Kronika z Akakor" Karla Bruggera. W opisywanych indiańskich jaskiniach znajdują się też podobno techniczne pozostałości po istotach pozaziemskich. Moje pytania: Czy zna pan tę książkę? Czy zna pan jej autora? Czy podziemne miasto Akakor istnieje?

Oczywiście że znam książkę! Do moich obowiązków należy czytanie wszystkiego, co nawet z daleka zahacza o mój temat. Poznałem też autora tej publikacji, Karla Bruggera, który od lat jest korespondentem zagranicznym niemieckiego radia w Brazylii. Brugger jest z wykształ-

cenia socjologiem, sprawia wrażenie człowieka rozsądnego, mądrego i bardzo nowoczesnego. Nie jest fantastą.

Jeśli zaś chodzi o wytwory rzekomo pozaziemskiej techniki, znajdujące się w podziemnych pomieszczeniach opisanych w książce Bruggera, to nie wiem, czy istnieją. Na pewno wiem jednak, że Tatumca Nara, przywódca pewnego plemienia, nagrał Bruggerowi na magnetofon swoje informacje. Przed publikacją Brugger sprawdził wszystko jako dziennikarz, a potem spisał wypowiedzi wodza i rezultaty własnych badań.

129. Niedawno pojawiła się w prasie informacja, że sam zorganizował pan wyprawę na tereny tego indiańskiego plemienia. Czy coś z tego wyszło ?

Mój panie, to długa historia, ale jeśli chce pan posłuchać... proszę bardzo. Opowiem wszystko po kolei.

Przed dwoma laty nawiązałem kontakt - nie miało to nic wspólnego z książką Bruggera - z panem Ferdinandem Schmidem z Manaus. Pan Schmid był przez całe życie pilotem Swissairu. Po przejściu na emeryturę podjął pracę na rzecz Czerwonego Krzyża w Brazylii. Praca ta zaprowadziła go do Manaus. W ramach swojej działalności spotykał się często z wodzem Tatumcą Narą. Tatumca opowiedział panu Schmidowi dokładnie tę samą historię swojego plemienia, jaką opublikował Brugger.

Schmid i ja korespondowaliśmy ze sobą, potem spotkaliśmy się

w Zurychu. Zaproponowałem zorganizowanie wyprawy na tereny plemienia wodza Tatunki, bo tylko w ten sposób można było sprawdzić prawdziwość jego niewiarygodnej historii. Schmid polecił znów do Manaus, gdzie jako doświadczony pilot zajął się przygotowaniem ekspedycji - był w kontakcie z Tatumcą, który oświadczył, że może zaprowadzić niewielką wyprawę do swojego ludu.

Zbyt wiele czasu zajęłoby wymienianie wszystkich szczegółów przygotowań. Wyprawę zaplanowano na pierwszą połowę lipca [1977]. Dwa helikoptery miały nas dowieźć jak najbliżej terenów plemienia. Mieliśmy zezwolenie FUNAI, brazylijskiego Urzędu Ochrony Indian. Przewodnikiem ekspedycji miał być Tatumca Nara - tylko on wiedział, gdzie jest tajemnicze miasto.

Mimo całej ciekawości nie chciałem ruszać na oślep w przygodę, na którą musiałem wyłożyć wysoką sumę. Po gruntownych rozmowach Ferdinand Schmid polecił wodzowi, aby najpierw udał się sam do swojego plemienia, skąd dostarczy przekonujący dowód istnienia urządzeń. Tatumca miał je sfotografować. Po zaakceptowaniu tego materiału dowodowego można by było dać sygnał do rozpoczęcia ekspedycji, przygotowanej w najdrobniejszych szczegółach.

Daliśmy wodzowi prosty w obsłudze aparat fotograficzny a do tego nowy silnik zaburtowy do jego łodzi. Pod koniec marca Tatumca wyruszył z Manaus. Miał wrócić za dwa miesiące.

Nie wrócił. Trzeba jednak pamiętać, że Indianie niespecjalnie przejmują się terminami, spóźnienia to dla nich nic nadzwyczajnego. Może to

być spowodowane warunkami meteorologicznymi. Czasem woda w dopływach Rio Negro jest tak niska, że nie da się płynąć na silniku - trzeba czekać na deszcz.

10 lipca poleciałem do Manaus. Tatanca jeszcze nie przybył. Spóźnił się już półtora miesiąca. Bez niego lot śmigłowcem nie miał najmniejszego sensu, ale firma, w której zamówiliśmy przelot, nie mogła i nie chciała, żeby maszyny stały bezczynnie. Zażądała dotrzymania umownego czterotygodniowego terminu. Przed startem! Gdybyśmy 10 lipca dali wyprawie zielone światło, musielibyśmy wystartować cztery tygodnie później. Ale kiedy Tatanca nie pojawił się nawet w połowie lipca, odwołałem wyprawę.

Zarezerwowałem bilet na powrotny lot do Europy. I właśnie w ostatni dzień mojego pobytu Tatanca spłynął swoją łodzią wodami Rio Negro! Najpierw zapytał, czy dostaliśmy zdjęcia, które przed dziesięciu dniami dał dla nas załodze pewnego statku zajmującego się handlem. Nie dostaliśmy żadnych zdjęć. Tatanca powiedział, że był w mieście Akahim i potwierdził swoje informacje o znajdujących się tam technicznych pozostałościach bogów.

Ale dowodów nie miał. W odpowiedzi na nasze zarzuty stwierdził, że stoi po stronie swojego ludu, nie po naszej, i że swojego ludu nie zdradzi i nie będzie nam tak po prostu przynosił przedmioty, uważanego przez jego ludzi za święty - przecież my też nie wykradamy niczego z kościołów.

Rozmowa trwała 12 godzin, a ja po dziś dzień nie wiem, co myśleć

o tej całej historii. To, co mówił Tatonca, nie było nielogiczne, nie było też niemożliwe - a mimo to w najwyższym stopniu nieprawdopodobne!

Wódz wyczuł moje niedowierzanie i wyjaśnił, że z nadejściem nocy porozmawia ze swoimi kapłanami...

130. Odnoszę wrażenie, że jego plemię znajdowało się dość daleko, gdzieś w dżungli, a wasza rozmowa odbywała się w Manaus. Jak więc Indianin mógł rozmawiać z kapłanami?

Też go o to zapytałem! Tatonca stwierdził, że Indianie potrafią porozumiewać się na odległość, my powiedzielibyśmy, że za pomocą telepatii. Oczywiście ten sposób komunikacji, jak twierdził Tatonca, nie odbywa się za pomocą słów i zdań, lecz przez intensywne namacalne myślenie, z myśli o głodzie, miłości, przyjaźni, nienawiści, szczęściu, wojnie, wrogości i tak dalej można przekazywać obrazy umożliwiające porozumienie. Każdy Indianin ćwiczy od najwcześniejszego dzieciństwa ten telepatyczny sposób komunikacji.

131. I co? Rozmawiał z kapłanami?

Mówił, że tak! Przesunąłem lot powrotny o 24 godziny.

Nazajutrz Tatonca pojawił się pewny siebie i oświadczył, że wyjaśnił kapłanom, że nie może stanąć przede mną z pustymi rękoma, bo biały człowiek mu nie wierzy. Kapłani pozwolili mu zatem dostarczyć mi przekonujący dowód. Pojedzie jeszcze raz do swojego plemienia, weźmie dowód, wróci do Manaus, a pan Schmid natychmiast zawiado-

mi mnie telefonicznie.

Tatunca z obiecany dowodem jeszcze się nie pojawił. Czekam.

132. Nie mogę sobie tego wyobrazić, załóżmy jednak, że Indianin przyniósłby jakiś przedmiot, o którym by twierdził, że jest pozaziemskiego pochodzenia. Co by pan wtedy zrobił?

Wiem, na co pan czeka! Jest pan oczywiście dobrze poinformowany na mój temat, myśli pan więc, że facet bez zastanowienia wskoczy do samolotu a potem do śmigłowca, żeby pognać za jakąś niepewną historyjką. Fakt, czasem postępuję spontanicznie, ale wtedy musi łąskotać mnie w dołku, co znaczy: Leć! Tam coś jest!

Nie, jak dotąd nie czuję nic takiego. Co bym zrobił? Najpierw obfotografowałbym przedmiot ze wszystkich stron stereoskopowymi aparatami, obejrzałbym pod mikroskopem. Udałbym się do swoich przyjaciół-naukowców - mam wielkie szczęście, że za przyjaciół mogę uważać naukowców uczciwych i pozbawionych uprzedzeń. Poprosiłbym tych panów o jak najdokładniejszą analizę przedmiotu. Wszystko byłoby poufne, a gdyby rezultaty były negatywne, wstrzymałbym dalsze prace. Krótko: badania musiałyby udowodnić, że przedmiot jest lub może być niezemskiego pochodzenia. W przypadku rezultatu pozytywnego omówiłbym z naukowcami metody dalszego postępowania. Zanim poleciałbym nad Rio Negro i pogrążyłbym się w dżungli, przedmiot musiałby być jednoznacznie zidentyfikowany jako pozaziemski. A więc nie działam tak spontanicznie, jak pan sądzi!

133. Gdzie jest owo tajemnicze miasto Akahim, do którego miał pana zaprowadzić Tatumca?

Nie mogę tego panu powiedzieć z dokładnością do kilometra. Na podstawie tego, co powiedział Tatumca, oraz biorąc pod uwagę planowaną trasę helikoptera, którą planował doświadczony bądź co bądź pilot Swissairu, można przypuszczać, że chodzi o tereny nad granicą brazylijsko-wenezuelską -jest to obszar oddalony o około 220 km w linii prostej od brazylijskiej miejscowości Tomar, w pobliżu źródeł Rio Padauri. Proponuję, żebyśmy na tym zamknęli temat.

IV

134. We "Wspomnieniach z przyszłości" napisał pan, że w Drodze Mlecznej jest około 30 miliardów gwiazd stałych. Teraz mówi pan o 200

miliardach. Co jest prawdą?

Co najmniej 200 miliardów!

135. Jak w ciągu niewielu lat można przejść od 30 do 200 miliardów gwiazd stałych! Coś tu się nie zgadza!

Wszystko się zgadza! Dane analizowane przed dziesięciu laty da 'Wspomnień z przyszłości' były wtedy słuszne. Tymczasem astronomia otrzymała nowe narzędzia do obserwacji nieba, pole widzenia powiększyło się ogromnie. Nie tylko dzięki teleskopom optycznym, lecz również dzięki radioastronomii. Ale niech pan sobie nie wyobraża, że te 200 miliardów gwiazd policzono jedna po drugiej! Nie, sfotografowano jeden sektor Drogi Mlecznej, tak zwane "okno", policzono w nim gwiazdy i pomnożono przez liczbę sektorów. W każdym razie astronomia wychodzi od tego, że w naszej Galaktyce jest co najmniej 200 miliardów gwiazd stałych. Jeżeli w przyszłej książce napiszę, że gwiazd stałych jest 300 miliardów, to liczba ta będzie odpowiadać najnowszemu stanowi badań. Widzi pan, że postęp techniki w tej dziedzinie jest szalony, ja zaś za każdym razem do swojej kolejnej książki biorę wyniki badań najnowszych. W 1967 roku nie mogłem przewidzieć, co będzie w 1977!

136. W naszej Galaktyce jest ponad 200 miliardów gwiazd stałych.

A Droga Mleczna stanowi bardzo małe skupisko gwiazd we Wszechświecie. Prawie co dzień odkrywa się kolejną drogę mleczną. Jak przy tej

obłądnej liczbie układów słonecznych może pan zakładać, że istoty pozaziemskie odnalazły akurat nas?

Pytanie, które mi pan zadał, jest mi bardzo dobrze znane i muszę panu za nie podziękować, bo należy do moich "ulubionych". Określam je mianem kompleksu "akurat my". Akurat my! Akurat ja!

Ktoś zachorował, szuka lekarza, słyszy, że jest chory nieuleczalnie. Akurat ja, mówi sobie. Zapomina, że w jego sytuacji są na świecie miliony ludzi. Niezbyt lubiany sąsiad wygrywa w lotto. Akurat on! Nieszczęście - akurat ja! Szczęście - akurat on!

Szanowny panie, wszyscy mamy kompleks "akurat my"! Skąd czerpie pan odwagę - albo, przepraszam za słowo, arogancję - twierdzić, że akurat nas odwiedziono?! Ja nigdy się na to nie odważyłem. Aby wysunąć przypuszczenie, trzeba coś sobie w minimalnym stopniu założyć. Ma pan kontakt z innym układem słonecznym czy nawet z innymi galaktykami? Kto wie, co dzieje się w otchłaniach Wszechświata? Co się działo? Nikt tego nie wie. Dlatego za bezsensownym stwierdzeniem, że to "akurat nas" odwiedziono nic nie stoi. Jest puste. Proszę o następne pytanie. . .

137. Chwileczkę, chwileczkę? Zapomnijmy wigg określenie "akurat my"! W równym stopniu chodzi o "akurat teraz"! Ewolucja, która na Ziemi doprowadziła do powstania człowieka, trwała kilka miliardów lat. To można przeczytać w każdej książce o historii ewolucji, pan też to pisze. Można też przeczytać, że człowiek stał się istotą naprawdę inteligentną

dopiero w ostatnich tysiącach. A potem pojawia się pan, panie von D.,niken, i wmawia nam, że akurat teraz odwiedziły nas nieznane, mądre istoty! Skąd obcy mieliby wiedzieć, że teraz człowiek stał się inteligentny? Gdyby był pan uczciwy, przyznałby, że to czysta teoria!

Najpierw odpowiem na pytanie ostatnie: Oczywiście że to tylko teoria! Jak wiadomo, nauka posługuje się teoriami i hipotezami, to konieczne, bo inaczej nigdy nie wyszłaby poza status quo swojej wiedzy.

Ja też nie zamierzam pozbawiać się tej swobody myślenia.

Ale wróćmy do pańskiego zasadniczego pytania: jest to pytanie mądre... ale tkwi w nim pewien błąd myślowy. Z mojego punktu widzenia. Bo ja twierdzę, że w chwili przybycia istot pozaziemskich człowiek nie był inteligentny, lecz że to oni uczynili go inteligentnym przez celową sztuczną mutację!

Pański punkt wyjścia - "akurat teraz" - jest fikcyjnym punktem położonym na fikcyjnej linii. Niech pan przyjmie, że przed dziesięcioma milionami lat Ziemię odwiedziły istoty pozaziemskie i właśnie w tym czasie, który był owym teraz, właśnie w tym czasie istoty pozaziemskie uczyniły hominidy inteligentnymi. Gdybyśmy wtedy zadawali to pytanie, brzmiałoby ono: dlaczego odwiedzają nas akurat teraz? Jak pan chce, to może pan to zdarzenie przerzucić w przyszłość. Niech pan założy, że takie odwiedziny czekają nas dopiero za pięć milionów lat.

Gdyby tak jednak było, nie dyskutowalibyśmy nad pańskim pytaniem, nie potrafilibyśmy dyskutować, bo wszyscy skakalibyśmy z gałęzi na gałąź w towarzystwie małp! Podróżując w fantazji w odległą przyszłość

zapytałby pan - gdyby za miliony lat zdarzenie takie miało miejsce

- Ericha von D.,nikena stojącego przy mikrofonie: "Dlaczego od-

wiedzono nas akurat teraz?" Gdyby chciał pan umiejscowić swój punkt

"akurat teraz", to moim zdaniem znalazłby się on w epoce, kiedy ludzie

stali się inteligentni, niezależnie kiedy to się stało w pradawnej historii

Kosmosu.

138. Umie pan znaleźć na wszystko odpowiedź! Czy czasem nie miewa pan jednak racji ?

Tak, to pytanie też powinno paść. Czy w naszej dyskusji chodzi

o kwestię, czy mam, czy nie mam racji? Reprezentuję pewne poglądy,

a są to moje poglądy, które nawarstwiały się przez minione 20 lat. Często

je oczywiście wietrzę! Czy nie miewam racji? W minionych latach

mogłem przyznać, że w szczegółach czasem pudłowałem. In toto jednak,

a o to przecież chodzi, żadne kontrargumenty nie zdołały mnie dotąd

odciągnąć od mojej teorii - nie doprowadziły też, żebym zaczął w nią

wątpić. Jeśli nie mam racji, mam odwagę to przyznać. Czy to hańba się

pomylić? Pytania, jakie mi dotąd zadawano, nie miały nic wspólnego

z racją czy jej brakiem. Proszono mnie o wypowiedzenie zdania i to

zrobiłem.

139. Teraz pana przyszpilę! "Stern" wykazał niedwuznacznie, że nigdy

nie był pan w sztucznych podziemnych jaskiniach w Ekwadorze. Tak

twierdził pan w swojej książce "Siejba i Kosmos". Nie zaprzeczy pan

przecież. Pamiętam, że człowiek, który rzekomo towarzyszył panu w podziemny świat baśni, zdystansował się od pana. Pan po prostu nakłamał, a jeśli pan mówi, że przyznaje się do swoich błędów, to proszę to teraz zrobić!

Po tak gwałtownym ataku muszę pana poprosić, żeby mnie pan uważnie wysłuchał!

Południowoamerykańskim korespondentem "Sterna" jest człowiek o nazwisku Hero Buss, jest to korespondent polityczny. Na zlecenie "Sterna" pojechał do mecenasa Pełi, którego wizytówkę i numer telefonu opublikowałem w książce Siejba i Kosmos. Za pośrednictwem dr. Pełi Buss zorganizował spotkanie z Moriczem, człowiekiem, z którym bocznym wejściem wszedłem do opisywanej przeze mnie jaskini.

Należy tu rozgraniczyć dwie daty:

1. Juan Moricz poprowadził w 1969 roku wyprawę do odkrytych przez siebie fragmentów jaskiń. W tej ekspedycji z 1969 roku udziału nie brałem.

2. Ale w 1971 roku zszedłem z Moriczem bocznym wejściem do ciągu tych samych jaskiń. Boczne wejście znajduje się w innym miejscu niż wejście główne, przez które wchodziła wyprawa z 1969 roku.

Całkowitą prawdą było oświadczenie Moricza wobec dziennikarzy, że nie byłem członkiem wyprawy z 1969 roku. To, że nigdy nie twierdziłem, że byłem, nie przedarło się przez zamęt częściowych zafałszowań. Poza tym zatajono, że w 1971 roku wchodziłem z Mori-

czem przez wejście boczne!

Przed publikacją w "Sternie" zadzwonił do mnie niejaki pan Haaf i poinformował, że panowie Peła i Moricz powiedzieli korespondentowi "Sterna" Hero Bussowi, że zdjęcia podziemnego systemu tuneli, opublikowane w książce Siejba i Kosmos, nie są moje, ale pana Moricza, ja zaś nie byłem w inkryminowanych miejscach. Pan Haaf zapytał, co ja na to.

Powiedziałem prawdę potwierdzając, że autorem tych zdjęć jest istotnie Juan Moricz, który zrobił je podczas ekspedycji w 1969 r. Zwróciłem uwagę, że w książce podano źródło zdjęć - powiedziałem też, że nie byłem w miejscach utrwalonych na tych zdjęciach, lecz że w 1971 roku wszedłem z panem Moriczem do systemu jaskiń bocznym wejściem. Moricz prosił mnie, a nawet zabronił mi publikowania moich zdjęć, nie chciał bowiem zwabić dzikich poszukiwaczy skarbów. Jeszcze dziś mam te zdjęcia, ale ponieważ przyrzekłem ich nie publikować, nie zrobię tego, choćby mnie o to nagabywano. Mam zwyczaj dotrzymywać słowa.

W numerze 41. z 1972 roku "Stern" zamieścił tekst, w którym napisano między innymi - mogę państwu przeczytać, bo amunicję tę dla bezpieczeństwa zawsze mam przy sobie. Napisano tam: "Jeszcze niedawno von D.,niken odrzucał zdecydowanie wszelkie wątpliwości co do tej fantastycznej sprawy: 'Widziałem to wszystko na własne oczy'. W zeszłym tygodniu jednak poprosił w liście "Sterna" o zrozumienie, że musi być wolno 'pisarzowi stosować przy

opisie takich struktur pewnych efektów dramaturgicznych'. A z boczku przyznaje się półgłosem: 'W rzeczonych miejscach rzeczywiście nie byłem'. Właśnie to stwierdzili ostatnio reporterzy >>Sterna<< Hero Buss i Perry Kretz, kiedy sprawdzali wszystko w Ekwadorze... , Koniec cytatu.

To, co napisano: że "przyznałem się półgłosem", iż "nie byłem w rzeczonych miejscach", to po prostu przekręcanie faktów! Prawdą jest, że mówiłem o "efektach dramaturgicznych", co rozdeptało do gigantycznych rozmiarów, ale ja do dziś nie zmieniłem zdania.

Chciałbym zobaczyć takiego dziennikarza czy pisarza, któremu przy pisaniu nie jest potrzebna pewna dramaturgia! Ile świadomej dramaturgii tkwi w bajecznie pomysłowych nagłówkach, wymyślanych przez redakcję "Sterna"! Czy w ostrych głosach "Sterna", którymi ostrzeliwuje się, a co najmniej ostrzeliwuje ludzi nie lubianych przez redakcję, nie ma dramaturgii?

Podobnie jak moje poprzednie książki również 'Siejba i Kosmos' nie jest dziełem naukowym. Opisane w niej fakty muszą się zgadzać i się zgadzają. Jeśli jednak do suchych realiów dorzucam trochę napięcia i humoru, to tak doprawiać tekst może również autor książki popularnonaukowej. Czy to się podoba dziennikarzom, czy nie, oni robią codziennie to samo! Z wydawnictw wiem, że ataki na D.,nikena podnoszą nakłady. Żeby państwo wiedzieli, jaki jestem wspaniałomyślny - w przeciwieństwie do moich oponentów - powiem państwu, że choćby za to należy mi się odrobina zrozumienia. Mimo że to czasami

boli.

*

140. Skąd czerpie pan niezachwiane przekonanie, że w obrębie Drogi Mlecznej w ogóle istnieją nieznanne inteligentne formy życia?

Przepraszam, ale nie jest to przekonanie tylko moje, hipoteza ta jest wynikiem rozważań statystycznych oraz filozoficznych, snutych przez naukowców!

Tylko w obrębie Drogi Mlecznej istnieje około 200 miliardów słońc.

Jeżeli zrobimy ostrożne i na pewno zaniżone założenie, że tylko co setne słońce ma planetę, to w naszej Galaktyce będziemy mieli 2 miliardy

układów planetarnych. Jeżeli założymy dalej, że z tych dwóch miliardów planet tylko na co setnej panują warunki umożliwiające powstanie

jakiegokolwiek formy życia, to będziemy mieli jeszcze 20 milionów takich planet. Jeżeli założymy dalej, że tylko na co setnej z tych planet istotnie

powstało życie, to wedle statystycznego prawdopodobieństwa będzie jeszcze 200 000 planet z formami życia. Dzielimy dalej! Jeśli z tej liczby

znow tylko co setna planeta stworzyła inteligentne formy życia, to nad kreską pozostanie jeszcze 2000 planet z inteligentnymi formami życia

W naszej Galaktyce. A wyliczenie to, proszę państwa, nie jest w żadnym razie wyliczeniem optymistycznym!

Interesująca jest hipoteza twierdząca, że cywilizacje namnażają się we

Wszechświecie o nieznaną wielkość. Cywilizacje istniejące rozprężają się

mianowicie, dążą do coraz dalszego przekazywania swojej formy życia i inteligencji w przestrzeni i w czasie - jest to tendencja, jaką i my będziemy się cechowali najpóźniej za sto lat. Do tego filozoficznego aspektu pańskiego pytania doszedłem właśnie przy mówieniu o kompleksie "akurat my".

141. Czy przynajmniej tu nauka jest tego samego zdania co pan?

(Śmiech)

Tak, mój panie, mogę pana uspokoić: nauka jest tego samego zdania, ja zaś podzielam zdanie nauki! Poza tym latem 1977 roku Amerykanie wysłali w Kosmos sondę z posłaniem do pozaziemskich inteligentnych istot żywych. Nie sądzę, żeby NASA robiła coś takiego nie licząc się poważnie z istnieniem inteligentnych form życia w naszej Galaktyce...

Słucham?

142. Co to za posłanie?

Momencik... Mam je w teczce! O proszę! Chodzi o amerykańskie sondy kosmiczne typu Voyager, które wystrzelono w sierpniu i wrześniu z przylądka Canaveral. Na ich pokładzie znajduje się pojemnik z elektroniczną "płytą gramofonową". Na płycie tej nagrano głosy ptaków, muzykę Beethovena, jazz i muzykę chińską, do tego pozdrowienia w sześćdziesięciu ziemskich językach. Część wizyjna zawiera różne widoki, miasta i osiągnięcia techniczne. Poza tym pojemnik zawiera elektroniczny dekodery, żeby obcy komputer z przekazanych

impulsów mógł w ogóle coś wykombinować. A na końcu posłanie

prezydenta Jimmiego Cartera. Chce pan posłuchać?

Tak!

Proszę o spokój! Tekst posłania brzmi:

"Statek kosmiczny Voyager został zbudowany przez Stany Zjednoczone Ameryki Północnej. Jesteśmy społecznością liczącą 240 milionów ludzi wśród ponad czterech miliardów mieszkańców Ziemi.

Nas, ludzi, dzielą jeszcze państwa narodowe, państwa te jednak zamierzają stać się wkrótce jedną cywilizacją ziemską.

Wystrzelamy to posłanie w Kosmos. Przetrwa ono zapewne miliardy naszych lat, w ciągu których i nasza cywilizacja, i powierzchnia Ziemi doznają głębokich przemian. Z 200 miliardów gwiazd Drogi Mlecznej niektóre, być może jest ich wiele, mają planety zamieszkane przez cywilizacje podróżujące po Kosmosie. Jeśli któraś z tych cywilizacji przechwyci Voyagera i będzie w stanie zrozumieć ta zapisy, to nasze posłanie brzmi:

Jest to dar małego, odległego świata, informacja o naszych głoskach i naszej nauce, naszych obrazach, o naszej muzyce, naszym myśleniu i odczuwaniu. Próbujemy przetrwać teraźniejszość i przekazać wam znak naszego życia.

Mamy nadzieję, że kiedyś, kiedy uporamy się z naszymi problemami, będziemy mogli dołączyć do wspólnoty cywilizacji galaktycznych. Ten zapis jest wyrazem naszej nadziei, naszego zdecydowania i naszej dobrej woli w ogromnym, przytłaczającym Universum."

Widzą więc państwo, że nie jestem samotnym fantastą!

(Silne brawa)

143. Astrofizycy mówią o "kosmicznych cudach". Co należy przez to rozumieć ?

Jeżeli się nie mylę, określenie to wymyślił pewien rosyjski astronom; chyba profesor Josif Szkłowski, który intensywnie zajmuje się tym fenomenem.

Pojęcie "kosmiczne cuda" obejmuje wszystkie obiekty astronomiczne, dla których nie ma "naturalnego" wyjaśnienia. Są to jakby części mostu, idei wracającej do kwestii: jak nawiązać kontakt z życiem; pozaziemskim albo jak sprawić, żeby nas zauważono.

Wiedzą państwo, że w wielu miejscach naszej planety na wszystkich możliwych długościach fal próbuje się odbierać sygnały radiowe z Wszechświata - wysyła się też impulsy poza Ziemię. Dotąd wszystkie te przemyślane naukowo eksperymenty nie przyniosły rezultatu. Z tego powodu rosyjski badacz poddał pod rozwagę myśl, że być może istoty pozaziemskie zwracają na siebie uwagę za pomocą zjawisk, dla których inne istoty inteligentne nie znajdują "naturalnego" wyjaśnienia. Z sumy tych rozważań powstało pojęcie "kosmiczne cuda"!

Moim zdaniem jednak sprawa ma pewien haczyk! Czym bowiem jest "cud"? Czyż przed trzydziestu laty nasze matki nie uznałyby za cud pralki automatycznej? Czyż nasi pradziadkowie nie przewróciliby się w grobie, gdyby wiedzieli, że w domach jest telewizja? Czy jeszcze przed

60 laty nie uważano by za cud Jumbo-Jeta? Czy naukowcy sprzed 50 lat nie uważaliby za cud bomby neutronowej, której twarde promieniowanie niszczy tylko życie, nie zaś materię nieożywioną? Kiedy więc spojrzymy na "kosmiczne cuda", dla których nie możemy znaleźć rozsądnego wyjaśnienia, to wcale nie muszą to być cuda. Mogą to być wytwory techniki stojącej na poziomie dużo wyższym od naszej. Ja ze swej strony nie wierzę w cuda. Cuda się robi!

*

144. Mam 17 lat, chętnie i często chodzę do obserwatorium. Jak tylko przeczytałem u pana, że skupisko planetoid krążących wokół Słońca to resztki wybuchłej planety, powiedziałem o tym astronomowi w obserwatorium. A on mnie wyśmiał i powiedział, że masa tych wszystkich planetoid jest o wiele za mała na stworzenie planety. Planeta musi mieć określoną wielkość, bo inaczej ze względu na zbyt słabą siłę ciężenia nie wytworzyłaby atmosfery. Zostałem pouczony, że na tak małej planecie nie byłoby życia. . .

Rozumiem. Z drugą częścią pańskiej relacji się zgadzam. Planeta musi mieć istotnie odpowiednią wielkość, żeby otaczała ją atmosfera. Ale, i to muszę wyjaśnić, na podstawie zachowanych do dziś elementów gromady planetoid nie można wnioskować, że planeta, która kiedyś wybuchła, nie była nieporównanie większa niż jej pozostałości!

Proszę sobie wyobrazić, że Ziemia zostałaby rozerwana w jakiejś

kosmicznej katastrofie, że wybuchłaby. Co by się stało? Wierzchnia warstwa kuli ziemskiej składa się, jak wiadomo, z cienkiej warstwy, jądro Ziemi, jej masa, składa się z płynnej masy. Masa ta rozproszyłaby się z siłą eksplozji po całym Wszechświecie! To samo dotyczy ogromnych mas wody znajdujących się na naszej planecie oraz otaczającej ją i utrzymywanej siłą ciężkości atmosfery. Pozostała część byłaby zapewne wiele mniejsza od składników skupiska planetoid. Poza tym, gdyby się dało, ale się nie da - ale gdyby się dało, nie można by już nigdy z zachowanych elementów odtworzyć Ziemi. Brakowałoby masy spajającej niejako poszczególne jej części w jedną całość. Ale, zapewniam państwa, astronomowie twierdziliby, że pozostałości krążące we Wszechświecie nigdy nie stanowiły planety!

Niech pan powie swojemu nauczycielowi z obserwatorium, że z zachowanych części nigdy nie da się stworzyć na powrót dawnej planety. Łatwo to zrozumieć, kiedy się pomyśli choćby o roli obowiązującej dziś teorii wielkiego wybuchu w powstaniu Ziemi. Trzeba tylko puścić ten film wstecz. Niech pan zaproponuje coś takiego podczas najbliższej wizyty w obserwatorium. A jeśli będzie pan miał ochotę albo jeśli zechce zadać jeszcze jakieś pytania, proszę do mnie napisać. Zawsze stoję po stronie młodzieży, zadającej pytania.

*

145. Czy budowle Majów są naprawdę zorientowane według gwiazd?

Według gwiazd oraz według kalendarza! Wielkie okno obserwatorium w Chichen-Itza jest nakierowane na Wenus, ale ponieważ Wenus nie pozostaje w bezruchu, Majowie uwzględnili nawet najbardziej północną i najbardziej południową pozycję tej planety. Jeśli chodzi o gwiazdy stałe, obserwatorium jest zorientowane na Syriusza i Plejady. A czworo zewnętrznych drzwi kopuły kieruje się na wschód jasnych gwiazd Kanopus i Kastor. Wedle mojego przekonania większość budowli Majów związana jest tak swoim położeniem jak i strukturą z gwiazdami. Tu powinni ręka w rękę pracować archeolodzy i astronomowie, ale badania interdyscyplinarne to dość drażliwa sprawa. Każdy ma swój ogródek, z którego niechętnie się wychyla.

*

146. Ciągłe pojawia się u pana kapsuła czasu. Jak rozumieć to pojęcie?

Jest to dla mnie przedmiot, taka konstrukcja, pojemnik, który ma przetrwać wszystkie epoki. Kapsuła taka może zawierać nie tylko wszelkie informacje, lecz również przedmioty. Kapsuł czasowych nie należy szukać tylko w Kosmosie. Z okazji Wystawy Światowej w Nowym Jorku - to tylko przykład - zakopano taką kapsułę na Manhattanie. Zawiera ona płyty gramofonowe, mikrofilmy, encyklopedię oraz zdjęcia wszystkich przedmiotów stosowanych przez naszą cywilizację. Wnętrze kapsuły wysterylizowano i wypompowano z niej

powietrze. Potem ją hermetycznie zamknięto. Chronią ją warstwy stali i aluminium. Powinna przetrwać bez szwanku 5000 lat. Po tym czasie automatyczny nadajnik zacznie wysyłać na różnych częstotliwościach sygnały i ludzie przyszłości zlokalizują kapsułę... zakładając, że za 5000 lat będzie się jeszcze stosować takie staroświeckie metody radio-komunikacji. W co nie wierzę.

To, co dziś zakopujemy, można oczywiście rozmieścić w punktach określonych metodami matematyczno-logicznymi.

147. Nie rozumiem, dlaczego w wężu widzi pan symbol Kosmosu. Wężę nie umięją i nigdy nie umiały latać!

A może jednak! Nikt nie widział smoka plującego ogniem... a mimo to jest ich pełno w mitologii chińskiej! Dlaczego? Prawdopodobnie nasi prymitywni przodkowie widzieli coś, czego nie potrafili sobie wyjaśnić a ponieważ nie potrafili sobie wyjaśnić, opisywali na swój sposób. Niech pan spojrzy latem w pogodne niebo! Czy nie ujrzy pan "latających węży"? To smugi kondensacyjne samolotów! A jeśli się pan dobrze przyjrzy, zobaczy pan nawet głowę węża... czyli sam samolot! Samoloty kosmiczne pozostawiałyby na niebie bardzo intensywne smugi kondensacyjne, a gdyby miały napęd fotonowy, byłoby widać niezwykle jasną wiązkę światła! Silniki innego rodzaju - na przykład na ciekły wodór albo azot o bardzo niskiej temperaturze - też powodowałyby powstawanie smug kondensacyjnych. Myśl ta nie jest tak absurdalna, jak mogłoby się to wydawać w pierwszej chwili! Już prorok Ezechiel

opowiada o "wielkim obłoku" przybywającym z północy, a Mojżesz opisuje "obłok Pana"!

Innym wyjaśnieniem "węży na niebie" mogłaby być hipoteza, że statki transportowe miały kształt opływowy, jak nasze dzisiejsze rakiety. Thomas Edison powiedział, że technika żywi się fantazją. Musimy się przyzwyczaić przynajmniej w jednym punkcie naśladować stwierdzenia naszych prymitywnych przodków: Nie potrafili pojąć, co dzieje się na niebie, ale starali się to przekazać za pomocą swoich porównań. Proszę wskrzesić jakiegoś starszego pana z okresu biedermaierowskiego - a nie było to wcale tak dawno! - i poprosić o opisanie, co widzi i myśli patrząc na eskadrę naddźwiękowych odrzutowców lecących z hukiem grzmotu po niebie!

*

148. W berlińskim planetarium wysłuchałem odczytu, podczas którego pewien astronom zmieszał pana z błotem. Astronom ten wyliczył, że pański pomysł z międzygwiazdowymi podróżami kosmicznymi to czysta fantazja. Powiedział, że takie podróże nigdy nie będą możliwe!

A pańskie pytanie?

Również profesor von Ditfurth wykazał, że podróże międzygwiazdne są po prostu niemożliwe. Tym samym pańska cała gadanina padła. Jeżeli podróże kosmiczne między gwiazdami nie będą możliwe również w przyszłości, to wnioskuję stąd, że nikogo tam nigdy nie było!

Nadal czekam na pańskie pytanie?

I co pan na to?

Najznamienitszym fachowcem w tej dziedzinie, i to nie tylko na obszarze języka niemieckiego, jest prof. dr Harry Ruppe. Kieruje katedrą techniki kosmicznej Uniwersytetu Technicznego w Monachium. Ruppe był długoletnim przyjacielem nieżyjącego już Wernhera von Brauna, był niejako jego prawą ręką w centrum kosmicznym NASA, ostatnio zaś piastował funkcję dyrektora biura planowania projektów kosmicznych. Specjalnością Ruppego jest napęd rakiet. Mówię to panu tylko dlatego, żeby pan wiedział, jak istotne są jego opinie.

Pisząc książkę 'Dowody' zadałem profesorowi pytanie, czy podróże kosmiczne będą kiedyś możliwe. Jego odpowiedź była jednoznaczna:

"tak"!

Pogląd Ruppego pokrywa się też z treścią długiego artykułu profesora dr. F. Winterberga z University of Nevada. Profesor Winterberg napisał ten artykuł do pierwszego tegorocznego [1977] numeru czasopisma fachowego "Astronautik". W artykule wykazał możliwość odbywania lotów międzygwiazdnych z ogromnymi przyśpieszeniami, profesor uważa, że prędkości względne osiągnie się "jak we śnie"!

Uważam za godne ubolewania, choć niczego tu nie zmienię, że paru europejskich profesorów wygłasza swoje przemądrzałe wykłady w takim duchu, jakby loty międzygwiazdne były niemożliwe na wieki wieków. Może podzielają państwo moje skromne zdanie, że w Europie nie jest się up to date, nie zna się najświeższych badań... może zgodzą się

też państwo ze mną, że pionierzy podróży kosmicznych, tacy jak bracia Oberth, Wernher von Braun, Stulinger i inni, mieliby tu dziś problemy z rozwinięciem skrzydeł w najprawdziwszym sensie tego słowa. Przyszłość lotów kosmicznych jest w Ameryce i w Rosji, i jeśli się słyszy niektórych ludzi, nie należy się temu dziwić...

149. Stale pan mówi i pisze o rzekomych przesunięciach czasu, występujących po osiągnięciu przez statek kosmiczny wielkich prędkości.

Twierdzi pan, że dla załogi takiego statku czas płynie wolniej niż dla ludzi na Ziemi. Niechże pan przyzna, że to tylko czysta teoria! Nawet gdyby coś takiego było możliwe, nie można by tego potwierdzić na Ziemi!

Żałuję, ale pan się myli!

Fizycy wielokrotnie potwierdzali na Ziemi istnienie przesunięć czasowych! Oto przykład: W 1971 roku grupa fizyków z Uniwersytetu

Waszyngtońskiego współpracująca z U.S. Naval Observatory umieściła na pokładzie Boeinga 707 zegar atomowy. Nie jest to zegarek naręczny, ale bardzo skomplikowany instrument do pomiaru czasu, mierzący nawet miliardowe części sekundy. Drugi egzemplarz zegara atomowego został w laboratorium na Ziemi.

Boeing wystartował i okrążył Ziemię raz w kierunku zgodnym ze wskazówkami zegara, raz - odwrotnie. Z międzylądowaniami. Po powrocie stwierdzono różnicę czasu: zegar podróżujący na pokładzie Boeinga wykazał czas minimalnie dłuższy od zegara w laboratorium - różnica wynosiła 59 nanosekund.

Czytałem również, że szczegółowa teoria względności Einsteina, mówiąca o przesunięciach czasowych, została ostatnio sprawdzona z pozytywnym skutkiem!

W CERN, Europejskim Ośrodku Badań Jądrowych, prowadzono badania nad rozpadem mionów. Miony są cząstkami elementarnymi przybywającymi na Ziemię z Kosmosu i w bardzo krótkim czasie rozpadają się na elektron i dwa neutrino. Naukowcy z CERN założyli, że jeśli miony przyśpieszyć doprowadzając je prawie do prędkości światła, to ponieważ będą poruszać się szybciej niż "z natury", ich rozpad będzie przebiegać wolniej. Hipoteza okazała się słuszna! Fizyk E. Picasso wraz z grupą swoich współpracowników przeprowadził eksperyment i, proszę, miony rozpadały się wolniej, dlatego że poruszały się szybciej...

150. Znow pan udowudnia, że nic a nic nie rozumie fizyki! Wzglgdne przesunięcia czasowe występują dopiero przy prgdkości bliskiej prędkości światła, a zupełnie niemożliwe, a nawet niewyobrażalne jest nadanie czemuś prędkości światła. . .

Mój panie, po raz kolejny muszę ubolewać nad nieprawdziwością pańskich informacji! A jeżeli, tego nie wiem, jest pan fizykiem, to też nie ma pan racji! Latem tego roku [1977] w tunelach CERN pod Genewą osiągnięto prędkość dochodzącą do 99,94 procent prędkości światła! Wiem o tym dobrze, bo informacje te otrzymałem od fizyka uczestniczącego w doświadczeniu!

99,94 procent prędkości światła?! Śmieszne! Niemożliwe!

Możliwe. Nie kłóćmy się dłużej na ten temat! Niech pan zażąda od CERN informacji na temat rezultatów badań przeprowadzonych tam w lipcu 1977 roku pod kierunkiem profesora Picasso!

*

151. Okay, zgromadził pan poszlaki potwierdzające pańską teorię, ale jest pan nam jeszcze winien prawdziwy dowód. Dotąd nie pokazał pan ani jednego przedmiotu pozaziemskiego pochodzenia. Ponieważ pańskim zdaniem w prehistorii roiło się od bogów, to panowie ci na pewno coś tu zostawili. Dlaczego nic takiego nie znaleziono? Z chwilą odkrycia pierwszego przekonującego znaleziska pańska teoria stanie się faktem.

Gdzie ten przekonujący przedmiot?

Cieszy mnie pańskie pytanie. Daje mi okazję przekazania niezbędnych wyjaśnień. Odpowiedź będzie z konieczności długa.

Rozróżniam trzy rodzaje dowodów:

Dowody poszlakowe, które gromadzę korzystając z przekazów różnego rodzaju... Dowody przypadkowe. Są to moim zdaniem przedmioty pozostawione ewentualnie przez bogów. .. Mogą być też dowody celowe !

Dowód poszlakowy przeprowadziłem już, jak sądzę. Nie będę przecież powtarzał wszystkich faktów, opisanych w książce 'Dowody'.

Przedmiot dowodowy pozostawiony przypadkowo można istotnie gdzieś znaleźć. Tylko gdzie?

Proszę sobie wyobrazić nasz wspaniały, okrągłutki glob i spojrzeć na bieguny - północny i południowy. Pokrywa je wieczny lód, nie da się tam zbadać i przekopać każdego kilometra kwadratowego. Po odrzuceniu tych terenów obszar poszukiwań się zmniejsza.

Proszę też skreślić gigantyczne tereny pustynne - krainy niczyje - myślę tu o pustyniach Newada, Sahara, Gobi, Beludżystan i tak dalej.

Również te miliony kilometrów kwadratowych można sobie odpuścić!

Obszar poszukiwań znowu znacznie się skurczył. Proszę teraz pomyśleć

o niedostępnych terenach kuli ziemskiej - o dżunglach Ameryki

Środkowej, Południowej czy Indii - ale proszę też pomyśleć o prawie

lub całkiem niedostępnych łańcuchach górskich! Je także proszę uznać

za ziemię niczyją! Obszar poszukiwań znów się zmniejszył.

A teraz proszę odjąć od tego wszystkie oceany i morza świata - wody

pokrywają dwie trzecie powierzchni Ziemi. Tam również nie mamy co

szukać żadnych dowodów?!

Obszar, na którym można znaleźć przypadkowy dowód, jest maleńki,

ale nawet z tej maleńkiej powierzchni archeologia zbadała dopiero

0,01 % ! Nie sądzi pan, że to bardzo niewiele? I czy nadal uważa pan, że

szansa przypadkowego znalezienia jakiegoś dowodu jest nader nikła?

Mnie w każdym razie wcale nie dziwi, że przypadkowego dowodu nie

wyciągnięto jeszcze na światło dzienne!

152. Jeżeli dobrze pana rozumiem, wychodzi pan od znalezienia niewielkich przedmiotów. Sądząc jednak z pańskiej teorii, istoty pozaziemskie

posługiwały się również większymi urządzeniami, a nawet maszynami, na przykład pojazdami terenowymi. Coś takiego też trzeba by odkryć!

Pan się myli. Można wyjść od tego, że nieznane istoty zabrały ze sobą z powrotem sprawne urządzenia. Możliwe, że zostało tylko to, co nie działało. Dziś jednak nie udałoby nam się znaleźć nawet przedmiotów większych. Proszę sobie wyobrazić duży pojazd terenowy, stojący gdzieś w terenie. Dla poparcia pańskiej hipotezy zakładam nawet, że pojazd ten był zrobiony z materiału nie ulegającego korozji, nie zniszczy go więc ani wiatr, ani opady. Takie monstrum gdzieś więc sobie stoi. Co się dzieje? Już w ciągu dwudziestu lat wszystkie drążki, koła i silnik pokryje kurz i brud. Za kolejne pięćdziesiąt lat wokół pojazdu i na nim wyrosnie trawa i krzaki, jeszcze później powstanie tam pagórek, na którym urosną drzewa. To wcale nie utopia - że tak się dzieje, można zauważyć nawet w trakcie naszego krótkiego życia. Nie, nie, tak nie można prowadzić poszukiwań. Tu chodzi o znalezisko przypadkowe, zależne od tak wielu dziwnych okoliczności, że uważam je za niemożliwe. Poza tym piramidy w Ameryce Środkowej były kiedyś tylko wzgórzami porośniętymi bujną roślinnością. Kilka odsłonięto - pozostałe, wśród nich nawet całe miasta, nadal porasta dżungla. Wiadomo tylko, że tam są!

Niech pan mi jeszcze pozwoli wypowiedzieć się na temat trzeciej możliwości dowodu pozostawionego przez "bogów".

Często zadawałem sobie pytanie: jak ty byś się zachował, gdybyś jako istota pozaziemska wylądował na planecie zamieszkaną przez ludzi

prehistorii! Odpowiadałem sobie, że na pewno zostawiłbym coś, że dla przyszłych pokoleń coś bym zbudował, z czego wynikałoby później:

1. że tu byłem;
2. że przybyłem z naszego Układu Słonecznego;
3. co było celem mojej podróży;
4. co tu znalazłem? jakie formy życia?
5. dlaczego przeobraziłem daną formę życia?
6. w jakim kierunku i z jaką szybkością odlecę do domu?

Nie wiem, jak wyglądałby pozostawiony przeze mnie przedmiot z tymi danymi? Być może byłyby to znaki pisma na niezniszczalnym materiale, może niepalne filmy czy taśmy magnetofonowe, może kapsuła czasowa - nie wiem. Ale coś bym wymyślił.

A potem zadałbym sobie pytanie, na które odpowiedź byłaby nieporównanie trudniejsza: gdzie zostawić kapsułę czasu? Czy wcisnąć ją do ręki najpojętniejszemu z moich uczniów z obcej planety? Mam powiedzieć mu: "Słuchaj, mój synu, to, co ci daję, stanie się ważne za dziesięć tysięcy lat. Tylko mi to dobrze przechowaj!" (Śmiech)

Wiem, że również na owej planecie przyszłe pokolenia zaczną drzeć koty - być może o to, co tam pozostawiłem! Trzeba sobie uświadomić, że dla istot prymitywnych będzie to przecież przedmiot boski! Co mam zrobić? Mam dobrze ukryć dowód mojego pobytu? Jeśli skrytka będzie naprawdę dobra, to przedmiotu nikt nie znajdzie. Nie mogę powiesić tam tabliczki.

Żeby można było znaleźć pozostawiony przeze mnie przedmiot,

Powiniennem umieścić go na widocznym szczycie góry. Przedmiot będzie miał też urządzenie, które co pięćdziesiąt lat będzie wysyłało błysk.

Istnieje jednak niebezpieczeństwo, że dowód zostanie znaleziony w niewłaściwym czasie przez niewłaściwe pokolenie, które nie będzie widziało, co z nim zrobić, i rozmontuje znaleziony przedmiot. To pokolenie nie miałoby zielonego pojęcia o podróżach kosmicznych, nie wiedziałyby o prędkości światła, nigdy nie słyszało o genetyce i mikrobiologii. Cóż począłby Neron ze znalezionym w swojej epoce dowodem pobytu istot pozaziemskich? Był zapalonym piromanem, puściłby go więc z dymem.

Nie, nie, postarałbym się, żeby moja kapsuła czasowa pod żadnym pozorem nie wpadła w ręce niewłaściwego pokolenia. Aby temu zapobiec, wraz z kolegami-astronautami wykopałbym głęboki dół i nad pozostawionym tam przez siebie przedmiotem wzniosłbym z pomocą mieszkańców planety gigantyczną budowlę, na przykład piramidę która byłaby nie tylko dobrze widoczna, lecz również przetrwałaby próbę czasu. Ale, moi państwo, nic mi dziś nie wiadomo o tym, żeby na głębokości 150 m pod szczytem piramidy Cheopsa poszukiwano przedmiotu pozostawionego przez istoty pozaziemskie, choć skrytka taka nie byłaby wcale taka głupia!

To wszystko jest bardzo trudne i skomplikowane. Jako wykształcony astronauta wiem jednak z mojej macierzystej planety, że kataklizmy wszelkiego rodzaju mogą zniszczyć budowle nawet nie tak solidne! Trzęsienia ziemi, powodzie, upadki meteorytów... i koniec z moim dowodem!

Jedyną możliwość widzę w punkcie logiczno-matematycznym, tak, musiałbym zostawić mój dowód w punkcie logiczno-matematycznym. Na przykład na północnym biegunie magnetycznym. Wprawdzie jego położenie stale się zmienia, ale on sam pozostaje północnym biegunem magnetycznym. Albo jeszcze lepiej w logiczno-matematycznym punkcie Układu Słonecznego! Myślę tu o punkcie trójkąta w polu ciężenia różnych planet albo w tak zwanym punkcie libracji. Co to jest punkt libracji, proszę przeczytać w książce Dowody. Tam pozostawiłbym satelitę z wszystkimi informacjami, jakie chciałbym przekazać! Nie zardzewiałby, nie zżarłaby go rdza, nie byłby narażony na wpływy atmosferyczne... i byłby bezpieczny przez ludźmi.

Trzeba jednak rozwiązać jeszcze jeden problem! Musiałbym się postarać, żeby właściwe pokolenie odnalazło w przyszłości moją kapsułę czasową w logiczno-matematycznym punkcie! Czego oczy nie widzą, tego sercu nie żal! Jeśli żadne pokolenie nie wpadnie nigdy na pomysł szukania tego, co zostawiłem, to dowód mojej obecności przepadnie na wieki, zginie bez echa. Czy problem ten da się w ogóle rozwiązać? Tu, właśnie tu, widzę powód poszukiwania takich dowodów, które bogowie zostawiliby dla nas celowo! To nie przypadek, że naszych praojców, na przykład proroków Henocha czy Eliasza, zabierali w swoich pojazdach kosmicznych. To nie przypadek, że dyktowali Babilończykowi Etanie: "Weź swój rysik i pisz!" Istnieje gruby plik dowodów poszlakowych, pozostawionych przez bogów z rozmysłem. Oni chcieli, żeby przyszłe pokolenie, podróżujące po Kosmosie, zdumia-

to się zapytawszy: co to wszystko znaczy? A w tym miejscu, proszę państwa, jesteśmy dziś!

Podobnie jak ja również moi koledzy zgromadzili w swoich książkach tysiące poszlak, wskazujących na prawdziwość odwiedzin obcych kosmonautów z Wszechświata. Nie twierdzą w żadnym razie, że żadna z tych poszlak jest nie do obalenia. Przyszłość oddzieli ziarno od plew. Zawsze zostanie dosyć poszlak dobrych, właściwie ukierunkowanych. Już tylko sprawą naszego pokolenia będzie rozważenie z zastosowaniem naukowej metodyki, w jakich punktach logiczno-matematycznych może być pozostawiony depozyt istot pozaziemskich. Dziś już możemy, gdy tylko rozwiążemy podstawowe problemy, przeszukać te punkty z pomocą nowoczesnego elektronicznego instrumentarium, a koszty będą prawie znikome, bo ogromne urządzenia radioastronomiczne już istnieją! Trzeba ich tylko użyć! Dopiero kiedy w logiczno-matematycznych punktach zlokalizuje się coś nieznanego, dopiero wtedy pojawią się koszty. Wtedy będziemy musieli pojechać i zabezpieczyć dowód!

153. Ciekawe! Mimo wszystko podchodzi pan do sprawy z zupełnie niewłaściwego punktu widzenia! Zakłada pan, że istoty pozaziemskie postępują jak pan. Uważam, że to bzdura. Obcy, jeśli rzeczywiście istnieli, myśleliby i reagowali zupełnie inaczej niż pan, panie von Daniken! Zapomina pan o rzeczy najważniejszej, zapomina pan o najistotniejszym punkcie mojej teorii! Znów muszę przypomnieć, że moim zdaniem bogowie stworzyli inteligencję ludzką w procesie celowej, sztucznej

mutacji na obraz swój. Dlatego właśnie logiczne jest moje założenie, że w porównywalnej sytuacji będziemy postępować dokładnie tak jak nasi stwórcy i nauczyciele!

154. A co pan sobie obiecuje po odnalezieniu takiego dowodu? Czy ludzkość będzie coś z tego miała?

Jeszcze ile! Ci, którzy stworzyli nas na podobieństwo swoje, anticipowali etapy naszego rozwoju. Wiedzieli, że wkrótce staniemy przed gigantycznymi problemami. Proszę pomyśleć o niedoborach energii, o ochronie środowiska, o przeludnieniu i tak dalej. Istoty pozaziemskie wiedzą o tym, bo one to wszystko mają już za sobą. Nasza przyszłość jest dla ich przeszłością.

W pozostawionej kapsule czasowej znajdziemy nie tylko odpowiedzi na to, czym jest przeszłość, lecz również odpowiedzi pozwalające nam rozwiązać przyszłe problemy. A może kapsuła czasowa zawiera kod, który pozwoli nam wejść w system komunikacji międzygwiazdnej: kiedy będziemy znali fale o odpowiedniej długości, wystarczy się tylko włączyć. Spekulacje dotyczące zawartości kapsuły czasowej można snuć dalej - być może zawiera ona rysunki konstrukcyjne statków kosmicznych napędzanych energią przez nas poszukiwaną, ale jeszcze nie znalezioną. Wierzę, że mając spadek po bogach staniemy na drodze wiedzącej prosto do pokoju i postępu ludzkości.

Niech pan mnie spokojnie uważa za proroka-fantastę! Przecież było paru proroków, którzy nie tak bardzo się mylili...

*

155. Gdzież więc podziiali się pańscy bogowie, którzy kiedyś tu byli?

Dlaczego się nie zjawiają? Dlaczego nie wrócili ?

Czy pan wie na pewno, że nie wrócili?

Muszę jeszcze raz przypomnieć o efektach przesunięć czasowych, do

jakich dochodzi w statku kosmicznym poruszającym się z wielką

prędkością. Wyjdźmy może od tego, że ostatnia wizyta istot pozaziems-

kich odbyła się w epoce proroka Ezechiela, a więc w 592 r. prz. Chr.

Odtąd na Ziemi minęło około 2500 lat. Na Ziemi! W tym czasie dla

załogi statku kosmicznego upłynęło, w zależności od szybkości pojazdu,

tylko kilka lat! To wynika z tabeli przesunięć czasowych, którą

posługują się dziś fizycy. Jest więc zupełnie możliwe, że ta sama załoga,

która odwiedziła proroka Ezechiela, jeszcze żyje i pojutrze powróci!

Kiedy więc pan mnie pyta: gdzie są dziś te obce istoty? to mogę tylko

odpowiedzieć... gdzieś w czasie. Trochę cierpliwości! Te istoty poza-

ziemskie albo ich potomkowie, stworzeni na ich obraz i podobieństwo,

pojawią się tu wcześniej czy później. Nasza pozycja galaktyczna jest im

przecież znana. . .

156. Żeby pan miał zupełną jasność: mam za nic pańską teorię! Mimo to wyjdę raz z pańskiego absurdalnego założenia, że pozaziemscy goście byli tu w odległej przeszłości oraz uczynili z nas istoty inteligentne przez celową mutację. To przecież pańska teoria, prawda?

Zgadza się!

157. Tak, a teraz niech mi pan powie, jaki interes miała w tym owa pozaziemska, pańskim zdaniem niezwykle sprytna inteligencja?

Rzuca mi pan piłeczkę, a ja chętnie ją złapię! Nie mogę panu przedstawić wszystkiego w kilku zdaniach, będę musiał wygłosić krótki wykład.

Latem 1977 roku, podczas IV Światowej Konferencji "Ancient Astronaut Society" w Rio de Janeiro zorganizowano konferencje specjalistyczne, burze mózgów. Jedną prowadziłem ja, a poświęcona była następującemu problemowi:

Jeśli wyjdziemy z założenia, że przed tysiącami lat odwiedziła nas inteligencja na wyższym od naszego poziomie techniki i z prymitywnego

Homo uczyniła za pomocą celowej, sztucznej mutacji Homo sapiens, to co mogło być celem tej operacji?

Padło 27 logicznych odpowiedzi. Czy wśród nich była prawidłowa, nie wiemy. Podam najważniejsze:

Nie chcę tu państwa nudzić pełną definicją tego, czym jest "inteligencja", zaznaczę tylko, że jednym ze składników inteligencji jest ciekawość. Inteligentne formy życia chcą wiedzieć, chcą wiedzieć więcej. Czym jest Universum? Jakie jest? Skończone, czy nieskończone? Czym są gwiazdy? Jak się wszystko w Kosmosie zaczęło? Czy istnieją inteligentne formy życia inne od naszej? A kiedyś nasunie się pytanie o stworzenie, pytanie o boga. Ale i niepokojące pytanie: czy jesteśmy jedyni w Universum?

Proszę przyjąć, że gdzieś w naszej Galaktyce istnieje inteligentna forma życia. Proszę też przyjąć, że z technicznego punktu widzenia inteligencja ta potrafi pokonywać ogromne odległości międzygwiazdne. Do pokonania tych prawie niewyobrażalnych odległości istniała przypuszczalnie w każdym okresie tylko jedna alternatywa, przed którą stoją nasi badacze podróży kosmicznych:

Pierwsza możliwość: Buduje się gigantyczny pojazd kosmiczny, samowystarczalny energetycznie. W pojeździe tym mieszkają mężczyźni i kobiety. Płodzą dzieci. Tak samo robią to kolejne pokolenia, urodzone już na pokładzie. Ponieważ statek wyposażony w reaktor jądrowy spokojnie sunie przez Kosmos, prędkości nie odgrywają w tym przypadku żadnej roli. Być może do celu dotrze dopiero sześćdziesiąte pokole-

nie. Jest to dość nudne, ale można wytrzymać.

Druga możliwość: Buduje się statek kosmiczny osiągający prędkości ekstremalne, zbliżone do prędkości światła. Załoga, lecąca we względnie krótkim czasie z gwiazdy A do gwiazdy B, podlega fenomenowi znanemu w fizyce pod pojęciem rozciągnięcia czasowego albo dylatacji czasu. Chodzi o sprawdzony naukowo fakt, o prawo fizyki, uwzględniane we wszystkich obliczeniach dotyczących przyszłych podróży kosmicznych. W mojej książce Dowody mogą państwo przeczytać, jak wyjaśnia je profesor Luscher z Uniwersytetu Technicznego w Monachium. Niech mi państwo pozwolą powiedzieć, w jaki sposób prawo to działa w praktyce: dla załogi statku kosmicznego, poruszającego się we Wszechświecie z prędkością bliską prędkości światła, czas płynie znacznie wolniej niż dla mieszkańców planety, z której wystartowano. Obie możliwości jednak stawiają przed podróżnikami wysoką barierę polegającą na pomnażaniu wiedzy! Bo w pierwszym przypadku miną tysiące lat, nim powolny korab kosmiczny dotrze do celu. Poza tym rozwój ludzi urodzonych w statku kosmicznym może się rozminąć z początkowymi założeniami: nie wykazują oni już zainteresowania zadaniem albo nie mają ochoty wracać na planetę, z której wystartował statek. W drugim przypadku sprawa też nie wygląda inaczej: wprawdzie dla załogi znajdującej się pod wpływem przesunięcia czasowego upłynęło tylko kilka latek, ale dla mieszkańców macierzystej planety były to laty tysiące, jeśli nie setki tysięcy. Kto interesuje się jeszcze posłaniami doręczanymi z powrotem z gwiazdy B do gwiazdy A?

Widzi pan, to są punkty, z których można pójść dalej tylko z pomocą domniemanie logicznej spekulacji. W tym sensie istnieje moim zdaniem tylko jedno rozwiązanie pozwalające obcemu społeczeństwu zdobyć mimo wszystko kosmiczną wiedzę!

Zadanie załóg statków kosmicznych musi brzmieć: Dolećcie w trakcie swojego życia do wszystkich możliwych układów słonecznych! Odnajdźcie wszystkie planety o podobnych warunkach prebiotycznych jak wasza macierzysta planeta! A jeśli znajdziecie gdzieś życie, wówczas weźcie najbardziej rozwiniętą jego formę i poddajcie ją mutacji, aby dysponowała inteligencją podobną do naszej!

W ten sposób pokona się czas i przestrzeń. Inteligencja odległych światów będzie teraz funkcjonować podobnie do inteligencji planety, z której wyruszyła wyprawa. Jeśli tę procedurę powtórzy się w wielu układach słonecznych, to w końcu będzie jednak możliwe otrzymanie pytań na pierwotnie postawione pytania.

A ponieważ oświadczył pan bez ogródek, że ma moją teorię za nic, zada pan kolejne pytanie: Tak, ale dlaczego?

Poszczególne układy słoneczne dzielą odległości nie tylko geograficzne, lecz również czasowe. Ale dzięki wymyślonemu przeze mnie rozwiązaniu inteligencja stworzona na obraz i podobieństwo obcych istot będzie rozsiana w czasie i w przestrzeni... Siejba i Kosmos! Teraz jest wiele początkowych planet, zdeponowanych strategicznie w czasie. Jeżeli wyjdziemy od jednej planety początkowej z wysoko rozwiniętą inteligencją, to równanie nie da się rozwiązać. Jeżeli jednak założymy istnienie

w czasie i przestrzeni planet początkowych na prawie takim samym etapie rozwoju, to wówczas będzie możliwe pomnażanie wiedzy. Przechytrzy się przestrzeń i czas. Ponadto liczne planety początkowe z wysoko rozwiniętą inteligencją pozwolą na powstanie efektu multiplikacji. Proszę przyjąć, że w łańcuchu odwiedzanych układów słonecznych nasz Układ Słoneczny ma numer 20.! Oznaczałoby to, że przed nami zainfekowano tym samym rodzajem inteligencji 18 innych układów słonecznych. Układy słoneczne o numerach 2. do 10. są w porównaniu z Ziemią tak daleko w czasie, że nie uprawiają już gry rozpoczętej pierwszym lądowaniem istoty pozaziemskiej na planecie X. Rozprzestrzenianie kosmicznej inteligencji następuje teraz z wielu miejsc we wszystkich kierunkach. Pewnego dnia, kiedy będziemy mogli podróżować po Kosmosie, zrobimy to samo. Niech pan w to uwierzy!

158. To, co pan mówi, jest spekulacją, ale wygląda logicznie. Kto brał udział w tej burzy mózgów? Co jeszcze z niej wynikło?

Po pierwsze, kto brał w niej udział. Dr Gene Philipps, adwokat z Chicago, który jest prezesem i założycielem towarzystwa, profesor filozofii Pasqual Schievella z Nowego Jorku, z Niemiec specjalista od rakiet profesor Harry Ruppe z Monachijskiego Uniwersytetu Technicznego, z Angli lingwista George Sassoon, z Fryburga naukowiec dr Siegfried Hermann, z Australii znany autor Andrew Tomas, który, podobnie jak autor science fiction Walter Ernsting, znany pod pseudonimem Clark Dalton, jest moim przyjacielem.

Na pytanie "Dlaczego nas odwiedzono?" padły następujące odpowiedzi:

Był to czysty przypadek.

Albo:

Obcy statek kosmiczny uległ awarii i Ziemia była dla niego najbliższym miejscem ratunku.

Albo:

Toczyła się galaktyczna wojna i jedna rozproszona grupa rozbitków dotarła do Układu Słonecznego.

Albo:

Zostaliśmy wybrani do eksperymentu socjologicznego pewnego rodzaju, przeprowadzanego przez wyższą inteligencję.

Albo:

Obce istoty porzuciły tu z jakichś powodów naszych przodków, symbolicznego Adama i Ewę.

To wszystko jednak jest tylko niewielką próbką wielu możliwości, które tam przedstawiono.

159. To trick kieszonkowca! Przenosi pan problem powstania inteligencji co najwyżej do innego układu słonecznego! Ale czy potrafi pan powiedzieć coś na temat, w jaki sposób żywe istoty z tych innych, podejrzanych układów słonecznych, z tej planety początkowej stały się inteligentne?

Albo inaczej: jak i gdzie się to wszystko zaczęło?

Niezależnie od tego, w jak odległą przeszłość sięgnie się myślą, każda

spekulacja da ten sam wynik! Jeżeli założymy, że zostaliśmy zmutowani przez obcą inteligencję, to również ta inteligencja przeszła przez ten sam akt stwórczy. Może pan ciągnąć tę sztafetę wstecz przez tysiące układów słonecznych i przez miliardy lat. W którymś momencie jednak dojdzie pan do punktu, kiedy będzie pan mógł tylko powiedzieć: tu zaczęło się stworzenie, tu zaczęło się panowanie, utożsamiane przez religie z siłą stwórczą.

Niech pan weźmie ołówek i kawałek papieru i cyrklem zaznaczy koło.

Niech pan teraz da to koło komuś innemu i zapyta: gdzie się zaczęło? Nie otrzyma pan odpowiedzi. Logika podpowiada, że nawet koło musi mieć początek, ale na pytanie, gdzie ulokować ten początek, nie uda się udzielić odpowiedzi.

*

160. Mówi pan wciąż o manipulacjach genowych, za pomocą których istoty pozaziemskie uczyniły ludzi pierwotnych inteligentnymi. Nikt nie wie, czy tak było, ale interesuje mnie jedno: czy współczesna nauka pracuje nad takimi manipulacjami genowymi?

I to jak! Zajmują się tym uniwersytety, wielki przemysł... zainteresowani są tym również wojskowi. Wiem, że brytyjski koncern chemiczny ICI utworzył w Runcorn specjalne laboratorium badawcze zajmujące się problemem manipulacji genowych. Laboratorium składa się z hermetycznie zamykanych pomieszczeń, do których wolno wchodzić tylko

określonym osobom. Postarano się, żeby mikroorganizmy nigdy nie wydostały się za zewnątrz.

Podobne laboratoria istnieją poza Wielką Brytanią jeszcze w Porton, w USA w Fort Detrick. Fort Detrick był kiedyś wojskową placówką badawczą zajmującą się bronią biologiczną.

*

161. Bgdzie pan musiał mi przyznać rację, jeśli powiem, że pańskie książki zawierają parę błędów rzeczowych. Takie błędy psują całość. Dla mnie pańska teoria umarła, kiedy musiałem sobie powiedzieć, gdzie pan się myli.

Błędy, drogi panie, są wszędzie. Jeżeli odrzuca pan coś tylko ze względu na jakąś wadę, to ani teraz, ani w przyszłości nie będzie pan mógł niczego zaakceptować. Nie ma bowiem ani jednej uznanej dziedziny nauki, która nie musi żyć ze świadomością swoich błędów.

Ani jednej! Posunę się do stwierdzenia, iż wielkie zdobycze nauki objawiły się dopiero na skutek błędów, które trzeba było pokonać. Jeśli odrzuca pan całą teorię, bo uważa pan niektóre dowody poszlakowe za nie do obrony, bo odkrył pan kilka błędów, to musi pan też odrzucić i siebie samego, i swoje życie, bo i ono jest pełne błędów. Zatrzymajmy się przy pańskim ziomku Alexandre Pope. Pope powiedział: "The error is human, to forgive divine!" ("Błądzenie jest rzeczą ludzką, odpuszczenie boską.")

162. W książce "Dowody" twierdzi pan, że życie nie powstało na Ziemi samo z siebie. To twierdzenie to szczyt głupoty! Z bezprzykładną arogancją nie zwraca pan uwagi na rezultaty badań tysięcy naukowców. Robi pan ze swoich czytelników idiotów, panie von Ddniken, i tylko wyciąga im pan pieniądze z kieszeni! Zastanawialiśmy się już, czy nie pociągnąć pana do odpowiedzialności za oglupianie społeczeństwa! A gdzie pańskie pytanie?

163. To przecież jest pytanie! Każdy, choć trochę wykształcony człowiek wie, że nie ma najmniejszych wątpliwości, jak z prabulionu powstało jednokomórkowe życie !

Nie chciałbym wpaść w pański ton, ale pozwoli mi pan może na zadanie kilku skromnych pytań. Czy mógłbym wiedzieć, kim pan jest z zawodu?

Jestem profesorem chemii i biologii, wykładam w jednej ze szkół wyższych.

To wspaniale! Jest pan chemikiem, znane są więc panu podstawowe prawa chemii, na przykład prawo działania mas. Byłbym panu wdzięczny za krótkie wyjaśnienie, jak w praoceanie czy, jak pan woli, w prabulionie mikroskopijne ilości aminokwasów spotkały się ze sobą wbrew prawu działania mas!?

164. Jest to jeden z niewielu problemów, na których temat można dyskutować. Ale w przeciwieństwie do pańskiego przypuszczenia, że

wprabulionie chodziło o mikroskopijnie małe, drobne ilości aminokwasów, można wyjść od tego, że aminokwasów było w bród. W takim razie jedynym logicznym faktem będzie, że z biegiem tysiącleci połączyły się w łańcuchy !

Chwileczkę! Skąd pojawiły się takie ilości aminokwasów? Dobrze, zgódźmy się na pańskie założenie, że było ich mnóstwo. Wtedy musi pan mimo wszystko przyznać, że potężny praoocean był wielokrotnie silniejszy od gromad aminokwasów i niemalże je zmiażdżył. Dalej - prawo działania mas w ogóle nie dopuszcza do nieograniczonego przetwarzania się aminokwasów w enzymy czy nawet w białka. W końcu jeszcze inne solidne prawa fizyki przemawiają przeciw dotychczasowej hipotezie o powstaniu pierwszej formy życia, na przykład twierdzenia entropii. . .

165. Nigdzie nie powiedziano, że należy tu stosować entropię! Jeśli spojrzymy na procesy, zachodzące na Ziemi jako na system zamknięty, wtedy twierdzenia entropii istotnie przemawiałyby przeciw powstaniu enzymów i białek. Można jednak równie dobrze założyć, że Ziemia nie przedstawia sobą systemu zamkniętego!

Brawo! To dobre! Tym samym włączamy Ziemię w większy system, "Wszechświat", co właśnie proponuję.

Panie profesorze, wie pan równie dobrze jak ja, a zapewne lepiej, bo studiował pan tę dziedzinę. . . wie pan, że wszystkie cząsteczki organiczne, biorące udział w budowie życia, są optycznie skręcone w lewo. Czy

może mi pan wyjaśnić dlaczego?

166. Ta lewoskrętność powstała przypuszczalnie za sprawą przypadku: pierwsza makrocząsteczka zdolna do reprodukcji rozwinęła się z d-rybozy i przetrwała. Kolejnym cząsteczkom nie pozostawało nic innego jak tylko dopasować się do tego systemu!

Panie profesorze, przepraszam! Łańcuch cząsteczek - a o nim przecież mówimy, jeśli wspomniał pan makrocząsteczki - łańcuch cząsteczek jest martwy, nie żyje - nie jest więc zdolny do reprodukcji. W tym stanie prabulionu, o którym mówimy, nie było jeszcze DNA zdolnego do reprodukcji. W pańskiej logice każdy system rozwinąłby się sam z siebie lewoskrętnie. Nie, bardzo żałuję, ale nie mogę tego zaakceptować: operuje pan tylko i wyłącznie przypadkiem.

167. Nie chce pan po prostu zaakceptować tego, co inni badacze już dawno wielokrotnie potwierdzili w laboratoriach! Nie będę dłużej wysłuchiwał tych bzdur, wychodzę !

Szczególne formy dyskusji, ale nie zatrzymuję pana... Złożę panu jednak uczciwą ofertę: uznaję się za pokonanego, jeśli wymieni mi pan choć jednego badacza, któremu w trakcie badań laboratoryjnych udało się otrzymać cząsteczki tylko i wyłącznie lewoskrętne. Podczas wszystkich doświadczeń przeprowadzonych metodą Stanleya Millera powstawały stale formy cząsteczkowe lewo- i prawoskrętne, przynajmniej tak wiadomo. . .

168. Jak pan chce, możliwe może być wszystko, co pan tu mówi ale to nie ma nadal nic wspólnego z pańskimi istotami pozaziemskimi! Faktem jest, że w doświadczeniach po-millerowskich powstały łańcuchy molekuł, a to w końcu wystarczy do powstania komórki. Pańscy legendarni bogowie nie mają tu czego szukać!

Szkoda, że chwytą pan za kłamkę, zamiast poprowadzić tę dyskusję dalej. Przepraszam, że wpadłem w złość, ale rozdrażniła mnie pańska agresywność. Niech pan przynajmniej wysłucha jednego:

Do powstania żywej komórki nie wystarczą same łańcuchy cząsteczek! Konieczne są jeszcze bardzo skomplikowane twory białkowe, o których nawet laureat nagrody Nobla, profesor Manfred Eigen mówi w swojej książce 'Gra'. Prawa natury sterują przypadkiem, że ich istnienie, znaczy białek, graniczy z cudem!

Jeżeli zaś chodzi o powstanie żywej komórki z nieskończonego, niewyobrażalnego łańcucha wielomiliardowych przypadków, to chciałbym się czegoś wreszcie na ten temat dowiedzieć, w końcu nie jestem biochemikiem! Byłbym tylko wdzięczny, gdyby ta nauka była nie do obalenia z naukowego punktu widzenia, bo nie bardzo wiem co począć, gdy mogę operować tylko przypadkami... a o przypadki zapewne chodzi, skoro cząsteczki miałyby się nieprzerwanie samoorganizować. Jest tu jeszcze wiele do powiedzenia, ale jak widzę, nie zamierza pan kontynuować dyskusji. Szkoda...

169. Nie, nie chcę! Zostawiam pana razem z pańskimi poglądami!

Szczęśliwej podróży! (Śmiech)

170. Panie von Daniken, nie zrozumiałem ani słowa z pańskiej dyskusji z profesorem - chyba dotyczy to większości na tej sali, jeśli nie wszystkich. Co to za sprawa z tymi cząsteczkami? I co one mają wspólnego z pańską teorią ?

Proszę mi wybaczyć, ale właśnie kogoś poniosło... Zaraz to wyjaśnimy: W większym lub mniejszym stopniu nauka jest zgodna co do tego, że życie na Ziemi powstało z materii nieożywionej, a więc z nieożywionych cząsteczek. Cząsteczki te odnalazły się i połączyły w łańcuchy cząsteczkowe, w enzymy, w białka, a w końcu w słynne DNA! DNA to angielski skrót od nie dającego się wypowiedzieć określenia: deoxyribo-nucleic acid, czyli kwas dezoksyrybonukleinowy. DNA ma zdolność replikacji, może się podwajać. Jeśli raz powstanie DNA, to potem wszystko przebiega automatycznie.

Właśnie, podczas dyskusji skierowałem palec wskazujący nie na DNA, lecz na to, co było i musiało się zdarzyć w czasie przed DNA. Dotychczasowe hipotezy karmiły się teorią przypadków, wyłącznie przypadków, ale: istnieją surowe, dowiedzione prawa fizyki, które przemawiają jednoznacznie przeciw hipotezie przypadków w powstaniu pierwszych form życia!

Chcę się państwo, i słusznie, dowiedzieć, co proces ten miał wspólnego z naszą dyskusją. Po prostu: ja postuluję, aby przyjąć możliwość,

że życie przywleczono na naszą planetę umyślnie albo przypadkowo.

Poza tym ideą tą, która sprawiła taką przykrość panu profesorowi, wprowadzam w powszechny obieg teorię, którą przed laty poddał pod dyskusję laureat nagrody Nobla Francis Crick.

171. Dlaczego profesor zrobił się taki wściekły? Dlaczego tak na pana napadł?

Właśnie tego nie chciałem państwu mówić, bo przecież można w spokoju rozmawiać o wszystkim, ale on zapewne zmartwił się, że jego uczniowie zaczną mu zadawać pytania, na które nie da się odpowiedzieć bez wzywania na pomoc wielkiego czarodzieja - "przypadku"! A to może już uczniom nie wystarczyć.

172. Ale wiadomo, że przed miliardami lat na Ziemi była wyłącznie woda. w szkole oglądaliśmy kiedyś pod mikroskopem kroplę wody, a w niej kłębiło się pełno bakterii i różnych takich...

Woda nie zawsze znaczy "życie", w końcu może być też jałowa!

Stwierdzono, że na Marsie jest woda... ale nie ma życia!

173. To paradoksalne w najwyższym stopniu. Woda na Marsie i żadnego życia? Jeżeli jest woda, to musiała być atmosfera, z której padało. Gdzie jest więc atmosfera Marsa?

Podzielam pańskie zdanie, że trudno sobie wyobrazić wodę bez atmosfery. Ale mimo to sondy badawcze nie odkryły na Marsie żadnych

form życia, nawet najprymitywniejszych jednokomórkowców.

Stoimy tu przed zagadką, mamy niewąski problem:

Twierdzi się, że na Ziemi nieuchronnie z minerałów, soli, aminokwasów i tak dalej musiały w końcu powstać makrocząsteczki i białka.

Tak przynajmniej zapewnia największy autorytet w tej dziedzinie, profesor Manfred Eigen. Za swoje interpretacje otrzymał bądź co bądź nagrodę Nobla. Profesor Eigen twierdzi kategorycznie, że rozłożenie atomów w cząsteczce zależy od statystycznych oddziaływań sił między cząstkami materialnymi. Znaczy to mniej więcej tyle, że cząsteczki o ładunku dodatnim i ujemnym muszą się przyciągać i że w ten sposób nieuchronnie dochodzi do powstania łańcuchów cząsteczkowych.

Ale tkwi w tym pewien wic:

Gdyby twierdzenie to było prawdziwe, to na Marsie musiano by znaleźć przynajmniej prymitywne formy życia - dowiedziono przecież, że jest tam woda, więc musiała być atmosfera, bo inaczej nie byłoby wody. Ale, moi państwo, mimo to nie ma tam życia!

Pozostają tylko dwie możliwości, które - prawie mi przykro

- oddają mi sprawiedliwość w obu przypadkach:

1. Markocząsteczki, enzymy i białka powstały nie przypadkiem i nie po wpływem jakichś sił magnetycznych. Weźmy Marsa - tam nie ma życia.

2. Na Marsie było kiedyś życie, była też atmosfera. Skutkiem jakichś wydarzeń życie i atmosfera na albo wokół Marsa zostały całkowicie zniszczone, Mars stał się sterylny. Sonda NASA odkryła na Marsie

dziwny i podwyższony stopień radioaktywności.

174. Marsjańska atmosfera i życie uległy zniszczeniu...?! Jak to sobie wyobrazić? Czy myśli pan o nienaturalnym zniszczeniu?

Tego nie wykluczam, ale wiem, że taka hipoteza to na razie tylko spekulacja.

Parę miesięcy temu przeczytałem w "Bulletin of the Atomic Scientist" wypowiedzi fizyków światowej sławy. Twierdzą oni, że całkiem możliwe byłoby, że tak powiem, "zapalenie" tlenu atmosferycznego a nawet wodoru zawartego w morzach za pomocą serii wybuchów bomb atomowych. Przy bardzo wysokim ciśnieniu i temperaturze kilku milionów stopni łączą się nawet atomy azotu, a nasza atmosfera zawiera bardzo dużo tego gazu. W tym artykule twierdzono również, że w takich warunkach jądra atomów azotu w reakcji łańcuchowej zamieniłyby się w krzem. Ponieważ krzem też wiąże się z tlenem, całe ziemskie powietrze spadłoby jak deszcz drobnutkiego piasku. Jeśli ta hipoteza jest prawdziwa, to wyjaśniałaby też sytuację na Marsie!

Jeszcze gorszy skutek miałyby eksplozje atomowe w wodzie! Woda zawiera wielkie ilości odpowiedniego do reakcji łańcuchowych izotopu wodoru - deuteru. Poza tym na dużych głębokościach panuje ciśnienie idealne do zapoczątkowania reakcji jądrowej.

Krótko: chciałem w ten sposób zaznaczyć, że jest całkiem możliwe, że jakaś cywilizacja rozmyślnie i dosłownie "wysadziła w powietrze" atmosferę swojej planety i istotne składniki wody! Odpowiednia iskra

we właściwym miejscu wystarczy do rozpoczęcia śmiertelnej reakcji łańcuchowej. Być może tak było na Marsie?! Kto wie? Może dlatego nie można tam dziś znaleźć życia, jest za to podwyższona radioaktywność.

*

175. W pańskim filmie "Posłanie bogów" pokazano kryształową czaszkę.

W filmie nie powiedziano niestety, gdzie i kto ją znalazł. Może pan powiedzieć coś na ten temat?

Równie słynna co cudowna kryształowa czaszka jest znaleziskiem odkrytym koło Lubaantun. Lubaantun jest położone w wilgotnych lasach tropikalnych Brytyjskiego Hondurasu. Skarb znaleziono w dawnym ośrodku obrzędowym Majów. Ten drogocenny przedmiot nazwano od miejsca, w którym go znaleziono: "kryształowa czaszka z Lubaantun". Znaleziono ją w 1930 czy w 1935 roku, nie pamiętam teraz dokładnie daty. Znalazła ją Anna Mitchell-Hedges, pasierbica słynnego brytyjskiego odkrywcy i archeologa F. A. Mitchella-Hedgesa. Ojczym już dawno nie żyje, ale kryształowa czaszka jest nadal w posiadaniu pani Anny Mitchell-Hedges.

Istnieje też czaszka podobna do tej z Lubaantun, a znajduje się w British Museum w Londynie. Znaleziono ją w 1889 roku w Meksyku, a znana jest jako "czaszka Azteków". Z tego co wiem, nie badano jej tak gruntownie jak czaszkę z Lubaantun.

Tę to dopiero przebadano! A od końca 1972 do marca 1973 była

głównym eksponatem wystawy w Museum of the American Indians w Nowym Jorku.

Zanim jednak wystawiono ten wspaniały przedmiot, zbadał go amerykański konserwator Frank Dorland. Badania chemiczne i mikroskopowe przeprowadziła firma Hewlett-Packard, której główna siedziba znajduje się w Santa Clara w Kalifornii. Hewlett-Packard należy do czołowych koncernów elektronicznych USA - ma specjalistyczne laboratorium krystalograficzne.

Powierzchnię czaszki "przeczesano" za pomocą najdokładniejszych mikroskopów, zbadano promieniami rejestrującymi najdrobniejsze nierówności. Nie odkryto nic, co wskazywałoby na to, że czaszka była poddawana obróbce maszynowej! Nie znaleziono także żadnych dowodów, że obrabiano ją przy pomocy wysokich temperatur! Coś takiego byłoby prawdopodobne - kwarc topi się w wysokich temperaturach, ale gdyby tak było, stwierdzono by to bez trudu przy pomocy dzisiejszego czułego instrumentarium.

Ponieważ czaszkę zrobiono z jednego kawałka kryształu, naukowcy zakładają, że nadano jej kształt przez ręczne szlifowanie. Przeróżające, bo wiadomo, że wymaga to 300 lat nieprzerwanej pracy! Czaszkę musiałoby polerować dziesięć pokoleń, każde po 30 lat!

Ale kwarc nie jest materiałem, który daje się dowolnie obrabiać!

"Rośnie" w rombách, które układają się w kształty jakby spiral, z nich z kolei powstają osie, które należy uwzględnić w trakcie obróbki. Jeżeli pracowano by wbrew osiom, materiał by pękał. Problem ten jest nieobcy

technice obróbki kryształów, weźmy za przykład zegary kwarcowe

- ale: czaszka z Lubaantun była obrabiana wbrew osiom... Rzecz

zupełnie niemożliwa!

Frank Dorland odkrył jeszcze różne inne subtelności tej czaszki. Jeśli

oświetlić ją od dołu, wówczas czaszka świeci, jakby "płonęła". Jeśli

postawić ją ostrożnie na dolnej szczęce, to pomysłowe i nie dające się

zidentyfikować punkty równowagi sprawiają, że czaszka porusza się

przy najlżejszym podmuchu! To i wiele więcej potrafi ten masywny

kawałek kwarcu!

176. Jaki jest wiek czaszki?

Wiek kryształów nie można nigdy bardzo dokładnie ustalić, eksper-

ci napisali w raporcie, że czaszka ma zapewne dwa do trzech tysięcy

lat.

*

177. Swojej najnowszej książce nadał pan tytuł 'DOWODY'. Ale to, co pan

w niej zawarł, nie ma z nimi nic wspólnego!

Proszę mi wybaczyć, ale przypuszczam, że powtarza pan brednie

przeczytane w jakiejś recenzji prasowej. Nie bez powodu nadałem jej nie

tytuł: 'DOWÓD', lecz 'DOWODY'. Na samym wstępie wyjaśniam, że

przeprowadzam dowód poszlakowy. Dowody przeprowadzane na

podstawie materiałów poszlakowych są w orzecznictwie sądowym ab-

solutnie dopuszczalne, wie pan o tym. Jest to też powszechnie przyjęte:
w nauce! Przedkładam plik dowodów! Archeologia, etymologia i nauki!
pokrewne. Wszystkie tworzą dowody poszlakowe na bieżąco. Czy pan
- albo któryś z moich zawodowych oponentów - krytykował
kiedykolwiek tę metodę? Oczywiście nie, bo jest to metoda legalna.
Łańcuch poszlak w Dowodach jest bardzo mocny! Ale książki nie
można tylko czytać - trzeba czytać i trochę się zastanawiać.

178. Które z poszlak uważa pan za najmocniejsze w łańcuchu?

Równie dobrze mógłby mnie pan zapytać, czy wolę whisky, czy wino!
To zależy od okoliczności. Dokładniej: od stanowiska, jakie pan
zajmie... a to oczywiście zależy od specjalistycznej wiedzy czytelnika
albo zadającego pytanie, od zakresu zainteresowań.

Odpowiedź na pańskie pytanie: widzę zasadniczą różnicę między
poszlakami wizualnymi, a więc takimi, które można zobaczyć albo
dotknąć, a wielką grupą poszlak, które można znaleźć w niezliczonych
przekazach - w świętych księgach, w legendach ludowych, bajkach
i mitach - a więc w starych tekstach.

Spośród poszlak wizualnych wielkie znaczenie przykładam zarówno
do płyty nagrobnej z Palenque, do mapy Antarktydy tureckiego
admirala Piri Reisa, jak i do słomianych strojów plemienia brazylijskich
Indian Kayapo i lalek-Kaczynów północnoamerykańskich Indian
Hopi. I oczywiście do niezliczonych wizerunków istot w hełmach, istot
przypominających swoim wyglądem kosmonautów - wizerunków,

jakie zachowały się na skałach i na ścianach jaskiń albo na reliefach czy w formie rzeźb.

Pośród przekazów niekwestionowaną jakością ma bez wątpienia odkrycie dokładnych danych na temat układu Syriusza, jakimi dysponuje murzyńskie plemię Dogonów!

Czytał pan księgę proroka Henocha, żyjącego przed potopem?

Zna pan opisy statku kosmicznego, widzianego przez proroka Ezechiela?

W książce Dowody włączyłem do mojej teorii wspaniałą klejnot - wniebowstąpienie Abrahama! Czy rozumiał pan ten opis we właściwy sposób? "Anioły" doprowadziły Abrahama aż do "granicy płomieni ognia". Potem był "dym niczym z pieca", Abraham został uniesiony w przestworza "jakby przez wiele wiatrów". Ponad firmamentem dowieziono go do miejsca lśniącego "jak ogień". Tam przebywały - proszę słuchać uważnie! - tam przebywały istoty mówiące w obcym języku. To szczególne "miejsce" obracało się powoli wokół własnej osi. Abraham zaś stwierdził jednoznacznie, cytując: "Pragnąłem wszakże opaść niżej na ziemię. Ale wysokie miejsce, gdzie przebywaliśmy, raz stało prosto, a raz obracało się odwrotnie!" Koniec cytatu.

Naprawdę nie trzeba wcale fantazji, żeby rozpoznać w tym opisie stację albo statek kosmiczny krążący po orbicie okołoziemskiej i obracający się wokół własnej osi! Abraham mówi jasno i wyraźnie, że znajduje się w "wysokim miejscu" i pragnie opaść "niżej", na ziemię.

Poza tym niewątpliwe są też fragmenty przekazu przedstawiające

efekty przesunięć czasowych!

*

179. Zdjęcia, które pokazywał pan w trakcie odczytu, pochodzą z różnych kontynentów i z różnych epok, sądzę, że obiekty datuje się zupełnie różnie. Dlatego tych poszlak pozbieranych bez ładu i składu nie może i nie powinien pan w żadnym razie stosować do swojej teorii o bogach! Jeśli wiadomo, z jakich kultur i epok pochodzą pańskie tak zwane poszlaki, to praktycznie odwiedziny bogów musiały zdarzać się zawsze. Co pan powie na te różne datowania?

Po pierwsze: w sprawie datowań ma pan zupełną rację! Na przykład Palenque datuje się na około 600 r. po Chr., proroka Ezechiela po 590 r. prz. Chr., proroka Henocha umiejscawia się jeszcze wcześniej, sumerski epos o Gilgameszu można datować nawet około 3000 r. prz. Chr., a wielka liczba rysunków naskalnych jest jeszcze starsza. Datowania są różne.

Dlaczego?

Moje dotychczasowe poszukiwania dają mi podstawy do założenia, że zdarzyły się co najmniej trzy wizyty bogów. Pierwszej nie da się datować w ogóle, trzeba ją umiejscowić w czasie, kiedy Homo sapiens oddzielił się radykalnie i ostatecznie od małp. Przypuszczam, że druga wizyta miała miejsce mniej więcej między czwartym a trzecim tysiącleciem przed Chrystusem... a najpóźniejsza, trzecia, w czasach biblij-

nych.

Ale tu mamy pewien haczyk! Wcale nie ma pewności, czy nasze datowania w ogóle się zgadzają. Historia archeologii uczy nas, że ciągle pojawiają się nowe datowania i że najczęściej sięgają dalej w przeszłość od poprzednich. Zaledwae kilka lat temu - żeby wymienić tylko jeden przykład - zaledwie przed! paru laty zakładano, że "wiszące kamienie" ze Stonehenge koło Salisbury w Anglii powstały w okresie 1900-1700 r. prz. Chr. Tymczasem stwierdzono, że Stonehenge musi być starsze od piramidy Cheopsa!

Prawdziwy krzyż pański z tymi datowaniami! Nawet jeśli założę, że datowanie Palenque jest właściwe, że stare miasto Majów miało swój okres rozkwitu istotnie około 600 r. po Chr., to nadal nie wiem, czy motyw z płyty nagrobnej nie jest znacznie starszy!

Nie tylko możliwe, lecz również w najwyższym stopniu prawdopodobne jest także to, że opowieści i przekazy o bogach były najpierw podawane ustnie z pokolenia na pokolenie, a dopiero później utrwalił je artyści albo pisarze - ci ostatni dopiero po wynalezieniu pisma.

Prawdziwy, rzeczywisty początek zdarzeń leży jednak nadal w pomroce dziejów.

Ale sądzę, że na razie ważniejsze jest zgromadzenie możliwie dużej liczby możliwie przekonujących poszlak. Oczywiście można podejmować próby datowania - narażając się na niebezpieczeństwo i prawdopodobieństwo poprawek wynikających z późniejszych, dokładniejszych badań! Nie należy jednak w żadnym razie wyrzucać takich poszlak

do kosza z powodu sprzecznych datowań. Są one że tak powiem
ponadczasowe i mają swoją znaczącą wartość niezależnie od daty.

Dobrze by było, gdyby podzielał pan ten pogląd!

*

180. W książce, "Wspomnienia z przyszłości" twierdzi pan, że starożytni
Egipcjanie mumifikowali zmarłych, żeby obcy astronauta mogli ich później
obudzić do życia. Panie von Daniken, to przecież zupełna bzdura! Gdyby
wiedział pan choć trochę o egipskich mumifikacjach, wiedziałby pan, że
przed rozpoczęciem takiej operacji z czaszki zmarłego wydobywano
mózg. O ożywieniu nie ma wtedy mowy!

Nie "twierdziłem", lecz proponowałem jako hipotezę, a za tą liczącą
sobie ponad dziesięć lat hipotezą jestem dziś bardziej niż kiedykolwiek.
Właśnie fakt, że przed mumifikacją z ciał usuwano wszystkie wnętrzno-
ści i, jak pan mówi, wydłubywano mózgi, żeby umieścić je w osobnych
naczyniach ceramicznych z olejem, tylko potwierdza moje przypusz-
czenie.

Istoty pozaziemskie, znające prawa przesunięcia w czasie, wiedziały,
że dysponują możliwością powrotu na Ziemię po tysiącach lat. A ponie-
waż dysponowały również, moim zdaniem, wiedzą biologiczną, którą
my zdobywamy dopiero teraz, przyrzekły - może któremuś ze swoich
Pojętnych uczniów, królowi albo faraonowi - że przywrócą go do życia
po tysiącach lat, jeśli postara się, żeby przynajmniej kilka jego żywych

komórek dotrwało do tego czasu.

Dziś wiemy, że każda komórka organizmu zawiera kompletny program DNA, mieszczący informacje o budowie całego ciała. Wystarczy więc, że tysiąclecia przeżyje jedna cała komórka zmumifikowanej osoby i wpadnie bogom w ręce, a będą oni mogli odtworzyć dawne ciało.

Po ostatni włoszek, po kolor oczu i po paznokcie! Współczesna nauka nazywa metodę tworzenia identycznego potomka z jednej komórki "klonowaniem". Z moją hipotezą stoję więc na gruncie możliwości zweryfikowanych naukowo.

Na cóż jednak istotom pozaziemskim żywe ciało, które będzie wprawdzie wyglądać dokładnie tak samo jak żyjąca niegdyś osoba, kiedy ze względu na zasób wiedzy i wychowanie będzie zupełnie inną osobowością? Jeśli wszystkie trudy i nakłady miałyby mieć jakikolwiek sens, to istoty pozaziemskie chciałyby dowiedzieć się od powstałego na powrót człowieka czegoś o jego czasach. Dlatego mózg nowego, identycznego cieleśnie z dawnym człowiekiem musi zawierać wiedzę, którą niegdyś w nim zapisano. Jak to zrealizować?

W książce 'Z powrotem do gwiazd' zwróciłem uwagę na eksperymenty przeprowadzane z tak zwanymi molekułami, cząsteczkami pamięci.

Pisałem wtedy o płazińcach i złotych rybkach, których mózgi odwirowano na bezbarwny płyn - była to pamięć wprowadzona do butelek. Płyn ten naukowcy wstrzyknęli zupełnie młodym płazińcom i złotym rybkom. I proszę! Młodzież od razu zaczęła się zachowywać jak zmarłe starsze pokolenie. To znaczy - od razu miała cały zasób

doświadczeń osobników starszych, tak, a nawet dysponowała umiejętnościami będącymi wynikiem tresury osobników starszych - ale bez jakichkolwiek ćwiczeń. Za pośrednictwem cząsteczek pamięci przeniesiono na nie właściwą wiedzę! Czytał pan może w prasie, że badacze mówią już o zastrzykach pamięci. Jeśli się pomyśli, ile niesłychanej wiedzy przepada z chwilą śmierci wielkich umysłów, wydaje mi się, że badania te mają bardzo poeieszający aspekt...

Jeśli więc, jak przypuszczam, mumifikacje egipskie opierały się na tym, że za tysiące lat zmarłych przywróci się do życia, względnie odtworzy z DNA zawartego w nie naruszonych jeszcze komórkach, to osobne przechowywanie mózgu byłoby w stu procentach logiczne. Ciało można "odrestaurować" w procesie klonowania - nowy mózg trzeba przetworzyć z cząsteczek pamięci starego!

We 'Wspomnieniach z przyszłości" zwróciłem też wyraźnie uwagę na pierwsze i najstarsze mumifikacje, przeciwstawiłem je zdecydowanie mumifikacjom późniejszym, masowym, gdy każdy wierzył, że został wybrany, aby zmartwychwstać.

A jeśli ktoś mi powie, że klonowanie to czysta utopia, to będę musiał zwrócić uwagę niedowiarka na fakt, że profesor biochemii Howard Goodman z University of California zastosował ją z dobrym skutkiem wiosną 1977 roku.

*

181. Według Biblii Jezus powiedział: "W domu Ojca mego wiele jest mieszkań". Jezus czynił na ziemi cuda a potem, też według Biblii, został wniebowzięty. Czy Jezus był astronautą z obcej planety?

Nie. W książce Objawienia zająłem stanowisko wobec tego wielokrotnie stawianego problemu. Proszę przeczytać moją szczegółową wypowiedź w tej kwestii. Teraz powiem krótko:

Jezus nie był astronautą i miał mniej wspólnego z pozaziemską cywilizacją niż człowiek współczesny z neandertalczykiem. Musi pan wiedzieć, że na długo przed Jezusem do nieba zostały wzięte inne ziemskie postacie. Proszę pomyśleć o żyjącym przed potopem proroku Henochu! Proszę sobie przypomnieć wniebowzięcie proroka Eliasza! W Indiach i w krajach arabskich zdarzyło się wiele takich "wniebowstąpień". Co o tym sędzę: po śmierci swojego przywódcy pierwsi chrześcijanie nie potrafili sobie po prostu wyobrazić, że nieśmiertelny Jezus nie żyje, że na zawsze zszedł z tego świata. Dlatego bajeczka o wniebowstąpieniu weszła do Ewangelii.

W jak pełen przeciwieństw sposób ukazuje to wniebowstąpienie Biblia, zbadalem na podstawie porównań tekstów na potrzeby mojej książki 'Objawienia'. Oto fragmenty:

"Mateusz nie zna szczegółów wniebowstąpienia.

Marek kwituje to ważne wydarzenie tylko jednym zdaniem: 'A gdy

Pan Jezus to do nich powiedział, został wzięty w górę do nieba i usiadł po prawicy Boga'. Jakie to proste.

Łukasz podaje, że Jezus sam 'wywiódł ich aż do Betanii, a podniósł-

szy ręce swoje, błogosławił ich. I stało się, że gdy ich błogosławił, że rozstał się z nimi' i wstąpił do nieba.

Jan nic nie wie o wniebowstąpieniu!"

Proszę wejść w położenie uczniów Jezusa. Dla nich wniebowstąpienie mistrza musiało być czymś zdumiewającym! Został przecież ukrzyżowany przed wielką liczbą ludzi a po trzech dniach zmartwychwstał! A teraz, sensacja, na oczach wszystkich wstępuje do nieba! Poza najbardziej zainteresowanymi zdarzenie to musiała przecież oglądać cała Jerozolima, odbyło się przecież po sensacyjnym procesie... jeżeli się odbyło.

Żadne z ówczesnych źródeł o tym nie wspomina, a obaj ewangeliści mówią o tym na marginesie, kwitują owo niesłychane zdarzenie jednym zdaniem - a robią to w sprzeczny sposób, Mateusz i Jan zaś w ogóle o niczym nie wiedzą. Dlaczego więc ani jeden ówczesny żydowski pisarz czy kronikarz nie wspomina zdarzenia ani słowem? Bo w rzeczywistości go nie było.

*

182. Zainteresowanie Indianami zrobiło się modne. Bardzo się z tego cieszę, bo lubię Indian. Ale nie do końca wiem, co wspólnego mieli Indianie z gośćmi z Kosmosu. Czy pan też dołączył do tej mody?

Nie. Indianie mają mitologie, które w niezafałszowanej postaci przetrwały tysiąclecia. Przekazywały je sobie kolejne pokolenia, według prastarych wzorów sporządzały rytualne stroje i rytualne maski,

tańczyły rytualne tańce, uczyły się starych modlitw. Indianie potrafią nawet jasno i wyraźnie, bez tego całego naukowego zawracania głowy, odczytywać rysunki naskalne nawet wówczas, kiedy nasi archeolodzy uważają je za zagadki!

Sam zetknąłem się co najmniej z dwoma plemionami indiańskimi, których członkowie jednoznacznie twierdzą, że odwiedzały ich istoty z Kosmosu. Oba te plemiona jeszcze dziś "poświadczają" owe odwiedziny, prezentując tańce ku czci istot pozaziemskich... a mają przy tym na sobie rytualne stroje, naśladujące stroje istot pozaziemskich. Stroje te wyglądają kubek w kubek jak stylizowane kombinezony naszych kosmonautów, ale Indianie znają je od pradawnych czasów. Oni nie kierują się modą!

Oba przykłady - chodzi o Indian Kayapo z Brazylii oraz Indian Hopi z Arizony - oba przykłady są przedstawione na zdjęciach w moich książkach 'Siejba i Kosmos' i 'Mój świat w obrazach', a gdyby chciał pan tych Indian zobaczyć w akcji, proszę obejrzeć film "Posłanie bogów". Nawiasem mówiąc wódz plemienia po raz pierwszy pozwolił filmować obrzędy. Rozumiemy się bardzo dobrze z tym mądrym człowiekiem.

*

183. Panie von D., niken, zwróciłem uwagę na taką sprawę... Kiedy prorok Ezechiel po raz pierwszy spotkał obcych, dostał od nich coś, co było słodkie

jak miód. W tajnym objawieniu świętego Jana znalazłem podobną rzecz.

A w Księdze Henocha przeczytałem, że prorok dostał rzekomo do zjedzenia "księgę", która też była słodka jak miód. Czy nie jest możliwe, że istoty pozaziemskie aplikowały naszym wybranym przodkom cząsteczki pamięci ?

Znam fragmenty, o których pan mówi, a do tego jeszcze parę bardzo podobnych tekstów z mitologii. Zadawałem sobie to samo pytanie!

Bo trudno nie zauważyć, że nasi zdziwieni przodkowie dostawali do

zjedzenia coś, co - ze względu na swoje działanie! - mogło być

zarówno narkotykiem, jak i cząsteczką pamięci. Zdumiewa mnie jeszcze

kolejny fakt: tacy prorocy jak Ezdrasz, Ezechiel czy Henoch podają

w swoich opowieściach niezwykle precyzyjne dane - bardzo często

liczbowe. Na przykład Henoch w astronomicznej części swojej księgi czy

Ezechiel, przekazując wymiary świątyni, którą widział. Trudno sobie

wyobrazić, żeby człowiek mógł zapamiętać takie szeregi cyfr po

jednorazowym ich usłyszeniu, a to wszystko można przeczytać w księ-

gach proroczych. Efekt spożycia jakiejś, powiedzmy, potrawy, i fenome-

nalna pamięć: oba te fakty zbliżają nas do myśli, że nie podawano tu

potrawy, lecz aplikowano narkotyk wzmacniający pamięć.

Nie chcę tu robić ukrytej reklamy, ale dziś w każdej aptece można

kupić środki aktywizujące pamięć. Często można przeczytać, że dzie-

ciom mającym trudności w nauce pomógł kwas glutaminowy. Jest to

aminokwas znajdujący się w pożywieniu zawierającym białko i który,

oczywiście w koncentracji, oddziałuje na pamięć. Miękki narkotyk

wpływający na pamięć jest więc już dostępny w handlu!

Nauka wie od dawna, że istnieją cząsteczki pamięci, wie nawet

- i udowodniła to doświadczalnie! - że przez transplantację masy mózgu możliwe jest przekazywanie wiedzy i sposobów zachowań.

W książce 'Z powrotem do gwiazd' napisałem o tych doświadczeniach.

Poza innymi instytutami badawczymi istnienie cząsteczek pamięci potwierdził również Instytut Maxa Plancka we Frankfurcie. Doświad-

czalnie. Naukowcy wpuścili do testowego akwarium nieduże ryby

- chyba były to wzdreği. Wzbogacili wodę deuterem. Już wkrótce ryby

zrozumiały, w której komarze akwarium jest pożywienie. Ryby przeby-

wające w zwykłej wodzie nigdy tego nie pojęły! Dlaczego? Bo wewnątrz

atomów wodoru znajdujących się w organizmie atomy deuteru tworzą

mocniejsze związki chemiczne. Mówiąc w uproszczeniu: mózgi ryb

stymulowane "narkotykiem" stały się bardziej zwarte i wydajne.

Wiedzę i sposoby zachowań, już to mówiłem, można "przekazać"

przez transplantację tkanki mózgowej w stanie embrionalnym. Znane

mi są doświadczenia przeprowadzane na żabach z Afryki. Żyje tam żaba

szponiasta. Żaba ta pobiera pokarm "odcedzając" wodę podobnie jak

wieloryb. Ale istnieje również żaba szponiasta karłowata, mniejsza

siostra szponiastej. Ta jednak jest prawdziwym drapieżką - zdobywa

pokarm polując!

Tu zaczyna się doświadczenie: gdy tylko przeprowadzono transplan-

tację określonych części przysadki mózgowej embrionu żaby szponiastej

karłowatej żabie szponiastej, gdy tylko to zrobiono, stwierdzono rzecz

zadziwiająca! Żaba szponiasta wykonywała wprawdzie nadal typowe dla siebie ruchy pyska, jakby "filtrowała" wodę, jednocześnie jednak zaczęła polować, jak jej mniejsza siostra, zaczęła rzucać się na komary i inne robactwo! Zachowanie żaby szponiastej karłowatej przeniesiono przez transplantację części mózgu!

184. A co będzie z potomstwem tak przeobrażonej żaby? Czy młode znów będą zachowywać się normalnie?

W tej chwili nie potrafię odpowiedzieć na to pytanie, musiałbym tego poszukać w moim archiwum. Po odczycie proszę mi dać swój adres. Jak wrócę do domu, zrobię chętnie fotokopię naukowego raportu na ten temat i wyślę go panu!

*

185. Czytałem, że historia o Noem i jego arce, tak jak ją przedstawia Biblia, nie jest oryginalna. Czy to prawda?

To, co pan przeczytał, to prawda. Niech pan sobie przypomni, że biblijna historia o potopie jest spisana w trzeciej osobie: I Noe poszedł... i Noe zrobił... i Noe zbudował i tak dalej.

Nikt nie kwestionuje faktu, że sumerski epos o Gilgameszu jest znacznie starszy od Biblii. Tam też można odnaleźć historię o potopie, tym razem opowiedzianą w pierwszej osobie! Istota, która przeżyła, opowiada wszystko osobiście! Nazywa się ona Utnapisztim, a to, co

opowiada ów naoczny świadek, wydaje mi się znacznie rozsądniejsze od późniejszej relacji biblijnej. W Biblii napisano, że Noe wziął do arki zwierzęta każdego rodzaju, Utnapisztim opowiada, że na jego statek weszli "rękodzielni wszelakiego kunsztu", wziął też na pokład nasienie wszelkich roślin. Poza tym Utnapisztima ostrzegła pewna bogini!

W sumerskiej wersji potopu pada tylko przez sześć dni i sześć nocy - nie, jak w Biblii, czterdzieści dni i czterdzieści nocy. Epos o Gilgameszu opowiada, że chodzi o "przyływ sztormowy" i że potem "wielka cichość nastąpiła, jakby po bitwie". Gdy Utnapisztim otworzył okienko i ujrzał straszliwe spustoszenia, usiadł i zaszlochał. Opowieść ta wywarła na mnie tak wielkie wrażenie, że wbiłem ją sobie w pamięć. Napisano tam: "Ku ziemi się chylę, usiadam i szlocham, i szlocham srodze, a moje rzęsne łzy ściekają po moich policzkach / I spojieram w dal na dalekie, na stepy wód. I w głośny uderzam krzyk: Wytracon jest wszystek rodzaj człowieczy!"

186. Udowodniono, że ta legenda o potopie dotyczyła tylko zdarzenia lokalnego, mianowicie uskoku kontynentalnego przebiegającego na prawo i na lewo od dzisiejszego Kanalu Sueskiego. Nie może być tu mowy o końcu świata spowodowanym przez sztormowy przyływ!

Nie podzielam pańskiego zdania! Naturalnie wersja mówiąca o uskoku kontynentalnym i potopie lokalnym też jest mi znana, ale znam również wiele legend o potopie pochodzących z całego świata! Ilość tych opowieści przemawia przeciw zjawisku lokalnemu!

Kiedy Europejczycy po raz pierwszy przybyli na Wyspy Kanaryjskie, zetknęli się z miejscowym plemieniem Guanczów. Guanczowie znaczyli tyle co "ludzie". Guanczowie byli w najwyższej mierze zdumieni, że widzą innych ludzi, bo uważali się za jedynych, którym udało się przeżyć ogromny potop, który ich zdaniem przed tysiącami lat zniszczył cały świat.

W przekazach Azteków, ale i Majów, istniały trzy epoki, każda zaś kończyła się straszliwym kataklizmem, mianowicie wielkim potopem, który Aztekowie nazywali "Hun Esil". Wiedzieli, że wszystkie lasy zakrywała woda.

Indiańskie plemiona Ameryki Południowej opowiadają o ogólnoswiatowym potopie. Plemię Indian Guarani, żyjące dziś w Paragwaju, wie z pradawnych opowieści - z czasów, w których byli jeszcze bogowie - że szamani ujrzeli nagle jasne światło na północy, ale nie było to światło, lecz fale jak góry, które zbliżały się tocząc się z wielką prędkością. Cały lud utonął z jednym wyjątkiem: pewna rodzina uratowała się dopływając na tratwie do góry.

Indianie Nawaho żyjący dziś w Arizonie opowiadają, że pewnego ranka nadszedł straszliwy wiatr, ze wschodu zaś pojawiło się coś, co wyglądało jak wysoka i stroma ściana skalna, ale to była woda. Woda ta zakryła cały horyzont i pogrzebała wszystko.

Mity o potopie zna również Polinezja. Tam bóg Tangaloa rozgniewał się bardzo na ludzi, których stworzył, aby więc ich ukarać, pogrążył w morzu cały kraj, wraz z najwyższymi górami.

Nie, mój panie, to nie było zdarzenie lokalne, bo legendy o potopie, a więc relacje o danym zdarzeniu, istnieją na całym świecie. W bibliotece mam książkę, tytuł wypadł mi w tej chwili z pamięci, będącą zbiorem legend o potopie. Nie, nie, musiał to być kataklizm, który ogarnął cały świat.

187. Dowody! Dowody, panie von Daniken...

Prawdziwość mitologii zgodnych w treści można poprzeć rezultatami badań osadów dna morskiego i znaleziskami pozostałości organizmów morskich, odkrywanych w zupełnie "niemożliwych" okolicach! Na Wyżynie Boliwijskiej, na wysokości 4000 m, znaleziono skamieliny skorupiaków żyjących kiedyś wyłącznie w morzu. Dobrze pamiętam, że jeszcze jako chłopcy bawiąc się w okolicy wsi Benken, leżącej między Szafuzą a Zurychem, szukaliśmy. . . i znajdowaliśmy zęby rekinów! O nie, mój panie, nie mogło chodzić o pozostałości tak zwanego praoceanu, bo w praoceanie nie żyły rekiny!

188. Jak można sobie wyobrazić przyczyny tak katastrofalnego potopu?

Czy coś takiego byłoby możliwe dziś?

Byłoby. Jeśli z jakichś powodów nastąpiłoby przechylenie osi Ziemi, wtedy po całym globie przeleciałaby niszczycielska fala. Mogłyby też w naturalny, a może i zamierzony sposób stopnieć lody wokółbiegunowe - poziom wody w morzach podniósłby się wtedy o 30 metrów albo więcej i wszystkie nadbrzeżne miasta by diabli wzięli. Fale

przyływu mogą być również wywołane silnymi trzęsieniami ziemi albo podmorskimi eksplozjami broni wodorowej.

189. Czy potop może mieć coś wspólnego z nagłym wymarciem ssaków?

Jakie wymarcie ssaków ma pan na myśli?

190. Czytałem przecież, że na Alasce, w Ameryce Południowej i jeszcze gdzie indziej znaleziono całe stada martwych zwierząt, które zginęły, podobno w jednej chwili. Czy nie skutkiem potopu?

Niestety nie mogę panu udzielić odpowiedzi na to pytanie, choć przez pewien czas zajmowałem się problemem tych cmentarzysk zwierzęcych.

Na razie nikt nie wie, co było prawdziwą przyczyną nagłej i jednoczesnej śmierci tych tysięcy i dziesiątków tysięcy ssaków w jednym i tym samym miejscu! (Krzyki: "O czym pan mówi?", "O co chodzi?")

Tak, chodzi o to, że w różnych miejscach Alaski i Syberii na niewielkim terenie leży wiele tysięcy zwierzęcych zwłok. Na północ od Fairbanks na Alasce archeolog Frank Hibben z uniwersytetu w Nowym Meksyku znalazł około 2000 szczęk i ponad 5000 dolnych kości nóg samych bizonów. Są tereny, na których znajduje się resztki ciała, kości i sierści wilków, niedźwiedzi, mamutów, koni i mastodontów - to wymarłe trąbowce - zbite i zmieszane z mchami, pozostałościami drzew, lodem i błotem.

Ta masa zwierzęcych resztek i poszycia pozwala wnioskować, że w czasie jakiegoś nagłego kataklizmu zwierzęta zgromadziły się w jed-

nym miejscu, a następnie zostały błyskawicznie przemielone. Tę mieszaninę, to kłębowisko pozostałości zwierzęcych, można też znaleźć w wiecznej zmarzlinie Syberii - w Indygirce, na Kołymie i w kilku miejscach koło Nowosybirska.

Na Alasce otwarto żołądki zamrożonych mamutów - zawierały zamrożone liście i trawy zjedzone na krótko przed nagłą śmiercią.

Chciałbym poprzestać na tych przykładach zwierzęcych cmentarzy.

W ostatnich dziesięcioleciach powstawały na ten temat różne teorie, ale wszystkie odrzucono, bo ani jedna nie była do udowodnienia. Mówiono

o powolnej zmianie klimatu. Ale jeżeli miałyby chodzić o powolną zmianę klimatu, to nie zaskoczyłaby ona zwierząt. Gdyby w Fairbanks zaczęło się stopniowo robić coraz chłodniej, stada powędrowałyby na

południe. Na nagłą zmianę klimatu nie ma też żadnego rozładnego

naukowego wyjaśnienia. Choćby dlatego, że to nagłe wymieranie

zwierząt nie miało miejsca w określonym regionie geograficznym, ale

zdarzyło się jednocześnie w wielu miejscach Ziemi... Profesor Hibben

tak podsumował swoje badania: Góry zwierzęcych zwłok na niewielkich

obszarach rozrzuconych punktowo po całej Ziemi nie da się wyjaśnić

z pomocą konwencjonalnej wiedzy!

Moi państwo, to naprawdę niezrozumiałe, dlaczego różne gatunki

zwierząt ginęły stłoczone na bardzo niewielkiej przestrzeni. Bizony nie

mieszały się zwykle z innymi zwierzętami, tak samo mamuty, które nie

znosiły niedźwiedzi czy koni. Z braku lepszego wyjaśnienia sądzono, że

to myśliwi epoki lodowcowej zaganiali zwierzęta w jedno miejsce, abyje

tam zabić. Pomysł ten odrzucono równie szybko jak wzięty do ręki gorący kartofel. Słusznie, bo gdyby te masowe mordy były dziełem myśliwych, to musiano by odkryć również ślady broni. A według naukowców ówczesni łowcy w żadnym razie nie byliby w stanie spędzić w jedno miejsce i zabić w jednej chwili tak wielkich stad zwierząt! Musieliby dysponować jakąś nowoczesną bronią... nie mówiąc o tym, że nie zabijali zwierzyny ponad potrzebę. Cmentarze zwierzęce każą jednak sądzić, że były to jakby masowe rzeźnie, jakby miejsca, w których po nagłym kataklizmie nie pozostawał ślad życia. Zwłoki zwierząt zostały "worane" pod ziemię. Jak mówiłem, nie ma na to dotąd żadnego wytłumaczenia. Moim skromnym zdaniem fenomen ten nie miał nic wspólnego z potopem, uważam natomiast, że warto podnieść spekulację, że odpowiedzialne za te zniszczenia, jakie nastąpiły jakby wskutek eksplozji, mogą być załogi pozaziemskich statków kosmicznych.

191. Mógłby pan wymienić książkę, z której mógłbym się dowiedzieć szczegółów dotyczących tego fenomenu?

Takich książek jest kilka, ale ja nie jestem chodzącą encyklopedią.

Wspomniana tu praca Franka Hibbena nosi tytuł *The Lost Americans*

i ukazała się w Nowym Jorku. Inna ma chyba tytuł *Pre-Historic*

Overkill. Najlepiej, jak pan do mnie napisze. Podam panu tytuły

z przyjemnością...

*

192. Większość poszlak, na których podstawie wznosi pan swój model myślowy, można za każdym razem interpretować inaczej. Dotyczy to pańskich przykładów dotyczących tak malarstwa naskalnego, jak mitologii. Uważam, że to niedopuszczalne - zwłaszcza z naukowego punktu widzenia - uważać za pewną teorię, dopóki możliwe są inne wykładnie poszlak. Musi się z tym pogodzić nauka, ale i pan!

Pomijając fakt, że pracuję z modelami myślowymi, czy nie uważa pan swojego argumentu za klasyczne powiedzenie rozciągające oponenta na deskach?! Ale proszę się dobrze zastanowić, czy argument pański nie trafi pana jak bumerang! Nie wiem, kim pan jest z zawodu. Zakładam, że jest pan historykiem zajmującym się prehistorią i etymologiem w jednej osobie. Przyjmijmy więc, że przedstawi pan określone wyjaśnienia zarówno malarstwa naskalnego, jak i interpretacje mitów. Jasne? Niech pan teraz powie, że dana teoria nie może być uważana za pewną, jak długo możliwe są również inne tłumaczenia. Pomijając już fakt, że gdy odnośne dziedziny nauki przedstawiają niezliczone różne interpretacje, przychodzę ja, Erich von Daniken, i daję interpretację całkiem nową! Zgodnie z pańską logiką żadne wyjaśnienia naukowe nie są pewne! "Żart ten jest znakiem płytkiego dowcipu" - jak napisał Szekspir. Pańska argumentacja... że jak długo istnieją inne wyjaśnienia, nic się nie liczy... ta argumentacja to, proszę wybaczyć, kompletna bzdura. Pomijając wyniki badań nauk ścisłych, zawsze będą istnieć różne

wyjaśnienia pewnych faktów. To stanowi istotę teorii, a teorie zawsze stały u początków nowych systemów myślowych.

193. Kiedy się pana słucha, trzeba przyjąć, że dawni bogowie mówili z całkowitą beztroską i bez zastanowienia we wszystkich ziemskich językach. Jestem gotów w wiele rzeczy panu uwierzyć, ale musi pan mieć jasność, że istoty pozaziemskie nie znały żadnego ziemskiego języka.

w jakież więc sposób porozumiewały się z naszymi prymitywnymi przodkami ?

Dobrze, że zadał pan to pytanie, wypływa ono okazjonalnie, myślę więc, że zapomniałem o tym w moich książkach napisać.

Dysponując moją wiedzą nietrudno odpowiedzieć na to pytanie.

Niech pan się trochę cofnie myślą w przeszłość, w czasy kolonializmu, Nasi dziadkowie poznawali wtedy całkiem dzikie plemiona, natrafiali na ludy, które nie widziały białego człowieka. Jak pan sądzi, w jaki sposób kolonialiści porozumiewali się na przykład z zuluskimi Kaframi czy z Aborygenami w Australii? Z początku na migi, potem pokazywano przedmioty i wymieniano ich nazwy. Bardzo szybko znaleziono sposób porozumienia... nie znając przecież na początku języka drugiej strony. Może istoty pozaziemskie opanowały bardzo wyrafinowane techniki jeszcze bardziej ułatwiające porozumienie.

Dochodzi do tego - jest to moje zdanie, wynikające i umacniające się dzięki studiowaniu mitologii - dochodzi do tego, że według przekazów tymi, którzy uczynili ludzi inteligentnymi, byli zawsze "bogowie"!

Proszę przeczytać epos o Gilgameszu. Napisano tam, że Enkidu żył najpierw wśród zwierząt, jadł razem z nimi, pił razem wodę z wodopoju. Najpierw musiał zostać wyobcowany ze świata zwierzęcego, aby móc z kolei zostać sługą i przyjacielem króla. Proszę przeczytać - wymienię jeszcze jeden przykład mitologii - proszę przeczytać 'Popol Vuh', świętą księgę Indian Quiche. Tam również byli bogowie, którzy człowieka wyizolowali ze świata zwierzęcego i uczynili inteligentnym! Proszę na to spojrzeć z praktycznego punktu widzenia: człowiek nauczył się mowy bogów. Przedtem nie znał żadnej. Z Biblii może się pan dowiedzieć, że Adam, pierwszy człowiek, nadawał imiona drzewom i zwierzętom, kiedy nauczył się ich od Boga.

Jeśli przy tym pozostać, to pierwsi ludzie obdarzeni inteligencją, wszyscy oni musieli mówić tym samym językiem. Tak twierdzą mitologie. O budowie wieży Babel napisano: "Cała ziemia miała jeden język i jednakowe słowa" (I Mojż. 11, 1).

*

194. Zawsze wychodzi pan od tego, że istoty pozaziemskie były podobne do człowieka, a nawet idzie dalej i twierdzi, że musiały podobnie myśleć i postępować i dlatego ich technika była podobna do naszej. Przy wielości form życia w Universum pańskie założenie jest nierealistyczne. Formy pozaziemskiego życia nie mogą być podobne do człowieka!

Absolutnie nie zgadzam się z pańskim zdaniem! Po pierwsze używa

pan czasu przeszłego - czy nie powinniśmy uznać faktu, że życie pozaziemskie istnieje też współcześnie? Co do tego nauka jest zgodna.

A zatem: wyliczone statystyczne prawdopodobieństwo istnienia podobnych warunków prebiotycznych jak istniejące na Ziemi przyjęto także dla innych planet. Nie twierdzi tak D., niken, tak sądzi nauka!

Mówi ona też, że w przypadku takich samych albo podobnych warunków prebiotycznych w długotrwałym procesie musi powstać podobna forma życia. To znaczy, że z tej obfitości życia w logicznym porządku rozwinię się podobny rodzaj inteligencji. Dam parę wskazówek, żeby było jasne, o co mi chodzi: oczy powstaną zawsze w najbliższym sąsiedztwie mózgu, bo droga neuronów pozwalająca pojmować zmysłem wzroku powinna być z natury jak najkrótsza. Usta powinny zawsze powstać w najbliższym sąsiedztwie nosa, bo każda żywa istota przed spożyciem pokarmu potrzebuje użyć zmysłu węchu. Narzędzia chwytne takie jak ręce zawsze będą się rozwijały wspólnie z oczami. Mówi się w tym przypadku o "formach wymuszonych", tych zaś z kolei jest kilka tysięcy. Założeniem tego schematu jest oczywiście, że warunki prebiotyczne będą takie same albo przynajmniej bardzo podobne do ziemskich! Ocenia się, że na Ziemi istnieje obecnie około 3,5 mln form żywych. Gdyby się dopiero rozwijały, to bardzo niewiele z tej prawie nieogarnionej ilości mogłoby zdobyć inteligencję techniczną. Nic na to nie poradzę, że krokodyl nie potrafi się posługiwać śrubokrętem a hipopotam będzie na komputer patrzył równie bezradnie jak wół na malowane wrota! Mózgi wyspecjalizowane w różny sposób są zdolne do

różnych wyspecjalizowanych czynności.

Mówimy więc o inteligencjach pozaziemskich, którym udało i udaje się powstać w takich samych albo bardzo, bardzo podobnych warunkach prebiotycznych. Nie ma przy tym żadnego znaczenia, czy dana istota ma osiem palców, cztery ręce, jedno oko czy dwa nosy! Taka rasa może być mimo to bardzo inteligentna i będzie mogła podróżować po Kosmosie. Dokąd zwróci się obca rasa wyruszając w podróż międzygwiazdną?

Dokładnie tak samo jak my przed pierwszą wyprawą na Księżyc będzie badać najpierw swoje najbliższe otoczenie. Będzie wysyłać sondy kosmiczne, których załogi będą miały za zadanie się dowiedzieć: gdzie znajduje się opłacalny cel? "Opłacalny" należy rozumieć tak, że panują tam takie same prebiotyczne warunki życia jak na macierzystej planecie. Podobnie jak my również obca rasa nie uzna Jowisza za cel wart podróży, bo ciśnienie panujące na tej planecie o masie największej w Układzie Słonecznym zgniotłoby dosłownie naszą formę życia, tamtejsza atmosfera zaś, złożona z metanu i amoniaku, byłaby dla obcej rasy równie trująca jak dla nas. My, jeżeli pewnego dnia stworzy się warunki do międzygwiazdnych podróży kosmicznych, wyszukamy sobie planetę, która będzie dla nas "opłacalna" - pozwalająca przeżyć. Wyruszając w tak wielką podróż chcemy po prostu przeżyć! Tak samo i nie inaczej myślą obcy. Znajdą jakąś planetę przypominającą Ziemię jeżeli ich forma życia jest podobna do naszej. W związku z postawionym pytaniem muszę sprostować pańską grubą pomyłkę. Zarzuca mi pan

absurdalność założenia, że pozaziemska rasa mogła się rozwinąć podobnie do naszej i miałyby podobny sposób myślenia a nawet podobny rozwój techniki.

Moi oponenty wciąż nie potrafią dostrzec najważniejszego argumentu w łańcuchu moich poszlak:

Istoty pozaziemskie, które kiedyś odwiedziły Ziemię, nie rozwijały się tak jak my, to my, rozwijaliśmy się podobnie do nich! To decydująca różnica punktów widzenia. Wszystkie najdawniejsze zabytki piśmienictwa, łącznie z Biblią, twierdzą uparcie: "Bogowie stworzyli człowieka na swoje podobieństwo!" Praktycznie wyglądało to tak, że istoty pozaziemskie przeprowadziły na prymitywnym hominidzie sztuczną mutację z materiałem DNA, co sprawiło, że powstały ludziki "na ich podobieństwo"! Od tej pory my rozwijamy się według ich wzoru DNA.

Proszę mi nie imputować, że mówię odwrotnie! A zatem: istoty pozaziemskie, które nas odwiedziły, były w mniejszym lub większym stopniu podobne do ludzi. A ponieważ jesteśmy częściowymi ich produktami, rozwijamy się w ich kierunku!

Mój sposób widzenia nie wyklucza więc, że w Universum istnieją miliony różnych rodzajów życia, o których istocie i wyglądzie nie mamy nawet co marzyć. Już staruszek Homer powiedział:

"Jak to zawsze wśród równych bywa,
bóg towarzystwa szuka równych sobie."

Albo, jak chce nasze przysłowie: Swój zawsze ciągnie do swego!

Postscriptum

Niezbitym dowodem na to, że moi przeciwnicy z braku przekonujących kontrargumentów sięgają do zniesławienia, jest złośliwy, nierzeczowy atak pisarza Hoimara von Ditfurtha w zaprzyjaźnionym z nim biuletynie "Boehringer Kreis" (nr 3/1977). Publikację mojej odpowiedzi, w której zażądałem sprostowania różnych nieprawdziwych twierdzeń, czasopismo odrzuciło stosując wytarte zarzuty formalne i uniemożliwiło tym samym otwartą, rzeczową dyskusję.

Taka jest w każdym razie opinia mojego adwokata, znanego prawnika, specjalisty w dziedzinie prawa prasowego i wydawniczego, prof. dr. Martina Löfflera ze Stuttgartu.